Środa-niedziela, 3-7.06.2026
Nr 45 (2556), Cena 7,00 zł (w tym 8% VAT)

Pokolenie X. Twardziele, o których zapomniał świat

Prof. Ryszard Tadeusiewicz: Nie boję się buntu maszyn

Prof. Armen Sarkisjan: Polityka kwantowa, czyli chaos

Jastrzębski Węgiel. Jak kibice próbują uratować swój klub



Nr ISSN 1898-3081 | Nr indeksu 349-682

eprasa.pl 40f33bb3b7

AUTOPROMOCJA 0210987190

Zamów **prenumeratę**
Polska Metropolia Warszawa **12 312 53 88**
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

W poniedziałek **magazyn**

● Mietek Szcześniak: Składamy się z ciała i duszy, trzeba więc nakarmić jedno i drugie ● Filip Kalinowski i jego nietypowa literacka wizja Warszawy



Arlena Sokalska
redaktor naczelna „Polski"

WIELKA KŁÓTNIA DZIĘKI AI

Od jakiegoś czasu na platformie X pojawiła się nowa opcja - mianowicie tłumaczenie wpisów na wybrany przez siebie język. Jeśli ktoś nie przestawił sobie opcji, widział np. tweety Polaków publikowane w języku angielskim. I trzeba przyznać, że ten model językowy AI sprawdza się - tłumaczenia są całkiem dobre.

A przy okazji dzięki tejże translacyjnej sztucznej inteligencji kłótnia między Polakami i Ukraińcami weszła na wyższy level. Każdy pisze w swoim języku i wszyscy znakomicie się rozumieją. Ma się rozumieć - przynajmniej w warstwie słownej. Oczywiście z obu stron nie brakuje wyzwisk, słów powszechnie uznawanych za obelżywe, wypominania wzajemnych krzywd - i tych dotyczących Wołynia, ale i tych z czasów powstania Chmielnickiego. I wypominania sobie nawzajem całkowitego braku wiedzy historycznej.

Ale nie brakuje też rzeczowej dyskusji, pytania o źródła (np. dotyczące rzezi wołyńskiej) – serio widziałam takie pytania ze strony Ukraińców. Pojawiła się też dość rzeczowa dyskusja dotycząca Piłsudskiego i Petlury, oparta na faktach historycznych, ale pokazująca dwa odmienny sposoby postrzegania faktów.

Te spory, wyzwiska, ale i dyskusje trwają ponad tydzień i na razie nic nie wskazuje na to, żeby miały się zakończyć. Wiem, że nikt nikogo nie przekona, bo ta wspólna polsko-ukraińska historia nie jest czarno-biała. Ale przy okazji można przyjrzeć się argumentom obu stron. I może zrozumieć, że punkt widzenia zależy od punktu siedzenia?

Są też - z obu stron zresztą - głosy pokojowe, nawołujące do zakończenia tej historycznej dyskusji. Wczoraj ktoś wrzucił słynny rysunek Andrzeja Mleczki dotyczący wojny polsko-polskiej, na którym Polacy biją się w polu, a nad zdumionymi Krzyżakami unosi się dymek „Chyba zaczęli bez nas". W przeróbce na polu tłuką się się Polacy z Ukraińcami, a dymek „Chyba zaczęli bez nas" wisi nad Rosjanami z literą Z na rękawach.

Dlatego ta czasem bardzo ognista internetowa dyskusja podoba mi się bardziej niż gwałtowne gesty prezydenta dotyczące orderu Orła Białego. Bo strzeliste polityczne akty do niczego nas nie doprowadzą, tylko jeszcze bardziej spolaryzują dwa społeczeństwa. A sąsiadami nie przestaniemy być nigdy. No chyba, że z drugiej strony granicy stać będą wojska rosyjskie. Na szczęście na to się - przynajmniej na razie - nie zanosi.

A o historii trzeba rozmawiać, powinni to robić historycy, a może nawet i zwykli ludzie. Kiedyś funkcjonowała specjalna polsko-rosyjska grupa do spraw trudnych złożona z dyplomatów i historyków. Oczywiście, niewiele z niej wyniknęło, bo Federacja Rosyjska nigdy nie była normalnym, demokratycznym państwem.

Ale może z Ukraińcami łatwiej byłoby się dogadać albo przynajmniej choć trochę zrozumieć nawzajem?

JAK POWSTAŁO POGOTOWIE RATUNKOWE



Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGH

W sobotę będziemy mieli rocznicę ważnego wydarzenia. Warto przypomnieć, że właśnie 6 czerwca uruchomiono pierwsze polskie pogotowie ratunkowe. Konkretnie zrobiono to w Krakowie, wtedy pod zaborem austriackim. Było to w 1891 roku, a więc jutrzejsza rocznica nie jest „okrągła", bo mija właśnie 135 lat od tego wydarzenia. Ale samo wydarzenie było na tyle doniosłe, że warto je odnotować. Właśnie z datą 6 czerwca 1891 roku wydany został Statut Ochotniczego Towarzystwa Ratunkowego (OTR), będący z pewnością pierwszym takim dokumentem w Polsce. Na ile mi się udało ustalić, krakowska instytucja, nosząca początkowo nazwę OTR, była pierwszą w Polsce i jedną z pierwszych w Europie. Natomiast rozwiązanie krakowskie było potem szeroko kopiowane w całej Galicji oraz w zaborze rosyjskim i pruskim.

Nie da się ukryć, że sam pomysł utworzenia OTR nie był oryginalnie krakowski. Ochotnicze Towarzystwo Ratunkowe funkcjonowało już w Wiedniu i w innych austriackich miastach, ale ponieważ Kraków po rozbiorach należał do Monarchii Austro-Węgierskiej, więc naśladowanie Wiednia pod Wawelem było wtedy częste i często korzystne.

W przypadku utworzenia krakowskiego pogotowia ratunkowego impulsem, który pobudził do działania Radę Miasta Krakowa, był list, który w lutym 1891 roku przysłał do prezydenta miasta Feliksa Szlachtowskiego sekretarz generalny wiedeńskiego OTR dr Jaromir Mundy. Zachęcał on w tym liście do założenia OTR w Krakowie i oferował wsparcie w postaci dostarczenia do Krakowa różnych przyrządów ratowniczych o łącznej wartości ponad 4 tysięcy złotych reńskich (ZR). Była to znaczna kwota, bo służąca („dziewka", jak ją wtedy nazywano) zarabiała rocznie od 5 do 10 ZR, a pisarz gminny 15 ZR.

Oczywiście list dr. Mundy'ego spowodował pozytywny odzew Rady Miasta Krakowa i niezwłocznie przystąpiono do realizacji jego postulatu. Dodatkowym bodźcem było to, że kilka miesięcy wcześniej wydarzyły się w Krakowie dwa groźne wypadki, w których interweniująca straż pożarna nie mogła udzielić skutecznej pomocy poszkodowanym. Były to dwa pożary, w których zginęli ludzie: w dniu 17.10.1890 roku w sklepie Kretschmera na Rynku Głównym i w dniu 2.11.1890 r. w składzie Wiśniewskiego na Stradomiu. W obydwu przypadkach ofiary można byłoby uratować, gdyby zaraz po wydobyciu z płomieni udzielono im pomocy medycznej. Ale strażacy znali się na gaszeniu, a nie na leczeniu - i ludzie ci zmarli.

Organizatorem Krakowskiego OTR został dr Alfred Obaliński, który dostał na bieżące wydatki 300 ZR. Entuzjastycznie odnieśli się do tej nowej idei także studenci medycyny, którzy w liczbie aż 120 ochotniczo zgłosili się do darmowej pracy w OTR.

Zakupiono dwukonny ambulans (żółty, z niebieskim krzyżem na dachu), który zmodyfikowano w taki sposób, by leżącym w środku ofiarom wypadku można było udzielać pierwszej pomocy.

Przyjęto zasadę, że gdy ambulans pędzi do wypadku, wszyscy muszą mu ustąpić z drogi. W tym celu jadący ambulansem sanitariusz cały czas dął w trąbkę!

W dniu 5.6.1891 roku przyjechał z Wiednia dr Mundy (w asyście 4 lekarzy i 5 służących!) i przekazał obiecane przyrządy ratownicze. A już następnego dnia, czyli 6.6.1891 roku, ambulans OTR wyjechał po raz pierwszy na miasto.

Świętujmy rocznicę tego wydarzenia!

WIECZYSTA PSUJE RYNEK. TO SKANDAL!



Jakub Guder
publicysta

Wcale nie jestem entuzjastą awansu Wieczystej Kraków do ekstraklasy. Klub bez kibiców, bez stadionu, bez historycznych sukcesów. Czym tu się ekscytować? Myśląc tokiem niedawnych utyskiwań środowiska na Śląsk Wrocław, można iść dalej, twierdząc, że to skandal, by płacić tak wielkie pieniądze piłkarzom. Większe nawet, niż kluby miejskie! Jak to jest w ogóle możliwe?! To wszakże psuje rynek.

MYŚLĄC TOKIEM NIEDAWNYCH UTYSKIWAŃ NA ŚLĄSK WROCŁAW, MOŻNA IŚĆ DALEJ, TWIERDZĄC, ŻE TO SKANDAL, BY PŁACIĆ TAK WIELKIE PIENIĄDZE PIŁKARZOM

Wieczysta to trochę taki Football Manager na żywo. O mocarstwowych planach krakowskiego klubu słyszałem już na kilka dni przed barażem z Chrobrym Głogów, a przecież do rozegrania był jeszcze jeden mecz. Ten najważniejszy. Ostatecznie wygrał faworyt, lecz Chrobry kolejny raz udowodnił, że potrafi grać w piłkę, ma pomysł, serce i chęć do walki. - Byliśmy odważni w tych marzeniach - skwitował trener Łukasz Becella, dla którego praca w Głogowie to dopiero drugi klub, za który odpowiada jako pierwszy szkoleniowiec. W kwietniu 2023 roku zwolniono go z II-ligowej Siarki Tarnobrzeg. W niedzielę był tym-czasem o krok od ekstraklasy. Piękny jest ten futbol!

W sporcie sukces od porażki oddziela czasem jeden centymetr, jeden strzał. Tak jak w półfinale barażu, kiedy to Siergiej Krykun podszedł do najważniejszego rzutu karnego, wziął na siebie odpowiedzialność, a potem strzelił w poprzeczkę i po chwili ŁKS był poza grą, a Chrobry w ekstazie. Z nieba do piekła. A Roberto Baggio, który w finale mistrzostw świata w 1994 roku z Brazylią też nie trafił z 11 metrów? Chociaż od tego wydarzenie minęło już ponad 30 lat, Włoch ponoć nadal ma koszmary i przeprasza swoich kibiców. Tak czy inaczej - liga będzie ciekawsza, zwłaszcza dla kibiców z Krakowa. Mają na najwyższym szczeblu trzy drużyny. Pozazdrościć.

eprasa.pl 40f33bb3b7

Z CZEGO JUTRO ...? CZY ARTIFICIAL INTELLIGENCE BĘDZIE POD POLSKĄ BANDERĄ?

Andrzej Sadowski
Centrum. im. Adama Smitha



Na placu Tiananmen 3 września 2025 na defiladzie wojskowej z okazji 80 rocznicy Dnia Zwycięstwa, czyli podpisania 2 września 1945 aktu bezwarunkowej kapitulacji Japonii, Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza po raz pierwszy publicznie pokazała „robotyczne wilki". Czworonożne maszyny zadebiutowały jako część oficjalnej kolumny bezzałogowych pojazdów bojowych i systemów wsparcia piechoty. Jednostki bojowe robotów służą do rozpoznania, wsparcia ogniowego i zaopatrzenia, zmieniając jak drony oblicze już obecnego pola bitwy.

We wrześniu tego roku Ministerstwo Obrony Białorusi ogłosiło zakończenie aktywnej fazy ćwiczeń „Zapad-2025", w których zrealizowano wszystkie planowane zadania, w tym dotyczące broni jądrowej i systemu rakietowego „Oriesznik". Białorusko-rosyjskie porozumienie nie zakłada żadnych ograniczeń czasowych dotyczących obecności rosyjskich głowic atomowych na Białorusi i tym samym jest to pierwsze państwo od końca zimnej wojny, na którego terytorium Rosja rozmieściła broń jądrową poza swoimi granicami, co fundamentalnie zmiana bezpieczeństwo w naszym regionie.

Niecałe dziesięć miesięcy później 22 maja podczas oficjalnego spotkania ministrów spraw zagranicznych państw NATO w Helsingborgu został podpisany „Technology Prosperity Deal" przez ministra spraw zagranicznych Szwecji oraz sekretarza stanu USA, dotyczący dwustronnej współpracy technologicznej, w tym w sztucznej inteligencji i obronności. Szwecja stała się tym samym pierwszym państwem Unii Europejskiej, który dołączył do tej elitarnej amerykańskiej sieci zaufanych partnerów technologicznych.

W tym samych dziesięciu miesiącach w Polsce pogłębia się kryzys systemu politycznego angażującego wszystkie bez mała konstytucyjne władze państwa, który z najwyższą uwagą jest obserwowany, ale i też wykorzystywany przez inne państwa położone bliżej i dalej. Nawet bez kryzysu ustrojowego przez ostatnie trzy dekady rządy, parlamenty i prezydenci nie uznali za stosowne przywrócić polską banderę, co wymagało tylko zmiany oraz likwidacji szkodliwych wewnętrznych przepisów. Jednak najprominentniejsi paladyni państwa poświęcają czas i niezwykle często biorą udział w urobku konferencyjny o AI, roztaczając wizje następnej po energetycznej tym razem cyfrowej transformacji w Polsce.

Tymczasem pod polską banderą handlową na koniec roku 2025 pływało zaledwie 13 morskich statków transportowych o znikomym tonażu handlowy, bowiem wszystkie te 13 statków to małe jednostki przybrzeżne lub techniczne. W tej samej Unii Europejskiej w rejestrze narodowej bandery Grecji, w której nie wszyscy greccy właściciele rejestrują w nim swoje statki głównie ze względów podatkowych i załogowych ich liczba pod flagą tego państwa biorąc pod uwagę wyłącznie wielkie oceaniczne statki towarowe o tonażu powyżej 1000 GT wynosi powyżej pół tysiąca. W samej Unii Europejskiej Grecy kontrolują aż 61% jej floty handlowej. W rankingu bander państw Unii według tonażu DWT według danych 2024/2025 pierwsze miejsce zajmowała Malta z szóstym na świecie, a na drugim jest Grecja plasując się globalnie na ósmej bądź dziewiątej pozycji.

Czy w sytuacji, kiedy najwyższe władze w Polsce od dziesięcioleci nie są w stanie bez jakiejkolwiek konieczności budowy infrastruktury i wydzielania specjalnych funduszy przywrócić banderę własnego państwa, to czy są mają zdolność doprowadzić do adopcji technologii związanych m.in. z AI wymagających coraz większych dostępnych źródeł energii? Polskie państwo z hurtową ceną energii elektrycznej w wynoszącej104 euro za megawatogodzinę w roku 2025 plasowało się powyżej średniej europejskiej, sięgającej nieco ponad 92 euro. Jak zatem w sytuacji wysokich i nieprzewidywalnych cen energii w Polsce mają instalować się centra danych i rozwijać się najnowocześniejsze technologie, kiedy prognozowane ceny we Francji bedą dwukrotnie niższe?

W jaki sposób utrzymując wysokie ceny energii w połączeniu z systemem najtrudniejszych warunków regulacyjnych dla działalności gospodarczej oraz skomplikowanymi i szkodzącymi przepisami podatkowymi państwo polskie ma stać się atrakcyjne dla przemysłu AI, który jest szczególnie energochłonny?

Pierwszą fazę rewolucji AI, którą charakteryzowały „tradycyjne" chatboty i modele generatywne jak m.in. ChatGPT mamy już za nami. Kolejna faza to agentowa AI, w której systemy nie tylko odpowiadają, ale samodzielnie planują i wykonują zadania. Fizyczna AI wbudowująca inteligencję bezpośrednio w obiekty materialne ma osiągnąć 80% adopcji w przemyśle i obronie w ciągu dwóch lat, bowiem zmienia paradygmat przenosząc cyfrowe możliwości bezpośrednio do konstrukcji mechanicznych robotów, dronów czy pojazdów.

Czy AI znajdzie się pod polską banderą, skoro do tej pory nawet statki przedsiębiorstw należących do rządu nie pływają pod nią? Źle napisana konstytucja, która zakłada, że wszyscy piastujący najwyższe godności w państwie działają w dobrej wierze i respektują też wyroki nie sprawdziła się nawet w przypadku przywrócenia polskiej bandery. Jeżeli w najbliższym czasie nie zostanie ona przywrócona, to pozostaje udawanie Greka wobec długów nie do spłacenia.

Andrzej Sadowski założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha - pierwszego w Polsce think tanku, działającego od 16 września 1989 r.

WOLNOŚĆ SŁOWA. WARTOŚĆ KLUCZOWA

Wolność słowa każde pokolenie odkrywa na nowo - bo w każdym pokoleniu media są całkowicie inne. Ale jeśli tej kluczowej wartości nie uda się zachować, to zmiany w ekosystemie mediów staną się jedynie pustą formą, bez treści

Agaton Koziński

W styczniu 1941 r. Franklin D. Roosevelt wygłosił tradycyjne „orędzie o stanie Państwa". Ale choć amerykańscy prezydenci tego typu mowy głoszą co roku, to tamto wystąpienie nabrało wydźwięku ponadczasowego, uniwersalnego. Dziś jest ono znane jako orędzie „Cztery wolności". Roosevelt opisywał w nim, jak powinien wyglądać świat po zakończeniu II wojny - bo choć USA wtedy jeszcze nie weszły do globalnego konfliktu (nastąpiło to pod koniec 1941 r.), to już wtedy było wiadomo, że II wojna światowa okaże się punktem zwrotnym w dziejach.

Roosevelt wskazał cztery kluczowe obszary, o które należy dbać: wolność słowa i wypowiedzi, wolność wyznania, wolność od niedostatku, wolność od strachu. Ale na tą pierwszą położył najsilniejszy akcent. „Pierwszą z nich jest wolność słowa i wypowiedzi, na całym świecie" - podkreślił.



FOT. POLSKA PRESS

Medal Wolności Słowa to nagroda wręczana od 2021 r. dla osób zasłużonych w obronie tej kluczowej wartości

Dziś wydaje się, że wolność słowa to wartość tak powszechna, że oczywista. Że jest jak powietrze, jak podatki, jak wschód słońca rano - coś, czego nigdy nie zabraknie. Ale to tylko ułuda. „Nasze życie jest ciągłą walką" - mawiał Eurypides. Dotyczy to także wolności słowa. Uda się ją zachować tylko wtedy, gdy ciągle będzie miała własnych rzeczników gotowych jej bronić.

Bronić przed czym? Choćby przed błyskawicznymi zmianami zachodzącymi w naszej rzeczywistości. Wolność słowa jest wartością zagwarantowaną w polskiej konstytucji. Ale przyjrzyjmy się bliżej zapisom artykułu 54.:

„1. Każdemu zapewnia się wolność wyrażania swoich poglądów oraz pozyskiwania i rozpowszechniania informacji.

2. Cenzura prewencyjna środków społecznego przekazu oraz koncesjonowanie prasy są zakazane. Ustawa może wprowadzić obowiązek uprzedniego uzyskania koncesji na prowadzenie stacji radiowej lub telewizyjnej".

Od razu widać lukę w zapisach konstytucyjnych - bo w żaden sposób nie obejmuje ona internetu. Teoretycznie rzecz biorąc media cyfrowe nie mają zagwarantowane ochrony w konstytucji. Oczywiście, to konsekwencja chwili stworzenia ustawy zasadniczej, wtedy internetu zwyczajnie nie było. Ale już choćby to pokazuje, jak wolność słowa potrafi być ulotna.

Media zawsze idą na przodzie wszelkich zmian. To środowisko szalenie dynamicznie, wyznaczające standardy zmian na świecie. Tak się działo zawsze, tak też jest teraz w czasach rewolucji cyfrowej. Ale bez zapewnienia fundamentu, jakim jest wolność słowa, ta zmiana będzie tylko pustą formą pozbawioną treści. Jeśli ta kluczowa dla demokracji wolność ma zostać zachowana, trzeba o nią dbać w każdym pokoleniu.

MEDAL WOLNOŚCI SŁOWA

Wskazań kandydatów do uhonorowania Medalem Wolności Słowa można dokonywać poprzez wypełnienie formularza zgłoszeniowego na stronie internetowej https://medal.fundacjagrandpress.pl. Kandydatów mogą zgłaszać:

- kolegia redakcyjne mediów
- władze organizacji pozarządowych, fundacji i stowarzyszeń
- pełnoletni obywatele Polski

Zgłoszenia przyjmowane są do 12 czerwca.

eprasa.pl 40f33bb3b7

Koniec ze smartfonami w szkołach. Rząd przyjął projekt zakazu

Rząd przyjął projekt nowelizacji ustawy, który zakazuje uczniom korzystania z telefonów komórkowych w szkołach podstawowych zarówno podczas lekcji, jak i przerw

Adam Kielar

Minister edukacji, Barbara Nowacka, poinformowała, że nowelizacja ustawy Prawo oświatowe obejmie zarówno szkoły publiczne, jak i niepubliczne. Zakaz, oprócz telefonów komórkowych , obejmuje także inne urządzenia, które służą do nagrywania dźwięku i obrazu. Głównym celem wprowadzenia nowych rozwiązań jest zwiększenie koncentracji uczniów podczas lekcji oraz ograniczenie rozpraszaczy. Wprowadzenie tego zakazu jest odpowiedzią na potrzeby wyrażane przez pedagogów.

Mimo ogólnego zakazu, w projekcie przewidziano pewne wyjątki. - Oczywiście wprowadziliśmy pewne wyjątki. Są to wyjątki dotyczące zdrowia, dotyczące bezpieczeństwa oraz w przypadku, kiedy nauczyciel, nauczycielka zdecydują, że do procesu dydaktycznego lub wychowawczo-opiekuńczego potrzebne jest użycie tego telefonu, będzie takie działanie mogło być możliwe - powiedziała minister.

Jak zaznaczyła Nowacka, decyzja ta została podjęta „na wyraźny głos nauczycielek i nauczycieli". Obecnie w ponad 50 procent szkół takie ograniczenie już istnieje i jest dobrze przyjmowane przez społeczność uczniowską oraz nauczycielską.

Dodatkowo, zakaz ten cieszy się dużym poparciem w społeczeństwie. Badania wskazują, że aż 85 procent osób wspiera wprowadzenie takich regulacji.

Planowane zmiany zaczną obowiązywać od 1 września 2026 roku. Szkoły mają więc czas na przygotowanie się do nowych przepisów i dostosowanie się do nich.

Rząd zajął się też projektem ograniczającym dzieciom dostęp do pornografii. Zakłada on, że dostawcy treści pornograficznych będą odpowiedzialni za skuteczną weryfikację wieku użytkowników. Niedostosowanie się do tego będzie grozić m.in. wysokimi karami finansowymi.

Projekt ustawy o ochronie małoletnich przed dostępem do treści pornograficznych w internecie przygotowało Ministerstwo Cyfryzacji. Zakłada on m.in., że dostawcy treści pornograficznych będą odpowiedzialni za weryfikację wieku użytkowników w inny sposób niż dotychczas stosowana autodeklaracja, według której, aby uzyskać dostęp do pornografii, wystarczy kliknąć okienko z potwierdzeniem ukończenia 18 lat.

Zdaniem MC dzieci i młodzież w Polsce mają zbyt łatwy dostęp do publikowanych w internecie treści uznawanych powszechnie za szkodliwe - szczególnie do pornografii.

Średnia wieku, w którym dzieci pierwszy raz widziały treści pornograficzne, to według badań Naukowej i Akademickiej Sieci Komputerowej - PIB niespełna 11 lat, a wśród starszej młodzieży - 12 lat. Prawie co piąty (18,5 proc.) z ankietowanych miał mniej niż 10 lat, kiedy po raz pierwszy zetknął się z treściami o charakterze seksualnym. PAP



FOT. ADAM JANKOWSKI

Jak zaznaczyła Barbara Nowacka, decyzja ta została podjęta „na wyraźny głos nauczycielek i nauczycieli"

REKLAMA 0011521052



ENERGIA Z POLSKI
LOCAL FIRST

Forum Dostawców Przemysłu Energetycznego i Obronnego

Rzeszów 2026

15 czerwca 2026 Rzeszów

ZAPISZ SIĘ JUŻ DZIŚ

energiazpolski.pl

Udział bezpłatny.
Liczba miejsc ograniczona.

- **Panele dyskusyjne** o sytuacji i inwestycjach w sektorach energetycznym i obronnym
- **Warsztaty** poświęcone mechanizmom finansowania dla dostawców, procesom certyfikacyjnym oraz prawu zamówień publicznych

Przyjedź. Pokaż swoją firmę.
Nawiąż kontakty z ludźmi, którzy decydują o kluczowych zamówieniach i nowych inwestycjach.

ORGANIZATOR POLSKA PRESS GRUPA

PATRONAT HONOROWY Ministerstwo Aktywów Państwowych; Wiceprezes Rady Ministrów Minister Obrony Narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz; WOJEWODA PODKARPACKI

eprasa.pl 40f33bb3b7

BĘDZIE KOLEJNE WETO PREZYDENTA?

Sejm, po miesiącach dyskusji, uchwalił wreszcie ustawę o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu. Pytanie, czy podpisze ją prezydent. Wiele wskazuje na to, że ustawa zostanie przez niego zawetowana. Przed nami więc kolejne miesiące sporu o coś, co już dawno powinno zostać prawnie uregulowane

Dorota Kowalska



FOT. ADAM JANKOWSKI

– Nie podpiszę żadnego prawa, które będzie stanowić alternatywę dla małżeństwa – stwierdził prezydent, zapytany o to, czy podpisze ustawę

Szykuje nam się kolejna polityczna burza. W zeszłym tygodniu Sejm uchwalił ustawę o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu. Za głosowało 230 posłów, 198 było przeciw, 1 wstrzymał się od głosu. Wśród posłów koalicji, którzy zagłosowali przeciw byli politycy Polskiego Stronnictwa Ludowego posłowie z PSL: Marek Biernacki, Andrzej Grzyb, Urszula Nowogórska i Jacek Tomczak.

Wnioski o odrzucenie ustawy, złożone przez kluby PiS, Konfederacji, Konfederacji Korony Polskiej i koło Demokracji Bezpośredniej przepadły w głosowaniu, podobnie jak pakiet poprawek zgłoszonych przez posłankę Martę Stożek z partii Razem. Parlamentarzyści przyjęli natomiast trzy poprawki zgłoszone przez klub Lewicy.

Ustawa o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu zakłada, że dwie osoby pełnoletnie będą mogły zawrzeć umowę u notariusza, która – rejestrowana w USC – umożliwi stronom m.in. wybór ustroju majątkowego, ustanowienie obowiązku alimentacyjnego, uzyskanie prawa do korzystania ze wspólnego mieszkania oraz nadanie drugiej osobie uprawnień do dostępu do informacji medycznych i działania jako pełnomocnik w sprawach codziennego życia.

Teraz ustawa trafi na biurko Karola Nawrockiego i tu mamy problem. Paweł Szefernaker, prezydencki minister, stwierdził, że „nie ma i nie będzie zgody pana prezydenta na legalizację związków partnerskich".

– Mamy kontekst próby siłowego wprowadzenia transkrypcji związków partnerskich, które poza granicami kraju nazywane są małżeństwami jednopłciowymi. Pierwszym krokiem jest wprowadzenie związków partnerskich, drugim jest transkrypcja, a następnie prowadzi to do przysposobienia i adopcji dzieci. Taka polityka małych kroków. Nie będzie zgody pana prezydenta na wprowadzanie quasi-małżeństwa do polskiego prawa – powiedział Szefernaker, dodając, że prezydent „będzie chciał życzliwie spojrzeć na rozwiązania wprowadzające status osoby bliskiej".

Do sprawy odniósł się także sam Karol Nawrocki.

– Jestem strażnikiem konstytucji. Mimo że jestem krytyczny po ponad 30 latach do konstytucji z 1997 roku, to jak regularnie powtarzam, będę strażnikiem tej konstytucji do samego końca mojego albo jej. W tej konstytucji jest wprost zapisane, że małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny. Nie podpiszę żadnego prawa, które będzie stanowić alternatywę dla małżeństwa – stwierdził zapytany o to, czy podpisze przyjętą w piątek ustawę.

Nawrocki dodał jednak, że ze względu na toczone w Pałacu Prezydenckim rozmowy różnych środowisk, jest gotów podpisać ustawę dotyczącą statusu osoby najbliższej, jeżeli nie będzie ona ideologiczna i nie będzie „stanowiła furtki dla alternatywy małżeństwa i podważania polskiej konstytucji".

– Jeśli znajdziemy rozwiązania, które pomogą osobom w statusie osoby najbliższej na funkcjonowanie formalne, administracyjne, na funkcjonowanie, a nie będą niosły ze sobą rozwiązania ideologicznej presji czy próby podważania wyjątkowego statusu małżeństwa, to taką ustawę podpiszę. Mam nadzieję, że taką uda się wypracować – powiedział.

Pytanie, jak długo owe prace potrwają i kto je poprowadzi. Nad ustawą o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu politycy koalicji rządzącej pochylali się długie miesiące, bo co tu dużo mówić, ustawa rodziła się w bólach.

Kwestia uregulowania sytuacji osób pozostających w nieformalnych związkach była jedną z kluczowych dla koalicji 15 października. Co więcej, domagają się tego Polacy. Jak wynika z sondażu Opinia24 dla „Faktów" TVN i TVN24, ponad połowa z nas opowiada się za wprowadzeniem związków partnerskich. Sprzeciw wobec tego pomysłu wyraża co trzeci badany.

Uczestnikom sondażu zadano pytanie: „Czy jest Pan(i) za czy przeciw wprowadzeniu związków partnerskich w Polsce?". 54 procent ankietowanych stwierdziło, że jest „za". 34 procent badanych stwierdziło, że jest „przeciw" wprowadzeniu związków partnerskich w Polsce, a 12 procent odpowiedziało: „nie wiem/trudno powiedzieć/odmowa".

Wyborcy mogli czuć się zniecierpliwieni, tym bardziej że sprawa uregulowania sytuacji związków partnerskich ciągnie się latami. W październiku 2024 roku, na Rządowym Centrum Legislacji, zostały opublikowane dwa projekty ustaw. Pierwszy był projektem właściwym o rejestrowanych związkach partnerskich. Drugi – ustawą wprowadzającą, która miała dostosować przepisy innych ustaw do nowego prawa.

„Projekty ustaw o rejestrowanych związkach partnerskich, które były omawiane z organizacjami pozarządowymi, zostały skierowane do konsultacji publicznych i międzyresortowych. To dla mnie bardzo ważny dzień, bo w Wasze ręce oddaję efekt wielu miesięcy pracy całego naszego zespołu" – napisała wówczas na platformie X minister ds. równości Katarzyna Kotula. Potem, na specjalnie zwołanej konferencji prasowej, minister Kotula stwierdziła, że proponowane projekty „zmieniają właściwie ponad 250 innych ustaw", po raz pierwszy wprowadzając do polskiego prawa instytucję rejestrowanego związku partnerskiego.

Przygotowany przez nią projekt przewidywał m.in. rejestrację związku partnerskiego w urzędzie stanu cywilnego, możliwość przyjęcia wspólnego nazwiska, dostęp do informacji medycznej, kwestie prawa do decyzji o pochówku, dziedziczenia, wspólność majątkowa, która jest deklaratywna i umożliwia wspólne rozliczanie podatków.

Projekt był, przyszedł czas na koalicyjne uzgodnienia i oczekiwany konsensus. Za byli posłowie Lewicy, Koalicji Obywatelskiej, większość posłów Trzeciej Drogi. Inaczej sprawa wygląda z ludowcami. Marek Sawicki z PSL-u od początku podkreślał, że opublikowane na RCL-u projekty nie są projektami rządowymi, a dokumentami przygotowanymi przez minister Kotulę.

Dopytywany o to, co w takim razie z projektem, który przygotowuje PSL – o statusie osoby najbliższej, który miał być odpowiedzią na projekt o związkach partnerskich, poseł Stronnictwa odparł, że tym zajmuje się posłanka Urszula Pasławska.

– PSL będzie miał odpowiedź na ten projekt i w najbliższym czasie dokończony swój projekt o statusie osoby bliskiej – zapowiedziała wówczas Pasławska.

Podkreśliła, że również w jej partii jest duża determinacja w sprawie uregulowania kwestii związków partnerskich i to dobrze, że prace przyspieszyły, aby „poprawić życie prawie pół miliona Polaków".

Bo trzeba pamiętać o tym, że ludowcy już raz „przyblokowali" ustawę o związkach partnerskich nie godząc się na kwestię przysposobienia dzieci i zrównania statusem związków z małżeństwami (sprzeciwiali się choćby podobnej do małżeńskiej ceremonii zawarcia związku partnerskiego w Urzędzie Stanu Cywilnego).

Koniec końców, ustawa o związkach partnerskich i ustawa wprowadzająca związki partnerskie, choć zostały opublikowane na stronach Rządowego Centrum Legislacji, nie zostały poddane pod głosowanie Rady Ministrów. W czerwcu 2025 roku klub Lewicy złożył do Sejmu te projekty jako poselskie. Z kolei PSL przygotowało alternatywny projekt o statusie osoby najbliższej.

Wreszcie koalicjanci dogadali się i uzgodnili wspólny dokument. Co ciekawe, posłowie Lewicy mówili, że PSL zgodziło się na większość ich propozycji. Z kolei ludowcy podkreślali, że wypracowany projekt dotyczy statusu osoby najbliższej i to Lewica zgodziła się na ich postulaty, a projekt Stronnictwa jest wiodący.

Rząd projekt ustawy o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu przyjął w grudniu 2025 roku. Sejm skierował go do dalszych prac w lutym tego roku. Wreszcie, w miniony piątek posłowie ustawę uchwalili.

Pytanie, co dalej? Zwłaszcza w kontekście zapowiedzi prezydenta Nawrockiego.

– Odezwę się do pana prezydenta, do kancelarii pana prezydenta Nawrockiego – zarówno ja, jak i mój partner pewnie. Myślę, że dobrze by było, żebyśmy się spotkali i porozmawiali, bo mam takie wrażenie, że pan prezydent nie rozumie tej ustawy – stwierdził na antenie TVN24 Robert Biedroń, eurodeputowany z ramienia Lewicy. Zaznaczył, że w jego ocenie ta ustawa jest „bardzo daleko idącym kompromisem".

– Ja czekam na ten projekt ustawy prawie ćwierć wieku. Pytanie: czy można czekać dłużej niż całe życie? – zapytał Biedroń.

Stwierdził też, że nie rozumie, jakie zagrożenie niosą za sobą związki partnerskie czy jednopłciowe.

– Myślę, że to są jakieś demony. Czymś dla mnie też niezwykle gorszącym jest to, że te najostrzejsze słowa padają najczęściej od ludzi, którzy z tym przywiązaniem do zasad moralnych nie do końca idą w parze – ocenił europoseł Lewicy i dodał, że „walczy o równość małżeńską".

– Uważam, że związki partnerskie (...) to nie jest to, o co walczymy. To jest część naszej godności, ja walczę o pełną godność, o to, żeby w Polsce można było zawierać związki małżeńskie jednopłciowe, bo Polska dzisiaj jest w skansenie Europy – mówił.

Jego zdaniem problemem jest „zła wola ze strony polityków prawicy, którzy pastwią się nad losem nie tylko par jednopłciowych, ale też wielopłciowych".

Co ważne, nie chodzi tylko o obietnice wyborcze, do uregulowania statusu związków partnerskich i par jednopłciowych zobowiązują nas także wyroki Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej i Europejskiego Trybunał Praw Człowieka. Polska jest jednym z nielicznych unijnych państw, w których jeszcze tego nie zrobiono. Więc, w tym wypadku, określenie „skansen Europy" wydaje się jak najbardziej właściwie. PAP

eprasa.pl 40f33bb3b7

Polska
Środa–niedziela, 3–7.06.2026

Kłopoty polityków Suwerennej Polski

Do Ziobry, Romanowskiego, Wosia, Mateckiego dołączył właśnie Patryk Jaki. Do PE wpłynął wniosek o uchylenie mu immunitetu i jego zatrzymanie

Dorota Kowalska



FOT. ADAM JANKOWSKI

Zdaniem śledczych Patryk Jaki miał wskazywać awans określonej osoby

Wydaje się, że ekipa Zbigniewa Ziobry ma spore kłopoty. O tym, że politycy Suwerennej Polski boją się odpowiedzialności karnej za to, co robili, kiedy byli u władzy, pisze się od wielu lat. Podobnie jak o tym, jak ziobryści rozporządzali Funduszem Sprawiedliwości. Okazuje się, że ich obawy o nie są bezpodstawne.

„PG Waldemar Żurek przekazał dzisiaj do Przewodniczącej Parlamentu Europejskiego wniosek o wyrażenie przez Parlament Europejski zgody na pociągnięcie europosła Patryka Jakiego do odpowiedzialności karnej oraz jego zatrzymanie i przymusowe doprowadzenie" - czytamy w komunikacie Prokuratury Krajowej.

- Nie jest celem prokuratury, aby wystraszyć europosła lub wysyłać sygnał, że po uchyleniu immunitetu takie działania podejmie - zauważyła Anna Adamiak, rzeczniczka Prokuratury Krajowej Anna Adamiak.

Według śledczych, Jaki, w czasie, kiedy był wiceministrem sprawiedliwości i sprawował nadzór nad Służbą Więzienną, dopuścił się przekroczenia uprawnień oraz niedopełnienia obowiązków.

O co konkretnie chodzi? Zdaniem śledczych, polityk miał z naruszeniem obowiązującej wówczas ustawy o Służbie Więziennej wydać dyrektorowi generalnemu SW polecenie podjęcia kolejnych „bezpodstawnych i bezprawnych decyzji personalnych dotyczących funkcjonariusza Służby Więziennej".

Decyzje te, jak tłumaczyła prok. Adamiak, służyły wyłącznie mianowaniu tego funkcjonariusza na utworzone dla niego powtórnie stanowisko zastępcy dyrektora Biura Informatyki i Łączności Centralnego Zarządu SW, a tym samym „zapewnieniu mu wyższego uposażenia oraz gwarancji powrotu na to lub równorzędne stanowisko po ewentualnym zakończeniu oddelegowania do Ministerstwa Sprawiedliwości".

Prok. Adamiak podkreśliła, że „decyzje awansowe dotyczące tego funkcjonariusza podejmowane były w czasie prowadzonego wobec niego postępowania dyscyplinarnego".

- Każdy awans, w każdej instytucji musi mieć jakieś uzasadnienie faktyczne i prawne. W tym przypadku prokurator uznał, że był to awans na stanowisko, którego nie było i zostało specjalnie dla tego funkcjonariusza utworzone. W sytuacji, w której nie zmieniło się okoliczności, w których dyrektor tego biura wnioskował o usunięcie tego stanowiska - zauważyła prok. Adamiak.

Patryk Jaki odniósł się do wniosku prokuratury.

„To jest ośmieszanie państwa. Zarzut polega na tym, że miałem przekroczyć uprawnienia (słynny art. 231 k.k.), rzekomo awansując kogoś na zastępcę dyrektora jakiegoś biura (co jest ciągłą praktyką za każdych rządów), a zacytuję - nie było to ich zdaniem uzasadnione „ważnymi potrzebami służby". Kropka. Czy oni są normalni?" - napisał Jaki w serwisie X.

„I z tego powodu chcą robić cyrk na całą Europę z zatrzymaniem. Nie wiem, jakich będą musieli ustawić znów sędziów, aby coś tak absurdalnego przyklepali. Władza, która nie umie rządzić, ośmiesza się takimi wnioskami o prześladowanie swojej konkurencji" - dodał europoseł PiS.

Wiadomo, że ludzie Ziobry „opanowali" resort sprawiedliwości i właśnie w nim, jak wynika z ustaleń śledczych, łamali prawo. Brzmi dość paradoksalnie, podobnie jak fakt, że były minister sprawiedliwości, mowa oczywiście o Zbigniewie Ziobrze, ucieka za ocean przed polskim wymiarem sprawiedliwości, któremu do niedawna szefował.

Najwięcej zarzutów pod adresem polityków byłej już Suwerennej Polski pada w kontekście Funduszu Sprawiedliwości. Ziobrze śledczy postawili 26 zarzutów, w tym zarzut założenia i kierowania zorganizowaną grupą przestępca. Zdaniem prokuratorów były minister sprawiedliwości najogólniej rzecz biorą ustawiał „konkursy" i dbał o to, by pieniądze z Funduszu Sprawiedliwości trafiały do konkretnych ludzi lub organizacji. Ziobro uciekł na Węgry, gdzie wcześniej azyl polityczny od Viktora Orbana otrzymał jego zastępca w ministerstwie sprawiedliwości Marcin Romanowski, bezpośrednio odpowiedzialny za Fundusz Sprawiedliwości. Także jemu śledczy postawili szereg zarzutów związanych z defraudacją pieniędzy. Kiedy jednak Orban przegrał wybory, Ziobro uciekł do Stanów Zjednoczonych, a Romanowski przepadł. Śledczy ponoć wiedzą, gdzie przebywa. Wiadomo, że Polska wystąpiła do Węgier o uchylenie Zbigniewowi Ziobrze statusu uchodźcy. Jeśli Budapeszt przychyli się do wniosku, za Ziobro będzie można wydać międzynarodowy list gończy.

Także Michał Woś, kiedyś polityk Solidarnej Polski, usłyszał już zarzuty przekroczenia uprawnień i niedopełnienia obowiązków, polegające na przekazaniu 25 mln zł ze środków FS na zakup Pegasusa dla CBA w sierpniu 2024 roku.

Kolejny polityk Suwerennej Polski „umoczony" w Funduszu Sprawiedliwości to Dariusz Matecki. W połowie maja w Sądzie Okręgowym w Szczecinie ruszył jego proces.

– Dariusza M. prokurator oskarżył o popełnienie łącznie sześciu przestępstw. Trzy pierwsze są związane z konkursami, dwa kolejne są związane z fikcyjnym zatrudnieniem w Lasach Państwowych i uzyskaniem z tego tytułu korzyści w kwocie blisko pół mln zł. Szósty czyn dotyczy prania pieniędzy pochodzących z przestępstwa na szkodę Funduszu Sprawiedliwości - wyjaśnił rzecznik Prokuratury Krajowej, prokurator Przemysław Nowak, wyjaśnił.

W roku 2020 dziennikarze Onetu opublikowali szczegółowe materiały dotyczące przepływów finansowych z Funduszu Sprawiedliwości do osób powiązanych z Dariuszem Mateckim. Środki te trafiały do osób z najbliższego polityka, do organizacji Fidei Defensor oraz Stowarzyszenia Przyjaciół Zdrowia, które prowadziło lokalne portale internetowe.

Teraz okazuje się, że nie tylko Fundusz Sprawiedliwości może pogrążyć ludzi Zbigniewa Ziobry.

Jak ustaliło radio RMF FM wspomniany już wcześniej Michał Woś, pod koniec maja miał w Prokuraturze Regionalnej w Poznaniu usłyszeć zarzuty w sprawie działalności Służby Więziennej za czasów rządów PiS. Prokuratorzy wyjaśniają, że chodzi m.in. o wydawanie rozkazów personalnych nadających stopnie oficerskie Służby Więziennej osobom, które nie spełniały ustawowych warunków do przedterminowego awansu, bezpodstawne wyrażenie zgody na mianowanie Zbyszka N., który nie był funkcjonariuszem Służby Więziennej, na stanowisko doradcy dyrektora generalnego Służby Więziennej, czy wydanie rozkazu i powołanie Macieja K. na stanowisko czwartego zastępcy dyrektora generalnego Służby Więziennej, podczas gdy wynikający z przepisów zakres oraz istniejący podział obowiązków w Centralnym Zarządzie nie wymagał powołania kolejnego zastępcy.

Powołany za czasów rządów Zjednoczonej Prawicy Inspektorat Wewnętrzny Służby Więziennej miał być „mieczem do wypalania nieprawidłowości gorącym żelazem". Jak podaje TVN24, Michał Woś osobiście dbał o to, by nowa specsłużba miała nie tylko ogromne uprawnienia, ale i właściwe kadry.

Wygląda na to, że ludzie Ziobry całkowicie „opanowali" i upolitycznili resort sprawiedliwości, który miał być dla nich personalnym i finansowym zapleczem.

REKLAMA 0011533239

**Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska"
w Połajewie
ul. Rynek 18, 64-710 Połajewo**

ogłasza przetarg ofertowy nieograniczony na sprzedaż:

nieruchomości położonej w Połajewie, ul. Obornicka 16, działka nr 962, dla której Sąd Rejonowy w Trzciance prowadzi księgę wieczystą KW nr PO2T/00002696/3.

Cena wywoławcza nieruchomości wynosi **3.000.000,00 złotych.**
Przetarg odbędzie się w dniu **22.06.2026 roku, o godzinie 10:00** w siedzibie Spółdzielni, ul. Rynek 18, 64-710 Połajewo.

Warunkiem udziału w przetargu jest złożenie pisemnej oferty na druku dostępnym w siedzibie Spółdzielni i wpłaceniu wadium w wysokości 5% ceny wywoławczej, tj. kwoty 150.000,00 zł. Wadium należy wpłacić na rachunek bankowy Gminnej Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska" w Połajewie o numerze 42 8951 0009 0019 8000 2000 0010, nie później niż do dnia 19.06.2026 roku. Tytuł wpłaty wadium powinien jednoznacznie wskazywać uczestnika przetargu ze wskazaniem Przetarg. Za datę wpłaty wadium uważa się dzień wpływu środków finansowych na wskazany rachunek bankowy Spółdzielni.

Oferty należy składać osobiście w siedzibie Spółdzielni: 64-710 Połajewo, ul. Rynek 18, pocztą lub kurierem do dnia 19.06.2026 roku do godziny 15:00. Oferta powinna być złożona w zaklejonej kopercie. Na kopercie należy podać nazwisko i imię lub nazwę oferenta oraz nazwę przetargu – PRZETARG.

Za ofertę złożoną w terminie uważa się ofertę, która wpłynęła do siedziby Spółdzielni do dnia 19.06.2026 roku do godziny 15:00.

Rozstrzygnięcie przetargu nastąpi w dniu 22.06.2026 roku, o czym uczestnicy zostaną powiadomieni pisemnie.

Oferent jest uprawniony do dokonania oględzin nieruchomości po uprzednim telefonicznym uzgodnieniu terminu pod numerem tel. 510 097 577 lub 67 256 70 13.

Koszty związane z przeniesieniem prawa własności, w tym: koszty zawarcia umowy notarialnej oraz opłaty sądowe związane z dokonaniem wpisu w księdze wieczystej ponosi w całości nabywca.

Spółdzielnia zastrzega sobie prawo unieważnienia przetargu bez podania przyczyn, z którego to tytułu oferentom nie będą przysługiwały żadne roszczenia.

Wszelkich dodatkowych informacji i wyjaśnień związanych z przetargiem udziela się pod numerem tel. 510 097 577 lub 67 256 70 13.

Szczegóły przetargu, w tym warunki uczestnictwa w przetargu i zasady, na jakich przetarg będzie przeprowadzony, zawarte są w Regulaminie przetargu do wglądu w siedzibie Spółdzielni.

eprasa.pl 40f33bb3b7

DWA RÓŻNE SPOJRZENIA NA WSPÓLNĄ POLSKO-UKRAIŃSKĄ HISTORIĘ

Nikt w Ukrainie nie gloryfikuje sprawców zbrodni wołyńskiej, ale wielu Ukraińców uważa UPA za część walki o niepodległość – mówi Roman Romaniuk, dziennikarz polityczny opiniotwórczego portalu „Ukraińska Prawda”



FOT. ADAM JANKOWSKI

Order Orła Białego przyznał Wołodymyrowi Zełenskiemu w 2023 r. ówczesny prezydent Andrzej Duda

Dlaczego Ukraina odwołuje się dziś do postaci i organizacji, które budzą tak silne emocje w Polsce, jak przywódcy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów?

Jeśli mówimy o Andriju Melnyku, Jewhenie Konowalcu czy Stepanie Banderze, to dla znacznej części Ukraińców są oni bohaterami narodowymi. Dlatego się do nich odwołujemy. Dlatego też podejmowane są działania, by ich szczątki spoczęły w ojczystej ziemi, o której niepodległość walczyli. Nie jestem historykiem, lecz dziennikarzem politycznym. Mam jednak wrażenie, że źródłem wielu nieporozumień jest założenie obecne w części polskiej opinii publicznej, że gdy prezydent nadaje jednostce wojskowej nazwę „Bohaterów UPA”, to automatycznie gloryfikuje osoby odpowiedzialne za zbrodnie popełnione na Polakach na Wołyniu. To jest błędne założenie. Nikt w Ukrainie nie gloryfikuje ludzi odpowiedzialnych za czystki etniczne czy inne zbrodnie. Naród, który sam przeżył Wielki Głód, represje sowieckie i deportacje, nie może czcić sprawców podobnych zbrodni. Problem polega na tym, że przez wielu Polaków UPA jest postrzegana wyłącznie przez pryzmat zbrodni wołyńskiej. Tymczasem w Ukrainie pamięta się przede wszystkim tysiące ludzi, którzy walczyli w jej szeregach o niepodległość kraju. W przypadku Andrija Melnyka – nie miał on żadnego związku z wydarzeniami na Wołyniu. Stepan Bandera w czasie kulminacji tych wydarzeń przebywał w niemieckim obozie koncentracyjnym. Wielu Ukraińców uważa również, że skoro nie istnieją dokumenty świadczące o zaangażowaniu całego kierownictwa UPA czy całej organizacji w planowanie zbrodni, nie można automatycznie przypisywać odpowiedzialności wszystkim członkom tej formacji. Nikt nie próbuje negować ani usprawiedliwiać zbrodni wołyńskiej. W Ukrainie panuje przekonanie, że były to tragiczne i zbrodnicze wydarzenia. Prosimy jedynie, by nie obarczać winą całej UPA za działania części jej członków oraz by nie przenosić odpowiedzialności za te wydarzenia na cały współczesny naród ukraiński.

Pan sam pochodzi z Wołynia.

Tak, pochodzę z Wołynia i nie znam ludzi, którzy twierdziliby, że to, co wydarzyło się na Wołyniu, nie było zbrodnią. Mam jednak wrażenie, że Polacy i Ukraińcy patrzą dziś na różne fragmenty tej samej historii. W Polsce UPA kojarzona jest przede wszystkim z ludźmi odpowiedzialnymi za zbrodnie. W Ukrainie pamięta się przede wszystkim walkę o niepodległość. Zdarzały się przypadki przemocy wobec Ukraińców ze strony oddziałów Armii Krajowej. Ukraina nie domaga się z tego powodu, by Polacy przestali czcić AK. Podobnie dla wielu Ukraińców kontrowersyjną postacią jest Roman Dmowski, ale nikt nie żąda od Polaków usuwania jego pomników czy zmiany nazw miejsc związanych z jego pamięcią. To jest suwerenne prawo każdego narodu. Ukraina wielokrotnie przepraszała Polaków za tragiczne wydarzenia na Wołyniu. Jednocześnie oczekujemy zrozumienia dla faktu, że wielu Ukraińców postrzega UPA nie przez pryzmat zbrodni, dokonanych przez jej oddzielne jednostki, lecz walki o niepodległość. Jeżeli nawet Wołodymyr Zełenski, człowiek wychowany w rosyjskojęzycznym Krzywym Rogu, który przez lata był daleki od środowisk nacjonalistycznych, doszedł do przekonania, że w UPA było wielu ludzi zasługujących na szacunek, świadczy to o czymś szerszym. Nie jest to stanowisko jednej partii czy jednego środowiska, lecz szeroki społeczny konsensus. W Ukrainie panuje przekonanie, że w szeregach UPA było wielu ludzi, którzy poświęcili życie walce o wolność i niepodległość kraju. Ich właśnie się czci, a nie tych, którzy popełniali zbrodnie.

Czy Ukraina jest zaskoczona skalą emocji, jakie ta sprawa wywołała w Polsce?

Szczerze mówiąc, o samej decyzji dotyczącej nazwy jednostki dowiedziałem się głównie dzięki polskim mediom. Prezydent regularnie nadaje jednostkom wojskowym honorowe nazwy, wręcza sztandary i podejmuje podobne decyzje. Takich wydarzeń są dziesiątki każdego miesiąca. W Ukrainie poza bezpośrednio zainteresowanymi osobami zazwyczaj nie przyciągają one większej uwagi. Zobaczyłem natomiast bardzo gwałtowną reakcję w Polsce i niemal całkowity brak zainteresowania tą sprawą w Ukrainie. Rozumiem polskie emocje, ponieważ wynikają one z przekonania, że UPA jako całość ponosi odpowiedzialność za zbrodnie. Z ukraińskiej perspektywy jest to jednak założenie błędne. Trudno mi sobie wyobrazić, by ktoś celowo chciał wywołać konflikt z Polską w momencie, gdy po latach napięć udało się wznowić dialog historyczny, rozpocząć ekshumacje ofiar i poprawić atmosferę we wzajemnych relacjach. Nie widzę w tym żadnej świadomej prowokacji.

W Polsce pojawiają się także opinie, że Wołodymyr Zełenski chciał w ten sposób przypodobać się nacjonalistycznemu elektoratowi przed przyszłymi wyborami.

Trzeba zacząć od podstawowego faktu: w Ukrainie istnieje szacunek dla UPA jako organizacji oraz dla wielu ludzi, którzy walczyli w jej szeregach o niepodległość państwa. Nie ma natomiast szacunku dla osób odpowiedzialnych za zbrodnie. To rozróżnienie jest dziś akceptowane praktycznie przez całe ukraińskie środowisko polityczne. Kiedyś istniały prorosyjskie środowiska, które próbowały przedstawiać UPA wyłącznie jako organizację zbrodniczą. Dziś takich sił praktycznie już nie ma. Dominuje przekonanie, że ludzie ci walczyli o niepodległość Ukrainy i po dziesięcioleciach represji, deportacji oraz prześladowań mają prawo do upamiętnienia. I przede wszystkim: obecnie nie ma w Ukrainie żadnych wyborów. Po drugie, środowiska nacjonalistyczne nie stanowią elektoratu, który Zełenski mógłby w ten sposób zdobyć. Mają one własnych bohaterów współczesnej wojny, związanych z Azowstalą, Bachmutem i innymi miejscami walk. Po trzecie, w Polsce jest to duże wydarzenie medialne, natomiast w Ukrainie niemal nikt nie zwrócił na nie uwagi. Twierdzenie, że decyzja o nazwie jednej jednostki wojskowej mogłaby wpłynąć na notowania prezydenta, świadczy raczej o niezrozumieniu tego, czym żyje dziś ukraińskie społeczeństwo.

Rozmawiał w Kijowie Jarosław Junko, PAP

***

Wołodymyr Zełenski 27 maja nadał jednej z jednostek sił zbrojnych swego kraju imię „Bohaterów UPA”, co wywołało falę krytyki w Polsce. Prezydent Karol Nawrocki zapowiedział, że chce odebrania prezydentowi Ukrainy Orderu Orła Białego przyznanego mu w 2023 r. przez Andrzeja Dudę.

Premier Tusk, komentując w miniony piątek sprawę, zaznaczył, że decyzja Zełenskiego jest niepokojąca z punktu widzenia relacji między oboma państwami, narusza polską wrażliwość historyczną, i „niepotrzebnie znowu wynosi na dość niepokojący poziom kwestie różnic historycznych”, a reakcja prezydenta Karola Nawrockiego „jest podobnym krokiem”. Dodał, że „bardzo by chciał, żeby prezydenci obu krajów mądrze dbali o to, żeby nasze relacje były jak najlepsze” i oczekiwałby od obu prezydentów, żeby potrafili wznieść się ponad historyczne emocje.

REKLAMA 0111461412



eprasa.pl 40f33bb3b7

Polska
Środa–niedziela, 3–7.06.2026

– Boję się ludzi, którzy użyją sztucznej inteligencji do tego, żeby sterować innymi ludźmi. Pytając o cokolwiek sztuczną inteligencję, odsłaniamy własne lęki, potrzeby, zainteresowania i sposób myślenia. To jest intelektualne obnażanie się – mówi prof. Ryszard Tadeusiewicz i ostrzega, że z takich danych można zbudować bardzo dokładny portret człowieka

Anita Czupryn



FOT. 123RF

Prof. Tadeusiewicz: Sztuczna inteligencja potrafi sprawiać pozory inteligencji tak skutecznie, że człowiek zaczyna jej wierzyć bardziej niż powinien

PROF. RYSZARD TADEUSIEWICZ: NIE BOJĘ SIĘ BUNTU MASZYN

AI naprawdę jest inteligentna?
Tak naprawdę to nie. Rzeczywiście jest to narzędzie, które całym swoim działaniem i zachowaniem wykazuje pozory czy też przejawy działania inteligentnego. Ale faktycznie są to jednak algorytmy. I nawet jeżeli mamy do czynienia z dużym modelem językowym, takim jak ChatGPT, to nie jest mądrość. To jest umiejętność żonglowania fragmentami wiedzy. Najpierw były to same słowa albo fragmenty zdań. W tej chwili w podobny sposób montuje się także obrazy czy inne formy przekazu. Ale to nadal jest pewnego rodzaju mechanizm, automat losujący oparty na maszynowo ustalanych prawdopodobieństwach.

W swojej książce „Sztuczna inteligencja. Od Turinga po ChatGPT" pisze Pan, że człowiek od starożytności człowiek marzył o maszynie, która by za niego myślała. Dlaczego?
Myślę, że to jest naturalne. Rozwój cywilizacji przebiegał przecież w taki sposób, że rozmaite rzeczy, które wcześniej musieliśmy robić sami, staraliśmy się przekazywać urządzeniom. Zamiast rzucać włócznią, zbudowano katapultę. Zamiast wykonywać jakąś czynność własnymi rękami, człowiek próbował wymyślić narzędzie, które zrobi to za niego. To naturalna kolej rzeczy. Skoro więc wiele czynności, które wykonujemy, próbowaliśmy przekazać maszynom, to także czynność myślenia prowokowała do tego, byśmy spróbowali oddać ją w czyjeś ręce – jeśli oczywiście można mówić o rękach w przypadku sztucznej inteligencji. Chodziło o to, by część wysiłku zdjąć z siebie i przekazać czemuś innemu – komputerowi.

Czego w takim razie uczy nas historia Szachowego Turka, którą przytacza Pan w swojej książce? Dlaczego tak łatwo dajemy oczarować się iluzji?
Jest cały szereg informacji na temat tego oszustwa, które polegało na sprawieniu wrażenia, że maszyna jest w stanie rywalizować z człowiekiem w szachy, czyli w czymś, co niewątpliwie wymaga intelektu. To był numer popisowy Wolfganga von Kempelena, który chciał się przypodobać na dworze cesarskim. Nie chodziło wyłącznie o abstrakcyjne zainteresowanie techniką czy myśleniem maszynowym. Chodziło o to, by wzmocnić jego pozycję jako konstruktora, jako twórcy. On zresztą konstruował również inne, i to bardzo pożyteczne rzeczy. Szachowy Turek był taką pokazówką: „Proszę, zobaczcie, jaką niezwykłą rzecz wymyśliłem, a teraz martwcie się, jak zrozumieć, co ta maszyna robi". Oczywiście, jak wiemy, w środku był ukryty szachista, który rozgrywał partię.

Czy z Chatem GPT nie jest trochę tak jak z Szachowym Turkiem? Widzimy efekt: maszyna z nami rozmawia, coś dla nas robi, ale tak naprawdę nie rozumiemy, co tam w środku się dzieje.
Tak, rzeczywiście duży model językowy, na którym oparty jest ChatGPT i inne metody generatywne, to element bardzo pogłębionej, przez głębokie uczenie, zabawy z prawdopodobieństwem. De facto na podstawie bardzo dużego zbioru danych tworzy się rozkłady prawdopodobieństwa. Robią to sieci neuronowe, a potem na podstawie tych prawdopodobieństw żongluje się gotowymi elementami. To są przecież wszystko zapożyczenia z danych, które były podstawą procesu uczenia. Żadnych własnych „przemyśleń" komputera. Nie ma semantyki, jest probabilistyka. Ale na tej podstawie tworzy się coś, co ma pozory inteligentnej odpowiedzi. Ale ci, którzy korzystali z takich narzędzi, wiedzą, jak łatwo tę wypowiedź przekształcić przez zadanie innego pytania. W związku z tym ChatGPT to nie jest wyrocznia delficka, której zadawano pytanie i otrzymywano jedną odpowiedź. Tutaj można zadać to samo pytanie wielokrotnie i dostać wiele różnych odpowiedzi. A to w procesie podejmowania decyzji niekoniecznie musi pomagać.

Co więc musi się wydarzyć, żebyśmy uznali maszynę za inteligentną? Kiedyś myślano, że wystarczy rozmowa. Rozwiązanie zadania matematycznego? Wciąż wraca też pytanie, czy sztuczna inteligencja zdałaby test Turinga, ale też czy ten test naprawdę coś rozstrzyga?
Debata o tym, czy test Turinga coś rozstrzyga, trwa od ponad pół wieku. Alan Turing zaproponował pewien sposób sprawdzenia, przez naśladownictwo myślącego człowieka, czy maszyna rzeczywiście myśli. Zaproponował coś, co istotnie można przeprowadzić. Przypomnijmy: arbiter prowadzi dialog na dowolny temat z nieznanym rozmówcą. Jeśli po krótkiej rozmowie (około kwadransa) arbiter stwierdzi, że rozmawiał z myślącym człowiekiem, a w istocie odpowiedzi udzielał komputer, to trzeba przyznać, że maszyna wygrała test. I rzeczywiście, były systemy, które mniej więcej pół wieku po sformułowaniu tej koncepcji wygrały test Turinga. To znaczy zdołały tak skutecznie oszukać jurorów, że byli oni przekonani, iż rozmawiają z mądrym, inteligentnym, bystrym człowiekiem. A to był komputer. W tym sensie element rozstrzygnięcia przez mądrą rozmowę został spełniony. Obecnie także ChatGPT w pewnym sensie zdaje test Turinga, bo każdy, kto się do tego narzędzia odwołuje, sądzi, że gdzieś w komputerze, w czeluściach internetu, znalazło ono dla niego odpowiedź, rozwiązanie problemu, radę czy sugestię. To są jednak rzeczy bardziej fideistyczne. Ludzie bardziej wierzą niż wiedzą. Trzeba powiedzieć jedno: wszystkie te rozwiązania mają w sobie coś z Turka von Kempelena. Bazują na tym, że my chętnie godzimy się przyjąć iluzję, która czasem z rzeczywistością niewiele ma wspólnego.

A dlaczego tak chętnie przystajemy na tę iluzję?
Dlatego że, niestety, jedną z cech człowieka jest wygodnictwo. Podejrzewam, że większość osób, z którymi mam na co dzień kontakt, miałaby dziś trudności z wykonaniem prostych działań arytmetycznych z pamięci. Od tego jest przecież kalkulator. Kilka kliknięć i mamy wynik. Przypominam sobie, że kiedy byłem uczniem szkoły średniej i chodziłem do sklepu, co należało do moich obowiązków, bo matka chorowała, to wkładałem do koszyka różne produkty, odczytywałem ceny i w momencie gdy podchodziłem do kasy, miałem już w pamięci informację, ile zapłacę. Dokładnie to wiedziałem.

Potrafił Pan to obliczyć w pamięci?
Tak. Natomiast dzisiaj już tego nie robimy. Nawet jeżeli mamy do wykonania proste działanie, każdy sięgnie po kalkulatorek albo telefon: puk, puk, puk – i ma wynik. To jest jeden z bardzo wielu przykładów tego, jak się uzależniamy. Weźmy inną rzecz. Kiedyś, kiedy potrzebowałem jakiejś szczegółowej informacji, to najpierw się zastanawiałem, czy ja to pamiętam, czy ja to wiem. Jeśli nie wiedziałem, szedłem do półki z książkami, wyjmowałem właściwą książkę, odnajdywałem odpowiednią stronę, czytałem i się dowiadywałem. A dzisiaj co się robi? Wystukuje się hasło w wyszukiwarce internetowej, czy to Google czy inne narzędzie wyszukiwania, i dostaje się odpowiedź. Wygodnictwo, kolejne wygodnictwo. Wobec tego te dziwne elementy sztucznej inteligencji niestety wyzwalają w nas uzależnienie wynikające z naszego lenistwa.

Tylko pytanie, czy sztuczna inteligencja rozumie to, co mówi...
Nie, nie rozumie. Rozumienie oznaczałoby pewną tożsamość, osobowość czy też jestestwo. Natomiast sztuczna inteligencja może jakimiś matematycznymi sposobami zmierzyć stopień trafności odpowiedzi, którą wygenerowała, i wysłała do użytkownika. To oczywiście jest ważne i przydatne. Ale elementu, który potocznie rozumiemy jako rozumienie, tam w ogóle nie ma. Rozumienie zakłada, że istnieje podmiot. A sztuczna inteligencja, we wszystkich swoich przejawach, we wszystkich programach, które istnieją i zapewne będą istniały, nie ma tej osobowości, tej tożsamości, tego poczucia, że jest ona – i cała reszta świata. Ona tego nie postrzega i nie potrzebuje. Ona ma być sprawna, a nie na przykład zachwycać się swoimi osiągnięciami. Komputer może wygrać w różne gry. Najpierw były szachy, wiadomo: Deep Blue pokonał Garry'ego Kasparowa i zapanował wielki entuzjazm, bo komputer pokonał mistrza świata. Potem była gra w go, bardziej zaawansowana, w której jednak mistrz świata, Lee Sedol, został pokonany przez program Deep Mind. I można by tak dalej wyliczać. Okazuje się

eprasa.pl 40f33bb3b7

nawet, że komputery wyposażone w sztuczną inteligencję potrafią grać w grę oszustwa, czyli w pokera, i potrafią blefować. Oszukiwać też umieją lepiej niż ludzie! Ale do czego zmierzam? Otóż do tego, że te programy, te narzędzia sztucznej inteligencji coś osiągają, nawet pokonują człowieka - ale się nie cieszą. Nie ma w nich entuzjazmu. One po prostu przechodzą w stan spoczynku, zrobiwszy swoje. A „swoje" oznacza w tym przypadku wygranie, pokonanie mistrza świata w takiej czy innej grze.

I co dalej?
Człowiek, gdyby osiągnął coś takiego, odczuwałby szczęście. A sztuczna inteligencja, kiedy coś takiego osiąga, po prostu się wyłącza. Bo swoje zrobiła. Więc co miałaby robić dalej? Nie ma tam elementu emocji, osobowości, dumy, zadowolenia czy smutku. To wszystko jest w tym kontekście całkowicie abstrakcyjne. To są mechanizmy działające skutecznie, ale niekoniecznie podobnie do ludzi.

Chociaż mówi się, że AI bywa bardzo empatyczna.
Tak, ale ona po prostu została tak zaprogramowana. Ona tę empatię udaje. Równie dobrze można by zbudować agresywnego wroga w postaci sztucznej inteligencji, który obrzucałby rozmówcę inwektywami i robiłby to bardzo trafnie.

Tak już się przecież wydarzyło na platformie X, kiedy Chatbot Grok zaczął obrażać użytkowników. Ale chciałam zapytać o coś innego. AI nie rozumie, co mówi, ale też zmyśla, konfabuluje, czy też halucynuje. Na dodatek robi to bardzo przekonująco. Dlaczego?
Dlatego że, mówiąc najkrócej, tak została zbudowana. Rzecz polega na tym, że urządzenia typu ChatGPT i podobne mają ogromny zasób informacji, które pochodzą od ludzi. To przecież z analizy ogromnych zbiorów tekstów, ogromnych zasobów informacyjnych zbudowany jest pewien układ klocków, z takich kawałeczków. Potem działają reguły, same w sobie dość proste, które pozwalają tak poukładać te klocki, żeby wyjść naprzeciw prawdopodobnemu, przewidywanemu, antycypowanemu oczekiwaniu użytkownika, który zwrócił się do sztucznej inteligencji o jakąś odpowiedź, opinię, radę czy sugestię. To wszystko dzieje się według określonych zasad. To działa trochę tak jak prawo grawitacji: jeśli coś upuścimy, poleci w dół. Jeśli wrzucimy temat do systemu sztucznej inteligencji, przejdzie on przez poszczególne etapy: przejrzy zasoby wiedzy, zastosuje reguły zestawiania tych klocków wiedzy i uzyska wynik końcowy. Natomiast charakterystyczne jest to, że zadając to samo pytanie dwa razy, może z jakąś drobną korektą, ale nadal pytanie na ten sam temat i prowadzące do tej samej konkluzji, można dostać zupełnie różne odpowiedzi.

To kiedy możemy sztucznej inteligencji ufać, a kiedy powinniśmy natychmiast sprawdzać jej odpowiedzi?
Odpowiedź jest taka, że sprawdzać powinniśmy zawsze. Bardzo wygodne jest to, że mamy takiego komputerowego, informatycznego partnera. Bardzo wygodnie jest zapytać. Natomiast to nie zwalnia nas z myślenia. Jeżeli ktoś bezkrytycznie opiera się na tym, co wyświetliła mu taka czy inna aplikacja sztucznej inteligencji, popełnia poważny błąd. Trzeba oczywiście korzystać z tej możliwości, trzeba ją ewentualnie rozważyć, ale nie wolno czuć się zwolnionym z myślenia. To szczególnie dotyczy sytuacji, w których odpowiedź przekłada się na działania praktyczne. Zajmuję się inżynierią biomedyczną i podczas spotkań z lekarzami zawsze podkreślam, że oczywiście istnieją różne systemy doradcze, różne systemy informacyjne, także te oparte na sztucznej inteligencji, i należy z nich korzystać. Natomiast kiedy już dostanie się wynik, nie trzeba go natychmiast używać. Trzeba się nad nim naprawdę bardzo dokładnie zastanowić.

To, Panie profesorze, czego Pan nigdy nie wpisuje do narzędzi AI?
Mówiąc szczerze, bardzo rzadko z nich korzystam. Jeśli już, to raczej z ciekawości, badawczej ciekawości. Natomiast jeżeli nęka mnie jakiś problem, naukowy albo nawet prywatny, osobisty, to nie sięgam po sztuczną inteligencję. Mając świadomość ograniczeń mojej własnej inteligencji, wolę jednak posłużyć się tym, co sam wymyślę, nawet jeżeli popełnię błąd, niż zdawać się na maszynę, która całkowicie beznamiętnie może mnie wepchnąć w poważne kłopoty.

Moje pytanie dotyczyło też tego, czego nie powinniśmy wpisywać, kiedy oczekujemy pomocy od narzędzi AI. Mówi się na przykład o danych wrażliwych. Jakie jest Pana stanowisko?
Oj tak, kwestia danych wrażliwych jest tutaj bardzo ważna. I w ogóle kwestia tego, co się wpisuje. Problem polega na tym, że w internecie nic nie ginie. Człowiek, który wielokrotnie odwołuje się do sztucznej inteligencji i zadaje jej pytania, bardzo się przez te pytania obnaża. Wiedząc, o co pyta, czego się dopomina, do czego dąży, można stworzyć jego bardzo dokładny obraz. I mogą się znaleźć ludzie, a także instytucje, które z tego skorzystają. Zresztą już korzystają. Informacje na temat różnego rodzaju preferencji, poczynając od handlowych, a kończąc na politycznych, buduje się między innymi na podstawie tego, o co dany człowiek pytał. Nie trzeba nawet sięgać do sztucznej inteligencji. Wystarczy mieć odpowiednią statystykę tego, czego ktoś szuka w Google. I już powstaje pewnego rodzaju fotografia osobowości. A taka fotografia może posłużyć do osiągania różnych celów, choćby związanych z polityką, wyborami, różnymi rozstrzygnięciami społecznymi. Każdemu można wtedy podsunąć takie argumenty, które do niego przemówią najbardziej. A o tym, które argumenty będą przemawiające, dowiedzą się algorytmy, jeśli wystarczająco dokładnie opracują analitycznie i statystycznie to, o co człowiek pytał, czego szukał, na czym się zatrzymywał, jakie strony go interesowały. To jest takie intelektualne obnażanie się, które w tej chwili ma już charakter powszechny.

Jakie mogą być negatywne skutki tego obnażania się?
Obawiam się, że one już są. Podczas różnego rodzaju wyborów, nawet wyborów prezydenta Stanów Zjednoczonych, można wykorzystywać informacje zgromadzone w szeroko rozumianych systemach internetowych, zaczynając od Google, przez TikToka i inne tego typu narzędzia. Można to zgromadzić w całkiem zgrabny pakiet, a metody automatycznej klasyfikacji i kategoryzacji pozwalają przypisać ludziom określone identyfikatory. Ten jest konserwatywny, tamten ofensywny, a ten z kolei zachowawczy. To jest oddawanie swojej osobowości pod młyn urządzeń, które co prawda nam służą, ale nie za darmo. Jest takie znane powiedzenie: jeśli korzystasz z Google i czegoś tam szukasz, to nie sądź, że jesteś rybą. Jesteś przynętą. Owszem, dostaniesz wartościowe odpowiedzi, ale przy okazji wyspowiadałeś się z tego, kim jesteś.

W szkole powinno się walczyć z ChatGPT czy uczyć uczniów, jak mądrze z niego korzystać? A jeśli mądrze, to jak?
Zdecydowanie ta druga możliwość jest właściwa. Zakazany owoc będzie jeszcze bardziej kusił, więc metodą zakazów i nakazów niczego się nie wskóra. Stworzy się tylko swego rodzaju podziemie intelektualne, pewien obszar, nad którym nie będziemy panować i którego nie będziemy kontrolować. Natomiast ja moich studentów, a także moje wnuczki, które są w szkole podstawowej, staram się nauczyć jednego: owszem, korzystaj, ale myśl. To, co wyjdzie ci na ekraniku, najczęściej w telefonie, jest czymś, co warto wziąć pod uwagę. Ale tylko wziąć pod uwagę. Kiedy chodzimy, też mamy szeroko otwarte oczy, chociaż czasem ulegamy złudzeniom optycznym albo widzimy coś nie tak, jak to wygląda naprawdę. Wystarczy, że jadąc samochodem, mam światło z przeciwka i mogę czegoś nie zauważyć. Ale to nie znaczy, że trzeba zamknąć oczy. Nawet wiedząc, że te oczy mogą kłamać. To znaczy, że trzeba być krytycznym wobec tego, co dostarczają nam nasze zmysły - ale z nich intensywnie korzystać. Tak samo trzeba być krytycznym wobec tego, co serwuje nam sztuczna inteligencja, a także różne serwisy społecznościowe i narzędzia informatyczne. To jest pewien system. Tylko cała rzecz polega na tym, żeby te narzędzia były w naszych rękach, a nie my w ich rękach. To jest kwestia tego, kto tu naprawdę jest początkiem, końcem i elementem decydującym. Zasięgnąć informacji warto. Natomiast sposób jej wykorzystania zależy już od naszej decyzji, naszej mądrości i krytycznego podejścia. Najgorsze jest to, że wszystkie te systemy są bardzo podatne na różnego rodzaju manipulacje. W związku z tym istnieje obawa, że opierając się na tym, co, w cudzysłowie, „powiedział mi komputer" albo „doradził mi komputer", tak naprawdę mamy do czynienia z tubą, która przenosi czyjeś informacje, czyjeś preferencje, czyjeś wybory. Nie obawiam się więc samej sztucznej inteligencji. Obawiam się ludzi, którzy wykorzystują ją do tego, żeby sterować innymi ludźmi.

Istnieje pogląd, że sztuczna inteligencja cały czas się uczy i dzięki temu, że dostaje mnóstwo nowych informacji, jest coraz lepsza. Dokąd nas to zaprowadzi?
Wie pani, doskonalenie się zawsze jest czymś dobrym. Najbardziej krytyczny moment pojawia się wtedy, kiedy już powstaje nowa jakość, a my jeszcze nie nauczyliśmy się mądrze z niej korzystać. Kiedy powstawały pierwsze samochody, było bardzo dużo wypadków. Głównie dlatego, że mieliśmy już możliwość szybkiego i sprawnego przemieszczania się, ale jeszcze nie mieliśmy wyrobionych nawyków, które gwarantowałyby, że możemy to robić bezpiecznie. Z AI jest podobnie. Już mamy coś nowego, ale jeszcze nie do końca wiemy, jak tego używać, czego się wystrzegać i czemu przeciwdziałać. Jestem jednak generalnie zdania, że to zmierza ku dobremu. Tylko to dobro nie polega wyłącznie na tym, żeby algorytmy były coraz lepsze. Chodzi także o to, żeby ludzie mieli coraz bardziej racjonalny i niebezkrytyczny stosunek do tego, co wyskakuje im z różnych aplikacji GPT, GPS czy jakichkolwiek innych.

Co Pan myśli o polskiej sztucznej inteligencji, czyli o Bieliku?
Oczywiście zapoznałem się z tym rozwiązaniem. Wydaje się, że jest profesjonalne i dobre. Zrobili je ludzie, którzy znają się na rzeczy, i jestem pełen uznania oraz szacunku dla tych, którzy za nim stoją. To są naprawdę mądrzy i dobrzy profesjonaliści. Natomiast wiedza i mądrość nie mają narodowości. Trzeba korzystać z tego, co nasze własne uwarunkowania gospodarcze, polityczne czy nawet psychologiczne determinują, ale nie można się w tym zamykać. Świat jest dzisiaj otwarty. W każdej chwili mogę nawiązać kontakt z moimi uczniami, którzy pracują akurat w Australii i tam robią kariery. Świat jest mały. Przynajmniej w sensie intelektualnym przemierzanie go jest dziś bardzo łatwe. To, że coś powstaje w Polsce i jest robione pod kątem potrzeb oraz uwarunkowań polskich użytkowników, również emocjonalnych, jest bardzo pozytywne. Szkoda byłoby, gdyby wszystko dyktowali nam Amerykanie albo ktokolwiek inny. Ale z drugiej strony nie przeceniałbym tego. Mądrość jest jedna. Nie ma narodowości, ma tylko legitymację inteligencji.

Na koniec zapytam o największe zagrożenie związane z AI. Boimy się buntu maszyn. A co, Pana zdaniem, jest największym zagrożeniem sztucznej inteligencji?
To, że dostanie się w ręce ludzi, którzy wykorzystają ją przeciwko innym ludziom. Absolutnie nie wierzę w żadne bunty maszyn ani w zagrożenie polegające na tym, że sztuczna inteligencja wreszcie dojdzie do wniosku, że te biologiczne twory, które wędrują po świecie, są jej tak naprawdę niepotrzebne, bo ona jest mądrzejsza. Że te prototypy czy wzorce białkowe można by w ogóle zniszczyć. Bo po co człowiek, skoro tak wspaniała jest sztuczna inteligencja? Tego się nie boję. To jest wizja, którą na swój użytek mogą budować twórcy science fiction i filmów grozy. Można się bać dinozaurów, jak w „Jurassic Park". Można się bać rekina. Można się bać sztucznej inteligencji. Ale to są rzeczy wydumane, wymyślone. Natomiast uważam, że niebezpieczne jest coś innego: tego narzędzia można użyć zarówno dla dobra ludzi, społeczności czy jakiejś dziedziny, jak i przeciwko nim. Jak mówiłem, zajmuję się inżynierią biomedyczną, więc próbuję zaprzęgać sztuczną inteligencję do procesów związanych z tym, żeby skuteczniej chronić zdrowie ludzi i skuteczniej usuwać skutki różnych chorób. To jest cel pozytywny. Ale niestety faktem, a nie przypuszczeniem jest to, że są ludzie, którzy będą chcieli wykorzystać AI do celów niekoniecznie pozytywnych, a nawet bardzo złych. Daleko nie trzeba szukać. Weźmy wojnę. Na wojnie sztuczna inteligencja może zwiększyć skuteczność działania. Ale zwiększenie skuteczności oznacza wymordowanie większej liczby przeciwników. Tego właśnie się boję: sztucznej inteligencji bardzo profesjonalnie i skutecznie stosowanej przez ludzi, którzy wobec innych ludzi mają złe, a nawet zbrodnicze zamiary. To nie jest abstrakcja. Może być tak, że ci, którzy dążą do różnego rodzaju siłowych rozwiązań, dzięki sztucznej inteligencji albo posługując się sztuczną inteligencją, będą osiągać swoje cele skuteczniej. A ta większa skuteczność oznacza tylko jedno: przeciwników pokonanych przy użyciu sztucznej inteligencji jak topora będzie po prostu więcej. Źli ludzie, kierując się złymi intencjami, mogą dobrą sztuczną inteligencję uczynić zbrodniczą. I oby do tego nie doszło!

KSIĄŻKA



Ryszard Tadeusiewicz, „Sztuczna inteligencja. Od Turinga po ChatGPT", wydawnictwo RM

eprasa.pl 40f33bb3b7

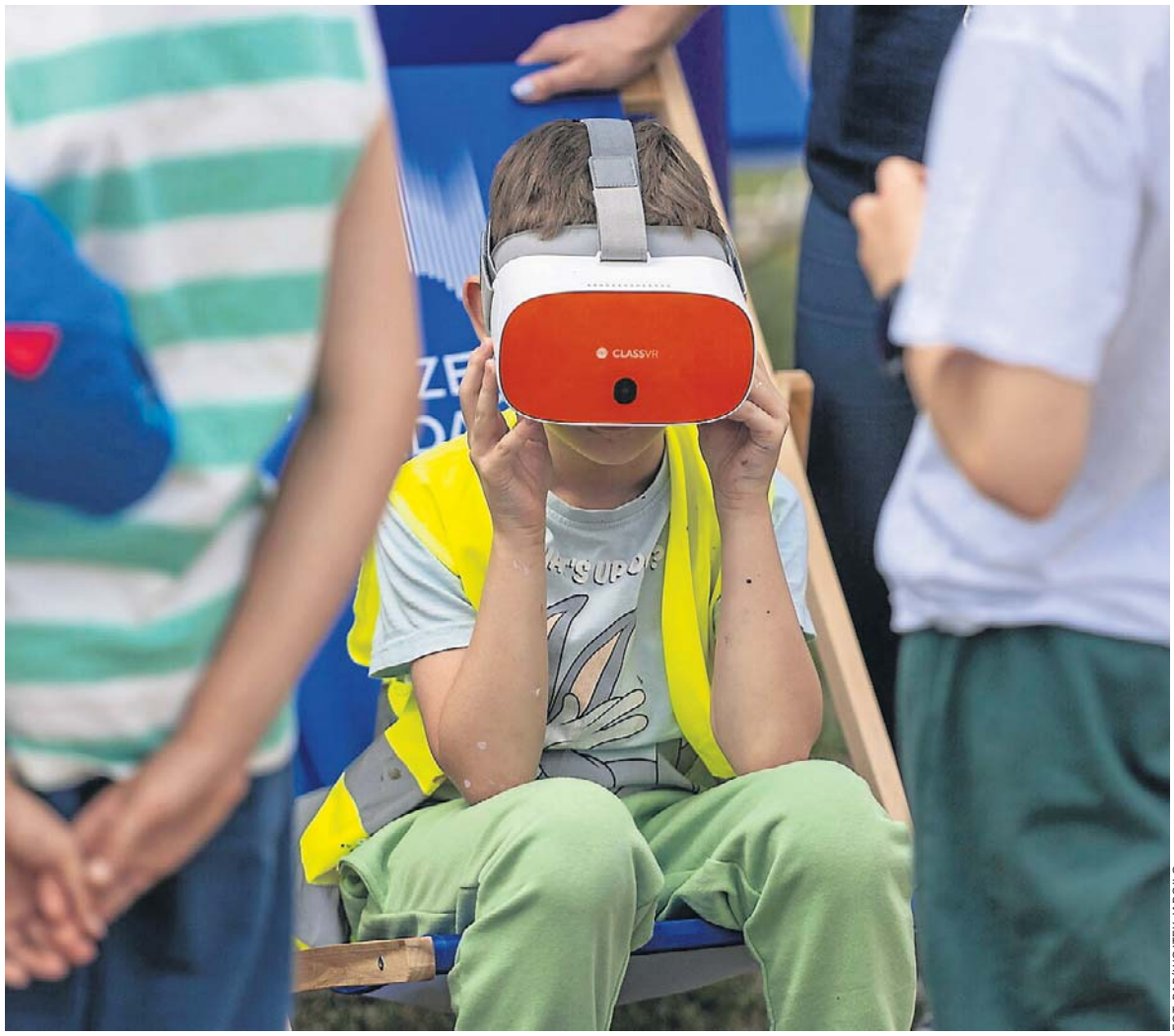
FOTO*komentarz tygodnia*



FOT. PAP/EPA/MAXYM MARUSENKO

1 CZERWCA, UKRAINA

Rosji coraz trudniej o sukcesy wojskowe na linii frontu, więc sięga po typową dla siebie brutalność wobec cywilów. Tylko 1 czerwca w bombardowaniach Ukrainy zginęło 13 osób (cztery w samym Kijowie), ponad 100 zostało rannych. Rosjanie użyli kombinacji ataków dronowych (650 różnego rodzaju dronów) i rakietowych (70 pocisków). Ale obok kolejnych aktów terroru widać coraz większą słabość Rosjan na polu walki. Linia frontu – mimo zapowiadanej na wiosnę ofensywy – stoi właściwie w miejscu. A wojska ukraińskie za pomocą dronów coraz skuteczniej uderzają w zaplecze rosyjskiej armii



FOT. PAP/WOJTEK JARGIŁO

1 CZERWCA, POLSKA. **Między innymi w ten sposób dzieci świętowały tegoroczny Dzień Dziecka – bo też bez współczesnych cyfrowych wynalazków najmłodsi często nie wyobrażają sobie życia. Ale rząd uznał, że szkoły powinny być od elektroniki wolne. Od 1 września wejdzie zakaz korzystania ze smartfonów**



FOT. PAP/SZYMON ŁABIŃSKI

1 CZERWCA, PŁOCK. **Potężny pożar doszczętnie zniszczył ogromną (8 tys. mkw.) halę. Ogień gasiło aż 120 strażaków. Na szczęście obyło się bez ofiar, ale z dymem uleciało wiele miejsc pracy w centrum Płocka**



FOT. PAP/PIOTR NOWAK

31 MAJA, WARSZAWA. **Estończyk Jaan Roose przeszedł po 500-metrowej linie rozciągniętej między Pałacem Kultury i wieżowcem Varso. Prawdziwy spacer w chmurach – bo na wysokości 180 m.**

eprasa.pl 40f33bb3b7

PULS
#219



Generacja zrób to sam.

BT

eprasa.pl 40f33bb3b7

Agaton Koziński

KTO SIĘ POTRAFI UCZYĆ NA WŁASNYCH BŁĘDACH?



Awantura, jaka w Polsce wybuchła przy okazji decyzji Wołodymyra Zełenskiego o nadaniu jednej z ukraińskich jednostek nazwy „Bohaterowie UPA" sprawia, że poniżej naszych radarów przeszło inne wydarzenie. Gest pozornie drobny, ale ważny – w dodatku przypominający już to, co oglądaliśmy w przeszłości.

Chodzi o decyzję niemieckiego biznesu o udziale w konferencji gospodarczej w Petersburgu. Przedstawiciele niemieckiej Izby Handlu Zagranicznego regularnie brali udział w tym forum do 2021 roku. Po ataku Rosjan na Ukrainę przestali, ale w tym roku postanowili tam wrócić. – Zachód nie powinien na stałe oddawać Rosji jej dużego rynku i surowców Azji – argumentował tę decyzję Matthias Schepp, szef Izby.

*

Nie pierwszy to raz, gdy Niemcy wychodzą z założenia, że można z Rosją zbudować normalne stosunki gospodarcze. Za czasów rządów Angeli Merkel powstała nawet cała doktryna nazywana po niemiecku „Wandel durch Handel" (zmiana przez handel). Zgodnie z jej założeniami budowanie więzi biznesowych z Rosją miało przełożyć się na jej zmianę polityczną. Uważano, że im więcej różnych interesów będzie łączyć Moskwę z Berlinem – czy, szerzej, całą Rosję z Europą – tym Kreml stanie się bardziej przewidywalny, bardziej cywilizowany, bardziej demokratyczny. To legło u podstaw koncepcji budowania najpierw pierwszej, a potem drugiej nitki rurociągu Nord Stream. Handel ropą miał sprawiać, że Rosja nigdy nie wyda swojej armii rozkazu wyjścia z koszar – tak przekonywali całą Europę Niemcy.

Nord Stream 2 miał być otwarty w drugiej połowie 2022 r., ale pół roku wcześniej, 24 lutego, Rosja uderzyła na Ukrainę. Takie efekty przyniosła wielowektorowa strategia „Wandel durch Handel" w praktyce.

*

Oczywiście, dziś nikt już skompromitowanego pomysłu cywilizowania Rosji przez związki biznesowego podnosić nie będzie. Koncepcje z czasów Angeli Merkel odeszły bezpowrotnie razem z nią. Ale też nie da się nie zauważyć, że od czasów zawieszenia współpracy gospodarczej z Rosją Niemcy znajdują się w bardzo trudnej sytuacji gospodarczej. W tak trudnej (wzrost gospodarczy Niemiec w 2025 r. to 0,2 proc., w tym roku ma to być ok. 0,5 proc.), że biznes będzie szukał każdej okazji do ratowania swoich szans. Także jeśli będzie to oznaczało współpracę z Rosją. A jeśli ktoś uważa, że to nie jest możliwe – bo wartości, bo zasady, bo trwa wojna – to niech najpierw odpowie na pytanie: co delegacja niemieckiego biznesu robi w Petersburgu?

Oczywiście, biznes nie funkcjonuje w próżni, nad nimi są jeszcze politycy, rząd. Trudno sobie wyobrazić sytuację, w której kanclerz Friedrich Merz odnawia współpracę z Moskwą albo przynajmniej akceptuje odbudowę relacji biznesowych. Ale Merz jest kanclerzem słabym (po roku rządów ma rekordowo noskie sondaże), koalicja rządowa jest pęknięta i wewnętrznie skłócona. A w sondażach bardzo wyraźnie prowadzi AfD, które mocno argumentuje na rzecz ograniczenia pomocy Niemiec dla Ukrainy i odbudowy więzi z Rosją. To jest skala wyzwania, przed jaką stoimy jako Polska, jako Europa. Warto też pamiętać o tym wymiarze trwającego obecnie na wschodzie konfliktu i w tym kontekście patrzeć też na polską dyskusję o „bohaterach UPA", których nigdy nie było.

Adam Buła

BOOMERSTWO WRACA DO SZKOŁY



To nie jest tak, że nie nadążam. Po prostu pamiętam, że to podłużne coś w dłoni służy do kontaktu na odległość – nawet jak wolimy już SMS-ować lub dyktować wiadomość, a nie dzwonić i rozmawiać. A że to już nie telefon tylko smartfon, szybko przejmujący funkcje kolejnych, niepotrzebnych już setek urządzeń: od zegarka po glukometr – to kwestia drugorzędna. Dla mojego pokolenia. Dla wcześniejszych, czyli… prawie wszystkich – smartfon zastępuje też coraz powszechniej takie drobiazgi jak realne kontakty międzyludzkie lub nawet… samą rzeczywistość.

To zresztą ciekawe, jak często ludzie mylą „nadążanie" za światem z „nadskakiwaniem" metryce. Jeśli pamiętasz jeszcze telefony na kabel w daleko nie każdym domu, masz po prostu przywilej rozeznania. Powinniśmy oczywiście ogarniać Tik Toka, ale doprawdy nie musimy udawać, że nas to kręci i totalnie kasuje sens wieczorków w domu kultury z poezją Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Zaprawdę bowiem stoi w Piśmie, że jest czas na różne rzeczy pod słońcem… To trochę jak z samochodami: między napędem spalinowym a elektrycznym zachodzi tylko różnica technologiczna. Prawdziwy - i niekoniecznie dobry – przełom cywilizacyjny polega na tym, że to nowsze cholerstwo bez przerwy do ciebie gada. I zwyczajne się czepia, wciąż czegoś ci zakazując albo nakazując. Moja ukochana honda (rocznik 1996) poproszona - pięknie śpiewała, a nie proszona – trzymała język za zębami. Dziś możemy wybierać między tysiącami nowych modeli, zaprogramowanych fabrycznie na maniakalnego konsultanta-gadżeciarza.

Pamiętanie innych systemów, innych czasów i innych sprzętów nie musi być dziaderstwem, boomerstwem czy jakimi tam jeszcze epitetami akurat młodsi rzucają. Mój smartfon zazwyczaj leży i milczy, od czasu do czasu dając znać, że ktoś ma do mnie jakąś sprawę. Nieużywane smartfony moich córek mają notoryczną fazę ostrej epilepsji: tam na ekranie co 0,25 sekundy wskakuje nowy rozpraszacz, generowany przez jedną z bóg wie ilu aplikacji z włączoną standardowo funkcją powiadomień. Dzieci dziś to – nawet w fazie wymuszonej koncentracji na rozmowie z rodzicem – jednookie cyklopy z odruchami, które naśladują Edwarda Nortona grającego upośledzonych.

Dla mnie w sumie spoko, dopóki jeszcze jest kontakt. Nie chodzi mi bowiem o ględzenie, że „za naszych czasów". Bo wtedy prawie wszystko nie „było lepsze". Sporo jednak rzeczy miało swój głębszy sens. Jednym z nich było chodzenie do szkoły. Porzućmy kwestie, jakiej szkoły, z jakim programem i nauczycielami, czyli – z jakim finalnym skutkiem. Zysków z powszechnie dostępnej ale też przymusowej, podstawowej edukacji nikt w zasadzie nie kwestionuje. Niezwykle mnie ciekawi zatem, czy opozycyjnej prawicy i prezydentowi uda się po wakacjach nakręcić kolejną gównoburzę nad zapowiedzianym właśnie przez rząd zakazem używania przez dzieci w podstawówkach smartfonów: na lekcjach i na przerwach.

Wydaje się, że ten coraz powszechniej wprowadzany w liberalnych krajach (ale np. w Chinach też) standard trudno jest kwestionować. Po prostu nauka dziecka w szkole i włączony smartfon w jego rękach to dwie równoległe linie rzeczywistości. Albo, mniej górnolotnie: szkoła sprowadzona do wieloletniego, specjalistycznego szkolenia unikalnej cechy polegającej na ukradkowym skrolowanie sociali.

To problem naprawdę daleko mniej kontrowersyjny od wprowadzonego rok temu w Australii twardego zakazu korzystania z mediów społecznościowych przez dzieci do lat 16. Bo tu dopiero otwiera się pole do wielkiej dyskusji. Dyskusji o tym, jak zmiana technologiczna (internet + smartfon) przekłada się nie tylko na zmiany cywilizacyjne (interakcje w sieciach społecznościowych a nie w realu) ale wprost na biochemię i strukturę naszych mózgów (obrazkowość, przebodźcowanie, itd). Tylko że jakby czas się na takie dyskusje powoli nam kończy. Bo ja - boomers, potrafię puścić na sociale szybką rolkę z kotkiem, choć niekoniecznie będzie ona viralem. A ilu młodych z pokolenia Z wysiedzi na wieczorku z poezją Pawlikowskiej, gdy każą wyłączyć smartfony?

Kiedy upadliśmy? Kiedy się zastanawiam, czy zaznaczyć, że to było pytanie retoryczne, a każdy inteligentniejszy żart w sieci opatrywany jest dopiskiem, że to ironia. Więc przynajmniej odpuśćmy sobie kłótnie o smartfony w szkołach. Dajmy naszym dzieciom szansę dowiedzenia się czegoś o świecie, zanim – jako gatunek – nieuchronnie nie zaczniemy wracać na drzewo.

Nie mówię, że to źle. Twierdzę tylko, że to będzie inne drzewo z innym homo – bo na pewno już nie sapiens.

Spodziewajcie się licznych zmian. Było ich dużo w pierwszym spotkaniu i w drugim też tak będzie. To są mecze sparingowe i kiedy, jeśli nie teraz, próbować różnych rzeczy i dawać szansę piłkarzom? W trakcie spotkania z Ukrainą przeprowadziliśmy dziewięć zmian. To normalne w takich meczach

SELEKCJONER PIŁKARSKIEJ REPREZENTACJI POLSKI JAN URBAN PRZED ŚRODOWYM MECZEM TOWARZYSKIM Z NIGERIĄ

eprasa.pl 40f33bb3b7

KOBIECA TWARZ ROKU 2026.
INSPIRUJĄCE HISTORIE, EMOCJE I SIŁA

W rezydencji Miętowe Wzgórza odbył się finał plebiscytu Kobieca Twarz Mazowsza. Uczestniczki spotkały się podczas inspirującego Forum Kobiet, warsztatów rozwojowych i prelekcji poświęconych kobiecej sile, zdrowiu oraz budowaniu pewności siebie



FOT. ŁUKASZ KACZANOWSKI

W plebiscycie „Kobieca Twarz Roku Mazowsza 2026" wzięły udział kobiety z całego regionu. Córki, matki, kobiety dojrzałe... Nie zabrakło wzruszających historii i emocji



FOT. ŁUKASZ KACZANOWSKI

Laureatki: Barbara Maślana, Grażyna Paczyńska i Anna Grudzińska



FOT. ŁUKASZ KACZANOWSKI

Integralną częścią wydarzenia było tradycyjne już Forum Kobiet

We wtorek, 26 maja w rezydencji Miętowe Wzgórza spotkały się wyjątkowe kobiety z całego Mazowsza, czyli uczestniczki plebiscytu Kobieca Twarz Roku. Był to dzień pełen wzruszeń, inspirujących rozmów i kobiecej solidarności. Panie po raz kolejny udowodniły, że siła kobiet tkwi nie tylko w determinacji, ale również w empatii, odwadze i gotowości do działania na rzecz innych.

Forum Kobiet

Integralną częścią wydarzenia było tradycyjne już Forum Kobiet, czyli warsztaty i spotkania pokazujące, jak wiele potencjału kryje się w każdej kobiecie, nawet jeśli często zagłusza go wewnętrzny krytyk. W Forum Kobiet brały udział:

● Martyna Guba, audytor potencjału, ambasadorka przedsiębiorczych kobiet i twórczyni projektu ODCIENIE KOBIECOŚCI™, poprowadziła podczas Forum Kobiet Mazowsza inspirujące warsztaty rozwojowe dla kobiet. Przygotowany przez nią program wspierał uczestniczki w budowaniu odwagi, pewności siebie, kobiecej sprawczości oraz marki osobistej opartej na wartościach. Spotkanie poświęcone było rozwojowi kobiet, odkrywaniu własnego potencjału oraz wzmacnianiu poczucia własnej wartości.

● Edyta Dawiskiba, trenerka metody oddechowej dr. Butejki, instruktorka Slow Joggingu i gimnastyki TAO oraz mentor witalny, poprowadziła prelekcję „Oddech kobiety – klucz do równowagi hormonalnej, energii, wewnętrznego spokoju i lepszego życia intymnego". Podczas spotkania uczestniczki dowiedziały się, jak techniki oddechowe, redukcja napięć i świadoma praca z ciałem wpływają na zdrowie psychiczne, równowagę hormonalną oraz codzienne samopoczucie kobiet.

Emocje, które zostają na długo

Uczestniczki, które zdobyły największą liczbę głosów w etapie wojewódzkim, spotkały się także z jury konkursowym. Zadanie nie należało do łatwych, każda z kobiet miała swoją wyjątkową historię, doświadczenia i drogę, którą przeszła.

– Historie opowiadane podczas tych spotkań zostają w nas na długo. Poznajemy kobiety, które często musiały przejść trudną drogę, by choć przez chwilę postawić na siebie. Kobiety niezwykłe, które samym uśmiechem i iskrą w oku zmieniają świat na lepsze – podkreślały członkinie jury.

Laureatki Kobiecej Twarzy Mazowsza

● W kategorii Kobieta Dojrzała wygrała Anna Grudzińska. To kobieta, która pokazuje, że marzenia nie mają terminu ważności. Nieustannie się rozwija, uczy i udowadnia sobie, że po więcej można sięgać na każdym etapie życia. Swoją postawą inspiruje również córki, pokazując im, jak ważna jest wiara w siebie i odwaga w realizacji własnych planów.

– To nagroda, której zupełnie się nie spodziewałam. Do plebiscytu zgłosiły mnie córki, bo chciały, żebym wreszcie zrobiła coś dla siebie. To było wyjście poza moją strefę komfortu, ale jednocześnie dało mi ogrom odwagi i poczucia własnej wartości. Po latach pomagania innym zaczynam wreszcie dostrzegać również siebie i pozwalam sobie rozkwitać jako dojrzała kobieta – mówiła wzruszona pani Anna.

● W kategorii Matki zwyciężczynią została Grażyna Paczyńska. Kobieta niezwykle silna, choć sama nie zawsze patrzy na siebie w ten sposób. Jej doświadczenia nie definiują tego, kim jest. To historia odwagi, walki o siebie i próby spojrzenia na własne życie z większą łagodnością.

– Zawsze walczyłam z bliznami po oparzeniach z dzieciństwa i przez lata uważałam swoją twarz za niedoskonałą. Choć dziś są praktycznie niewidoczne, trauma nadal we mnie została. Zgłosiłam się do plebiscytu, bo chcę się z tym uporać i uwierzyć, że jestem atrakcyjną kobietą. Chcę wreszcie przestać szukać w sobie wad – mówiła laureatka kategorii Matki.

● Kobieta Roku Mazowsza w kategorii Córki została Barbara Maślana. Jej historia przypomina, że życie potrafi otwierać nowe rozdziały w najmniej spodziewanym momencie. To opowieść o zmianie, nowym początku i odwadze, by zawalczyć o siebie i swoją przyszłość.



FOT. ŁUKASZ KACZANOWSKI

Wszystkie uczestniczki otrzymały zestawy kosmetyków od partnera wydarzenia

– O plebiscycie dowiedziałam się od mamy, która przesłała mi link. Nie spodziewałam się żadnej wygranej. Ten rok jest dla mnie bardzo przełomowy – zaczynam stawiać na siebie i swoją przyszłość. Ten tytuł daje mi ogromną siłę i motywację. Na początku nie wierzyłam, że mogę zająć jakiekolwiek miejsce, a dziś jestem Kobiecą Twarzą Mazowsza. To coś naprawdę niesamowitego – mówiła szczęśliwa pani Barbara.

Choć jury musiało wskazać laureatki w trzech kategoriach, tak naprawdę wygranymi były wszystkie uczestniczki wydarzenia. To był dzień pełen kobiecego wsparcia, nowych znajomości, inspirujących rozmów i dobrej energii.

redakcja

REKLAMA 0011529466



ORGANIZATOR
POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA
ed ECHODNIA
nam! warszawa naszemiasto

PARTNER FORUM KOBIECOŚCI
SYLVECO silva·natura·ecologia

PATRON PLEBISCYTU
sK stronaKOBIET

eprasa.pl 40f33bb3b7

Polska
Środa–niedziela, 3–7.06.2026

W dzieciństwie nosili klucz na szyi i nauczyli się, że najlepiej liczyć na siebie. Przetrwali stan wojenny, hiperinflację, transformację, trzy bańki spekulacyjne i rewolucję technologiczną. Dzisiaj to oni wciąż napędzają światową gospodarkę, chociaż dla tego świata stali się „niewidzialni"

Dorota Kowalska



FOT. GETTY IMAGES

Wszystko, przez co przeszli w zawodowym życiu, sprawia, że Iksy często zostają w pracy po godzinach, są przemęczeni

POKOLENIE X. TWARDZIELE, O KTÓRYCH TROCHĘ ZAPOMNIAŁ ŚWIAT

Słuchajcie, mam taką teorię - gdyby jutro na dobre wyłączyli internet, prąd i zamknęli wszystkie sklepy, najlepiej z tą apokalipsą poradziłoby sobie pokolenie X. No bo kto inny? Zetki bez technologii mogłyby być bardzo zagubione. Większość milenialsów też miałaby problem ze zbudowaniem szałasu bez instrukcji na YouTubie. Boomersi skrzyknęliby się w grupę i dzielnie znosili trudne warunki. Ale prawdziwymi mistrzami przetrwania i jedyną szansą ludzkości na odbudowę cywilizacji byłoby pokolenie X. Oni są jak MacGyver. Ze spinacza i gumy do żucia zbudują wynalazki ratujące życie" - zaczyna swój felieton Anna Szlęzak, psychoterapeutka. I dodaje, że „pokolenie X to ludzie, którzy przetrwali stan wojenny, hiperinflację, trzy bańki spekulacyjne i przejście z faksu na Slacka. To psychologiczny ultramaraton, który od czterdziestu lat nie pozwala im zwolnić, odpocząć i poczuć się w pełni bezpiecznie".

Pokolenie X to ludzie urodzeni w latach 1965-1980. Rozbieżność niby duża, bo jedni to już dziadkowie, inni wciąż wychowują własne dzieci, ale pewne cechy mają wspólne. Twardzi musieli być od dzieciństwa.

Z kluczem na szyi

Wojtek, rocznik 71., informatyk. Dorastał na Śląsku, rodzice przyjechali tu w poszukiwaniu pracy i lepszej przyszłości. Jakie ma pierwsze skojarzenie z dzieciństwa? Klucz na szyi i młodszy brat uwieszony u nogi.

- W sumie to miałem fajne dzieciństwo! - tak zaczyna.

Rodzicie pracowali na poranne zmiany, od godz.7.00 do 15.00, ale jakąś godzinę zajmował im powrót do domu. Rano mama zaprowadzała Adama, młodszego brata, do przedszkola, on do szkoły maszerował sam. Z kluczem na szyi, jak większość kolegów i koleżanek z klasy. W szkole jadł obiady, drugie śniadanie przynosił ze sobą.

- Wracałem do domu i czekałem na brata, przyprowadzała go zaprzyjaźniona sąsiadka, która chodziła do przedszkola po swoją córkę. Nie pracowała, mąż był górnikiem, więc mogła sobie na to pozwolić. Po przyjściu Adama robiłem nam kanapki, potem odrabiałem lekcje, a brat się bawił - wspomina.

Dość szybko pojął, ale i Adam też, że im sprawniej działają, tym więcej czasu spędzą z kolegami. Nauczył się kroić chleb, kłaść na niego co tam było w lodówce. Odrabiał lekcje starannie, ale co chwila zerkał na zegarek. Adam wiedział, że nie ma co marudzić i przeszkadzać, bo wtedy będzie siedział w domu, więc jak to mówi Wojtek, „młody współpracował".

- Rodzice z pracy zawsze wracali zmęczeni. Pytali, jak tam w szkole, czy odrobiłem lekcje, czy nie jesteśmy głodni, Adama, co było na obiad w przedszkolu - wspomina.

Odpowiedzi szły z automatu: „W szkole dobrze", „Tak, odrobiłem lekcje", „Nie, nie jesteśmy głodni. Zrobiłem kanapki". Adam potakiwał i dodawał, że obiad w przedszkolu był smaczny, z nikim się nie pobił i pani go pochwaliła. Po tym błyskawicznym zdaniu relacji z dnia następowało rytualne: „To możemy iść na dwór?".

- I mama zazwyczaj kiwała potakująco głową. Dzisiaj myślę, że była w tym potakiwaniu także ulga, rodzice mogli wreszcie odpocząć - śmieje się Wojtek.

Na podwórku koledzy czekali na nich już od godziny 15. Była gra w piłkę na pobliskim boisku, czyli wykoszonej polanie, wrotki, które on dostał na gwiazdkę jako pierwszy na osiedlu, był trzepak, zabawy w chowanego. Adam był z nim albo ze swoimi kolegami. Wszyscy trzymali się razem. Do domu musieli wrócić do godziny 19.

- Wiedziałem, że muszę radzić sobie sam. Nie było telefonów, nie było Google'a. Jak coś się stało, mogłem co najwyżej pobiec do sąsiadki. Nie widziałem w tym żadnego heroizmu, wszyscy moi koledzy tak funkcjonowali - wzrusza ramionami Wojtek.

Rodzice, owszem, byli obok, troszczyli się, kochali, ale nie było wylewności, okazywania uczuć, przytulania. Uczyli go samodzielności, a właściwie samodzielności uczyło go życie. Tata pokazywał mu, jak dbać o wrotki, jak nasmarować łańcuch w rowerze, nawet dziurę w piłce sami zakleili łatą. Długo nią już nie pograł, ale starczyło na jakiś czas.

Jako dorosły mężczyzna trzy razy wyremontował mieszkanie, naprawia w domu wszystkie sprzęty, do fachowców dzwoni tylko wtedy, kiedy wie, że z problemem sobie nie poradzi. Inni jego znajomi też tak mają.

- Mówiąc szczerze, z rozrzewnieniem wspominam tamte czasy. Było trudniej, biedniej, ale dorastaliśmy razem, w grupie. Nie było komputerów, musieliśmy sami wymyślać zabawy, organizować sobie czas - mówi.

Tak, czuje się przez to twardszy, odporniejszy, bardziej zaradny, chociaż pewnie z dzisiejszej perspektywy ktoś powiedziałby, że był dzieckiem niezaopiekowanym. Nie odbiera tak tego. Takie były czasy, tak funkcjonowała większość dzieciaków w jego dzielnicy. No chyba że ktoś miał blisko dziadków, ale zazwyczaj jeździło się do nich na wakacje. Rodzice kolegów, tak jak jego, przyjechali na Śląsk, nie mieli tu rodziny. Musieli sobie radzić bez jej wsparcia, ich dzieci - czyli oni - także. Więc zawsze było przedszkole, potem szkoła i najlepiej studia. Rodzice cały czas im powtarzali, że mają się uczyć, bo jak się już wykształcą, czeka na nich praca, a jak będą pracować, z czasem kupią pierwsze mieszkanie, samochód, pojadą na wakacje.

- W czasach mojego dzieciństwa świat wydawał się uporządkowany. Wszyscy mieli po tyle samo, raczej mało niż dużo, ścieżka życiowa też wydała się jasno określona - opowiada Wojtek. Skończył szkołę, potem studia, i ani jednego dnia nie przepracował w wyuczonym zawodzie.

Nowe czasy, nowe wyzwania

„Pokolenie X nie miało łatwo w życiu, i to nie tylko ze względu na wymagające dzieciństwo. Świat na wejściu obiecał względną stabilność i przewidywalność tylko po to, żeby potem ci ludzie musieli patrzeć, jak co kilkanaście lat kompletnie staje na głowie. Od dziecka słyszeli, że jeśli będą ciężko pracować i trzymać się zasad, to wszystko się ułoży. A potem zasady zmieniały się na ich oczach praktycznie co chwilę" - mówi Anna Szlęzak. I dodaje, że „kiedy Iksy wchodziły na rynek pracy, w Polsce skończył się komunizm i rozpoczął trudny okres transformacji. Z jednej strony oznaczało to nowe możliwości, z drugiej niepewność zatrudnienia, drastyczne reformy i ogromne bezrobocie. Na oczach Iksów walił się stary porządek i w niemałym chaosie rodził się nowy".

No tak, dość szybko okazało się, że trzeba się przebranżowić albo w ogóle szukać pracy w zupełnie innym niż wyuczonym zawodzie. Do tego, kiedy już wydało się, że Iksy opanowały rzeczywistość, pojawiły się komputery, internet

eprasa.pl 40f33bb3b7

- i znowu musieli się w tym wszystkim odnaleźć.

Anna, rocznik 67. Skończyła studia, ale jakoś nie wyobrażała sobie pracy w szkole, a mogła w niej uczyć języka polskiego. Dużo dzieci, hałas, pensja taka sobie. Chciała pisać. To był świetny czas dla dziennikarstwa, otwierały się nowe redakcje: szukano młodych, zdolnych, pełnych pasji. Poszła do jednej z nich. Redaktor naczelny kazał jej napisać dwa teksty, to zobaczą, czy się nadaje.

- Napisałam, przyniosłam. Pozwolono mi zostać miesiąc na okresie próbnym. Po tym czasie dostałam umowę; na początku płacono mi za ilość napisanych artykułów, ale pisałam ich tak dużo, że w pewnym momencie szefostwo doszło chyba do wniosku, że taniej będzie, jak dadzą mi umowę o pracę - wybucha śmiechem.

Bo pracowała, wszyscy tak pracowali, jak opętana. Od rana do późnej nocy. Spotkali się w redakcji około godz. 8.00, szef rozdzielał tematy, wcześniej poranny dyżurant obdzwaniał policję, straż pożarną, urzędy, żeby zorientować się, co się dzieje w regionie. Nie było internetu, nie było całodobowej telewizji. Każdy temat trzeba było wyszarpać, wychodzić. Po kolegium jechali w teren. Potem wracali do redakcji, pisali tekst i gadali godzinami przy kawie.

Wychodzili z redakcji około 22.00. Szaleństwo! Nie dlatego, że musieli. Chcieli. Szybko wciągnęła ją ta robota: wyjazdy, rozmowy z ludźmi i tekst podpisany jej nazwiskiem. Miała poczucie misji? Wzrusza ramionami.

- Nie wiem, po prostu lubiłam to, co robię. I miałam wrażenie, że to coś ważnego. Wtedy gazety sprzedawały się w setkach tysięcy egzemplarzy, ludzie nas czytali, pisali do nas - tak odpowiada. - To był dziwny czas, trudny, ale też dający wiele możliwości. Z mojej klasy z liceum wszyscy poszli na studia. Potem w większości próbowali się odnaleźć w nowej rzeczywistości, bo wchodziliśmy na rynek pracy w czasach transformacji - opowiada.

Spogląda na klasowe zdjęcie z liceum. Ewa skończyła romanistkę, pojechała do Paryża, zrobiła tam studia podyplomowe, wróciła do Polski i natychmiast dostała pracę we francuskim koncernie, który wchodził właśnie na rynek Europy Środkowej i Wschodniej. Ona też pracowała od rana do późnej nocy.

Marek - mieli w liceum rozszerzony język francuski, od szkoły podstawowej uczyli się języka rosyjskiego; też załapał się w jakiejś zachodniej korporacji. Ela, jak tylko było można, wyjechała do Anglii. Monika uczy w szkole, Aśka kilka lat po studiach otworzyła własny biznes. Każdy jakoś sobie poradził.

Kuba - pokazuje na zdjęciu chłopaka z bujną czupryną - w pewnym momencie się przebranżowił. Zawsze był dobry z przedmiotów ścisłych. Zaczynał jako nauczyciel matematyki, dzisiaj prowadzi firmę informatyczną. Tak, musieli się cały czas uczyć, dostosowywać do zmian, a świat pędził w zastraszającym tempie.

- Kiedy zaczynałam, pracowaliśmy na starych Macintoshach, a kierowca woził co wieczór do drukarni makiety stron - wybucha śmiechem. - Dzisiaj wszystko jest zautomatyzowane, większość dziennikarzy pracuje z domów i łączy się z redakcją na Teamsach - dodaje.

Brakuje jej tamtych redakcji? Tamtej atmosfery? Na pewno tak.

Nastawieni na pracę

Wszystko, przez co przeszli w zawodowym życiu - transformację, prawdziwy skok technologiczny - sprawia, że Iksy często zostają w pracy po godzinach, wielu z nich to pracoholicy; potwierdzają to zresztą badania. Blisko co trzeci badany Polak deklaruje, że pracuje więcej niż 40 godzin tygodniowo - wynika z raportu „Polki i przedsiębiorczość 2024: Dynamika czasu pracy". Wśród przedsiębiorczyń ten odsetek wynosi z kolei aż 42 proc. Najwięcej pracują osoby z pokolenia X - aż 43 proc. z nich ponad 40 godzin tygodniowo.

Przedstawiciele pokolenia X często spędzają w jednej firmie wiele lat i mocno się z nią identyfikują. Uważają też, że samo miejsce pracy czy zawód, który wykonują, jeśli te cieszą się wystarczającym szacunkiem, są już swego rodzaju nagrodą, dla której można czasami pocierpieć: zostać dłużej w pracy, przemilczeć brak podwyżki czy premii, machnąć ręką na fanaberie szefa. Iksy są odpowiedzialne, efektywne i lojalne wobec pracodawcy.

Cenią sobie stabilizację, ważna jest również dla nich godziwa pensja. Utrzymują rodziny, często pomagają też rodzicom albo dorosłym już dzieciom. Także z tego powodu cenią sobie przewidywalność. Dla nich zmiana pracy to ostateczność - kojarzy im się wyłącznie ze stresem, brakiem stabilności. Więc, mówiąc szczerze, harują jak woły, żeby było „po staremu", żeby nic się nie zmieniło.

„Być może trochę licząc na to, że uchroni ich to przed kolejną katastrofą albo przynajmniej pozwoli odłożyć wystarczająco dużo pieniędzy, żeby przetrwać kolejny kryzys. Życie nauczyło ich, że zawsze muszą być przygotowani na najgorsze i że nieważne, jak bardzo dążą do stabilności, świat i tak pewnie znowu zrobi im jakiegoś bolesnego psikusa, nawet kiedy mają nadzieję na coś dobrego. No i tak przygotowują się na wszystko, co może pójść nie tak" - mówi w swoim felietonie Anna Szlęzak.

I często idzie nie tak. Pokolenie X według danych GUS stanowi dziś 36,5 procent wszystkich pracujących w Polsce. To oni zarządzają zespołami i utrzymują ciągłość biznesową, często uchodzą za ekspertów w swoich dziedzinach. Mimo to w wielu firmach osoby między 45. a 59. rokiem życia są „niewidzialne", Iksy rzadziej chociażby uczestniczą w szkoleniach niż przedstawiciele innych pokoleń. Firmy wychodzą z założenia, że pracownik w tym wieku „już zrobił swoje", więc przestają w niego inwestować.

Dane Eurostatu są jednoznaczne: Polska szybciej niż średnia unijna traci dojrzałych pracowników. Nie dlatego, że ci chcą odchodzić, ale dlatego, że systemowo są wypychani z rynku pracy.

Powód? Wszechobecne stereotypy na temat Iksów. Chociażby ten, że to pokolenie analogowe. To prawda, ale szybko uczy się cyfrowych rozwiązań.

IKSY MAJĄ DOŚĆ. ŻYJĄ TROCHĘ W ROZKROKU MIĘDZY POKOLENIEM SWOICH RODZICÓW I DZIECI. ZMĘCZENI, PRZECIĄŻENI, CZĘSTO WYPALENI

Dane OECD wskazują, że luka kompetencyjna między nimi a przedstawicielami młodszych generacji jest coraz mniejsza. I wcale nie jest tak, że Iksy nie lubią zmian. Nowego boją się wszyscy albo prawie wszyscy. Są za to przyzwyczajeni do tego, że w życiu trzeba sobie radzić, sporo przeżyli, więc szybko adoptują się do nowych sytuacji.

Pokolenie X wie, jak działa Facebook, ogląda YouTube'a, jest na WhatsAppie, ale korzysta z nich i możliwości, jakie niesie rozwój nowych technologii, kiedy tego potrzebuje. Robi zakupy przez internet, płaci przez niego rachunki, ale nie daje się wciągnąć przez wirtualny świat.

I wcale nie jest tak, że przedstawicie pokolenia X nie potrafią pracować w zespołach, bo to kolejny mit na ich temat; ich niezależność nie wynika z braku ducha współpracy. Badania Deloitte nad współpracą międzypokoleniową pokazują, że różnorodność doświadczeń sprzyja efektywności zespołów, a pokolenie X często naturalnie pełni rolę pomostu między stylami pracy młodszych i starszych pracowników.

Przedstawicielom pokolenia X zarzuca się także wypalenie zawodowe. Tyle tylko, że cierpią na nie również przedstawiciele dużo młodszych pokoleń.

Niewidzialni dla świata

Nie tylko w pracy Iksy stają się „niewidzialne". Przedstawiciele generacji X, a więc współcześni czterdziestolatkowie i pięćdziesięciolatkowie, to najbogatsza grupa klientów. Firmy skupiają się jednak głównie na generacji Z. Zdaniem analityków z agencji mediowej Wavemaker wszystko za sprawą błędnego postrzegania Iksów. Analitycy postanowili przyjrzeć się problemowi: przeprowadzili własne ankiety i wywiady, przeanalizowali istniejące badania. Łącznie przebadano prawie 200 tysięcy przedstawicieli pokolenia X z całego świata. Swoje spostrzeżenia eksperci opublikowali w raporcie: „Finding the Gen X Factor. Confronting marketing mishaps and bias to over-45s in social".

Do jakich doszli wniosków? Osoby należące do generacji X reprezentują 31 procent globalnej populacji. Jeżeli jednak chodzi o badania rynkowe, grupa ta jest mocno niedoreprezentowana i w raportach stanowi jedynie cztery procent respondentów. Firmy z różnych branż z jakiegoś powodu straciły zainteresowanie pokoleniem X. Dlaczego? Zdaniem autorów raportu, twórcy marek i reklamodawcy nie doceniają kompetencji Iksów w kwestii użycia takich nowszych platform społecznościowych, jak TikTok czy Snapchat, uważają, że ci nie korzystają z mediów społecznościowych tak samo jak młodsze pokolenia. Nic bardziej mylnego! Okazuje się, że aż 92 procent przedstawicieli generacji X korzysta z social mediów każdego dnia. Co ważne, korzysta z nich bardziej świadomie niż pokolenie Z.

Iksy reprezentują prawie jedną trzecią użytkowników TikToka, są też najszybciej rosnącą grupą osób korzystających z tej platformy. Tymczasem, jak wynika z analiz ekspertów z Wavemakera, zaledwie pięć procent marek tworzy swoje kampanie reklamowe z udziałem influencerów, skierowanych do klientów z tego pokolenia. Z ankiet i wywiadów, które przeprowadzono z osobami należącymi do pokolenia X, wynika, że jedynie 13 procent z nich ma poczucie, że są adresatami reklam w mediach społecznościowych.

W kanapce

Ci twardziele, o których trochę zapomniał świat, nigdy nie mieli w życiu lekko i wygląda na to, że to się nie zmieni.

„Z jednej strony albo właśnie wychowują dzieci, albo nadal pomagają swoim niby dorosłym, ale wciąż nieustabilizowanym pociechom z pokolenia milenialsów czy zetek. A z drugiej strony muszą się już opiekować swoimi nieuchronnie starzejącymi się rodzicami. Wciśnięci jak ser w kanapce między dwa inne pokolenia, które potrzebują ich wsparcia. Iksy dają z siebie wszystko, ale są też coraz bardziej przeciążone. A jeśli dodać do tego ich charakterystyczną postawę Zosi Samosi, nieumiejętność przyjmowania wsparcia, to ich sytuacja robi się naprawdę poważna" - mówi psychoterapeutka Anna Szlęzak. I dodaje, „że Iksy są trochę jak ten pies z mema siedzący w płonącym pokoju i powtarzający, że wszystko jest w porządku".

Agnieszka, rocznik 76. Trzy lata temu kupili z dziećmi dom. Rodzina to ich córka Gosia, jej mąż i dwoje małych wnuków. Zajmują górne piętro, oni mieszkają na parterze.

- Wciąż pracuję zawodowo, mąż też. Kiedy wracamy do domu, wnuki już na nas czekają. Widzą nasz samochód przez okno i momentalnie są na dole - opowiada. Pewnie, że się cieszy. Za Anielę i Antosia dałaby się pokroić. Ale, umówmy się, czasami czuje się zmęczona.

- Zostajemy często z wnukami, jak młodzi wychodzą. Bierzemy je ze sobą na wakacje. Są jeszcze małe, trzeba się naprawdę sprężyć, żeby za nimi nadążyć - przyznaje. Czasami mówi: dość. Wyjeżdżają z mężem na weekend albo po prostu udają, że ich nie ma.

- Oprócz pracy, własnego domu, domu córki mam też tatę na głowie - mówi.

Tata mieszka sam 20 kilometrów od nich. Jeździ do niego raz w tygodniu, najczęściej w soboty rano. Sprząta mu mieszkanie i gotuje na cały tydzień.

- On sam co najwyżej zrobi herbatę, usmaży jajecznicę, przygotuje sobie kanapkę. Zawsze to mama gotowała i sprzątała, więc kiedy odeszła, nagle okazało się, że muszę ją zastąpić - wzdycha. Proponowała tacie zatrudnienie jakieś kobiety do pomocy. Nie zgodził się. „Sam sobie poradzę" - usłyszała. Wiadomo, że sobie nie poradzi.

Musi też ojca wozić na wizyty do lekarzy, sprawdzać, czy przyjmuje lekarstwa, czy zrobił wszystkie opłaty. Jednak nie skarży się.

Magda, koleżanka, jeździ do rodziców co dwa tygodnie, 130 kilometrów w jedną stronę. Żyją oboje, ale są już dobrze po osiemdziesiątce. Nagotuje, opierze, posprząta i wraca. Waldek wziął matkę do siebie - ma duży dom, wygospodarował dla niej pokój. Podobnie zrobiła Marta ze swoim tatą.

„The Economist" pisze tak: „Mają na głowie coraz starszych rodziców i własne dzieci. Nie zrobili zawrotnej kariery. Często nie dorobili się nawet własnego domu, nie wspominając o pokaźnym majątku. Są coraz starsi, zaczynają podupadać na zdrowiu, a wiele wskazuje na to, że poczują początek upadku systemu emerytalnego na własnej skórze. Oto pokolenie X - najbardziej zapomnianych i rozczarowanych życiowo osób. Ostatnie badanie przeprowadzone przez Ipsos w 30 krajach pokazuje, że 31 proc. pokolenia X twierdzi, że jest „niezbyt szczęśliwe" lub „w ogóle nie jest szczęśliwe", co stanowi najwyższy odsetek spośród wszystkich pokoleń. David Blanchflower z Dartmouth College odkrył, że wszelkiego rodzaju negatywne emocje - od nieszczęścia, przez niepokój, po rozpacz - osiągają szczyt w wieku około 50 lat.

Iksy mają dość. Żyją trochę w rozkroku między pokoleniem swoich rodziców i dzieci. Zmęczeni, przeciążeni, często wypaleni. I świadomi, że właściwie nie mają wyjścia. Nie proszą o pomoc, bo życie ich nauczyło, że najlepiej liczyć na siebie.

Z drugiej strony, coraz częściej - o czym pisze „The Ekonomist" - zastanawiają się, czy było warto tak ciężko pracować, tak bardzo się poświęcać, tak przeć do przodu. Bo co właściwie dzisiaj z tego mają? Ale nawet jeśli czasami przyjdzie im do głowy taka myśl, szybko machają ręką i biegną dalej: bo urodziny wnuka, bo lekarz mamy, bo roczne sprawozdanie w pracy. Nie ma się co mazgaić - trzeba się wziąć w garść, bo „jak nie my, to kto?".

Anna Szlęzak mówi tak: „Prawdziwe wzięcie się w garść to odwaga, żeby w końcu przestać być MacGyverem dla całego świata i stać się nim dla samego siebie. To moment, w którym patrzysz w lustro i przyznajesz: »Tak, ten silnik w mojej głowie zgrzyta, ale nie muszę już dłużej udawać, że wszystko jest w porządku tylko dlatego, że inni na mnie polegają«. Potraficie reanimować martwy akumulator na mrozie, ogarnąć Excela i zarządzać chaosem w domu, jakbyście byli dowódcami jednostki specjalnej. Macie tę legendarną sprawczość niemal wdrukowaną w swoje DNA, więc może czas w końcu przekierować ją także na siebie".

eprasa.pl 40f33bb3b7

Polska
Środa–niedziela, 3–7.06.2026

ZAPOWIEDŹ ISTNIENIA DO KOŃCA ŚWIATA?

Wieczysta Kraków w kilka lat przeszła niesamowitą sportową drogę od ligi regionalnej do elity. Od początku wzbudzała skrajne emocje. Dziś wylewa się mikstura kpin i gratulacji, do tego pytania o przyszłość. No to Polsko, poznaj Wieczystą Kraków

Artur Bogacki



FOT. ANNA KACZMARZ

Kraków ma trzy kluby w Ekstraklasie. Od nowego sezonu występować będą jednocześnie trzy kluby: Cracovia, Wisła Kraków i Wieczysta Kraków

Zacznijmy od nazwy, „Wieczysta" to nie zapowiedź istnienia do końca świata i jeden dzień dłużej. To po prostu historyczne osiedle i zarazem popularny rejon Krakowa.

Budowana za prywatne miliony

Wieczysta założona została w 1942 r. Piłkarski klub sportowych sukcesów większych nie miał, w XXI w. grał głównie w klasie okręgowej Kraków (5.-6. poziom w kraju, obecnie siódmy), przez dwa lata nawet w niższej klasie A (ostatnio w 2016 r.).

Awans do Ekstraklasy w 2026 r. nie byłby możliwy bez wsparcia Wojciecha Kwietnia. Biznesmen z Krakowa, m.in. właściciel sieci aptek Słoneczna, na drużynę w ciągu ostatnich kilku lat wyłożył grube miliony. Ile? Trudno ocenić, to tajemnica. Szacuje się, że budżet klubu w minionym sezonie I ligi wynosił około 50 milionów złotych (a tyle to nie ma wiele ekip z Ekstraklasy). W dużej mierze to z prywatnych środków zmodernizowano obiekty Wieczystej. Przypomnijmy, że sam Kraków – w odróżnieniu od wielu innych miast - nie dotuje profesjonalnych drużyn z publicznych środków.

Piłkarze Wieczystej są sowicie opłacani. Według nieoficjalnych informacji w tym sezonie widełki płacowe w I lidze to 60-150 tys. zł miesięcznie, czyli na wysokim ekstraklasowym poziomie. No bo jak namówić na przykład byłego reprezentanta Polski do tego, by przyszedł do, powiedzmy, III ligi, skoro dostałby pracę na wyższym poziomie? Oczywiście przebicie oferty kontraktu.

Z anegdotek – jeden z zawodników odszedł z ekstraklasowego klubu, gdzie zarabiał 30 tys. zł miesięcznie, do III-ligowej Wieczystej, bo tu dostał też 30 tys., ale w euro...

Bardzo szybka droga do Ekstraklasy

Z okręgówki do Ekstraklasy klub doszedł w 7 lat. W 2019 r. rozpoczęła się już konkretna budowa „wielkiej Wieczystej". Zatrudniono uznanego trenera Przemysława Cecherza, ściągnięto na ten poziom kolejnych zawodników z zapisanymi w piłkarskim CV wyższymi ligami. W tamtym sezonie nie udało się wywalczyć awansu, bo z powodu pandemii rozgrywki skrócono po rundzie jesiennej. A na półmetku Wieczysta, choć niepokonana, zajmowała 2. miejsce w tabeli, za Garbarnią II Kraków i obeszła się smakiem.

Później było już niemal bezbłędnie, dłuższy postój przytrafił się tylko raz – w III lidze, bo w pierwszym sezonie na tym szczeblu nie udało się zdobyć awansu. Potem już drużyna co roku pokonywała poszczególne szczeble – w trzy lata dotarła z III ligi do Ekstraklasy, co w obecnym futbolu w naszym kraju jest sytuacją bez precedensu.

Medialny szum wokół Wieczystej. Peszko twarzą projektu

Taki marsz na szczyt „nie mógł" odbyć się po cichu. Skoro do klasy okręgowej ściąga się znane nazwiska ze świata futbolu, to o klubie musi być głośno. Już w 2020 roku niemal sięgnięto sufitu, po tym jak znany z Ekstraklasy i reprezentacji Polski Sławomir Peszko zaczął biegać w koszulce Wieczystej po boiskach „okręgówki" (a dwa lata wcześniej był z kadrą na MŚ). Wkrótce dołączył inny były kadrowicz Radosław Majewski.

Zresztą Peszko do tej pory jest „twarzą" tego projektu – był piłkarzem, trenerem, dyrektorem, a obecnie jest wiceprezesem ds. sportowych.

Na tym nie koniec. W III lidze (czwarty poziom) hitami było sprowadzenie byłych reprezentantów Polski Michała Pazdana (dotrwał do awansu do Ekstraklasy) i Jacka Góralskiego (w zimie został wystawiony na listę transferową). „Ligowców" było zresztą więcej, m.in. od III ligi gra Rafał Pietrzak (też był w reprezentacji). Pozyskano Thibaulta Moulina, który z Legią walczył w Lidze Mistrzów (a nawet strzelił bramkę Realowi Madryt). Przed tym sezonem dołączyli Carlitos (był król strzelców Ekstraklasy) czy Lucas Piazon, mający na koncie występy w Chelsea.

Skrajne emocje

Taki pomysł na budowę drużyny w niższej lidze – przez pompowanie w nią milionów, „podbieranie" zawodników innym klubom i wymienianie co roku kilkunastu piłkarzy na „atrakcyjniejszych" – oczywiście musiał spotkać się z falą hejtu. W teorii to dobra metoda do szybkiego osiągnięcia celu. Zderzenie z rzeczywistością to weryfikuje – bo który klub w Polsce, nawet mając duży budżet, tak szybko dostał się do Ekstraklasy? Niektórym nie udaje się to przez lata.

Krytycy co rusz wieścili rychły koniec tego projektu, bo główny sponsor rzekomo miałby szybko stracić zainteresowanie. Wodą na młyn hejterów było to, że zespół nie zawsze błyszczał, a awans w dwóch ostatnich sezonach uzyskiwał nie bezpośrednio, a po barażach, wręcz tylnymi drzwiami.

Gorąco w przestrzeni medialnej zrobiło się zwłaszcza teraz, tuż przed decydującą walką o Ekstraklasę. Kwiecień miał w planach mocniejsze zainwestowanie w Wisłę, co oznaczałoby przykręcenie kurka z kasą dla Wieczystej, ponoć nawet po awansie (zespół miałby grać w lidze regionalnej). Na mocniejszą współpracę z „Białą Gwiazdą" ostatecznie się nie zanosi, co zresztą już udało nam się potwierdzić.

A więc Wieczysta ma pokazać się w Ekstraklasie. Pewnie na bogato...

Bardzo gorący stołek trenerski

Wysokie aspiracje, gruby portfel głównego sponsora wpływały także na zmiany trenerów, czasem wydawałoby się nieracjonalne, bo nie zawsze za same wyniki. Od granicznego 2019 r. Wieczystą prowadziło 8 szkoleniowców (nie licząc wielokrotnie tymczasowego zastępcy Rafała Jędrszczyka), w tym jeden dwukrotnie. Dwa razy do tej samej rzeki wszedł Przemysław Cecherz. W IV lidze drużynę prowadził były selekcjoner reprezentacji Polski, śp. Franciszek Smuda.

Stołek w Wieczystej był gorący. Cecherz za pierwszym razem zwolniony został – to wniosek nieoficjalny – bo w wywiadzie powiedział coś, co nie spodobało się władzom klubu. Przy drugim podejściu rozstano się z nim w ostatnim sezonie, gdy będąca beniaminkiem Wieczysta zajmowała w tabeli... 2. miejsce. Tu z kolei problemem miał być brzydki styl gry.

Za „wrażenie artystyczne" pracę szybko stracił też w tym roku Gino Lettieri. Włoski trener poprowadził drużynę w jednym sparingu i ledwie trzech meczach ligowych. Trudniejszy okres wynikowo był też za czasów Kazimierza Moskala, którego niektórzy dziennikarze już zwalniali, a on ostatecznie wprowadził zespół do elity.

Stadion bez licencji, ale z wyjątkowym widokiem

Domem Wieczystej jest stadion przy ul. Chałupnika. Wraz kolejnymi awansami obiekt dostosowywany był do wyższych lig, ale pewnych wymogów nie dało się już zrealizować w tak krótkim czasie. Ostatnie mecze ligowe u siebie zespół rozgrywał rok temu, w II lidze. Powstał projekt nowoczesnego stadionu, lecz miastu, które jest właścicielem terenów, zabrakło na to pieniędzy (mówiło się nawet o koszcie na poziomie 140 mln złotych). Pomysł upadł i na razie nie ma co liczyć, by Wieczysta grała u siebie.

W I lidze zespół występował w Sosnowcu, baraże miał na stadionie Wisły. To właśnie także ten drugi obiekt zgłosił do licencji na Ekstraklasę. Ale to jeszcze nie znaczy, że tam zagra.

Ciekawostka – siedząc na trybunie przy Chałupnika, widać charakterystyczny, wysoki budynek położonego po sąsiedzku Kościoła Matki Boskiej Ostrobramskiej.

Pani Grażyna na trybunach

Hejterzy śmieją się, że Wieczysta to „klub bez kibiców". Owszem, tak zorganizowanej grupy, jak w ekipach z większą tradycją na szczeblu centralnym, nie ma. I faktycznie, na mecze do Sosnowca, gdzie podejmowano rywali w I lidze, nie jeździło wielu fanów (im bliżej sezonu, tym z frekwencją było gorzej), słabo było też na wyjazdach. Z drugiej strony – baraże w Krakowie oglądało po 7 tysięcy widzów (tyle biletów przygotowano), więc potencjał i zainteresowanie są.

Kto chodził regularnie na mecze Wieczystej, z pewnością rozpoznaje na trybunach jedną postać. Chodzi o zdzierającą gardło, żywiołowo dopingującą panią Grażynę, której okrzyk „Wieczysta najlepsza jest" słychać było już w klasie okręgowej w latach 90. Jeśli wybierać kibica numer 1, to tu wątpliwości nie ma.

Wkrótce pewnie za „dyszkę"

W czasach „ery Kwietnia" w ligach regionalnych, a także w II lidze (czyli już na szczeblu centralnym), wstęp na mecze Wieczystej – rozgrywane wówczas przy Chałupnika – był dla kibiców bezpłatny. Drugiego takiego klubu w Polsce chyba nie ma. Na spotkania w Sosnowcu w I lidze opłata za wejściówkę była symboliczna – 1 złoty. Tak samo postąpiono podczas gry w barażach na stadionie Wisły.

Już teraz się słyszy, że w Ekstraklasie cena również ma być promocyjna (stawiamy, że pewnie 5-10 zł), dużo niższa niż w innych klubach.

Wieczysta i jej sponsor „nie lubią" dziennikarzy

Jeśli chodzi o współpracę z mediami, Wieczysta jest specyficzna. Inne kluby organizują konferencje przed sezonem, także przed poszczególnymi meczami – czy to na terenie klubu, czy w formule online. W Wieczystej tego nawet w I lidze nie było! Jedyne spotkanie z dziennikarzami w ciągu minionego sezonu poświęcone było ogłoszeniu współpracy ze sponsorem (tym „słynnym" z branży kryptowalut).

Żeby była jasność – warunki pracy dziennikarzy na meczach są bez zarzutu, a umówienie rozmowy z danym piłkarzem też nie jest problemem. Niemniej jednak do przyjętych ogólnie standardów – i takiej formy promocji – klub jeszcze w pełni się nie rozwinął.

Mediów unika także główny sponsor. Wojciech Kwiecień bardzo ceni prywatność, wywiadów nie udziela, nie ma go w mediach społecznościowych. A po publikacji zdjęć zgłasza sprzeciw, przysyłając pismo od prawnika z prośbą o usunięcie fotografii... To zupełnie inne podejście niż choćby u szefa Wisły Jarosława Królewskiego, z którym zresztą prywatnie się przyjaźnią.

Hymn na religijną nutę

Wieczysta ma swój hymn! Ułożył go będący przez lata spikerem Janusz Malicki, sam wykonywał go przed meczami w ligach regionalnych. Co ciekawe, warstwa melodyczna to religijna pieśń „Czarna Madonna". Autor uzyskał nawet specjalną kościelną zgodę na jej wykorzystanie.

Po tylu awansach początek trochę się już zdezaktualizował, bo klub się rozrósł: „Jest w Krakowie przy Meissnera mały klubik, każdy wie / Jego barwy żółto-czarne, a Wieczysta on się zwie".

Refren do Ekstraklasy nadal pasuje: „Hej, Wieczysta, hej, Wieczysta, Ukochany klubie nasz, W każdym meczu piłki nożnej Ty wspaniale już nam grasz!"

eprasa.pl 40f33bb3b7

KOMU BIJE DZWON W RUDZKIM MOŚCIE

Parafia musi zapłacić 30 tys. zł za zakłócanie spokoju dźwiękiem dzwonów kościelnych. Wyrok jest nieprawomocny, ale w małej miejscowości pod Tucholą budzi skrajne emocje

Maciej Czerniak

Osiedle domów jest senne. Ciche podjazdy, pas szeregowców z jednej strony kościoła. Z drugiej większe, nieco willowe budynki, z perfekcyjnie utrzymaną przydomową zielenią. Ogródki osiadłe, okrzepłe, rozwinięte w sposób właściwy osiedlu, które istnieje już kilkanaście lat. Może dłużej. Żadne tam łanowe, półdzikie parcele, rozedrgane odgłosami betoniarek. Tu już „zamieszkanie" wydarzyło się.

Ludzie jeszcze w pracy, w końcu to przedpołudnie w środku tygodnia. W domu, w którym miałem nadzieję zastać mojego rozmówcę, szczeka pies. Podchodzę raz i drugi. W końcu decyduję, że zacznę od księdza. Mieszka niemal po sąsiedzku. Na tyłach kapliczki, poprzedniczki świątyni, która 12 lat temu wyrosła między ulicami Wydmową i Obrońców Polskości.

„Szczęść Boże i dzień dobry" – mówię przez zamknięte drzwi. Pytam, czy zastałem ks. proboszcza Wiesława Herolda. Słyszę, że tak, ale pada prośba, by spotkać się później i „wtedy porozmawiamy". Ksiądz musi coś załatwić w mieście.

W Sądzie Rejonowym w Tucholi akta sprawy, jaką wytoczył parafii Opatrzności Bożej w Rudzkim Moście jeden z mieszkańców, zajmują tylko dwa tomy. W końcu sprawa to dość nieskomplikowana, choć obie strony sporu angażuje już od 10 lat. Epilog dzwonnej epopei nastąpił 22 maja. Zapadł wyrok. Sąd nakazał parafii ograniczenie „immisji dźwiękowych" przez „użytkowanie w związku z wszystkimi uroczystościami religijnymi, w tym mszami, pogrzebami, procesjami, wyłącznie najmniejszego dzwonu, maksymalnie dwa razy dziennie w dni powszednie oraz trzy razy dziennie w niedziele i święta na okres nie dłuższy niż 3 minuty". Mało tego, dzwon i tak nie może rozbrzmieć, choćby nawet w tej sprawie nikt nie wnosił o apelację. Dlaczego? Sąd zdecydował, że najpierw trzeba zainstalować na dzwonnicy „właściwie działający mechanizm", ograniczający czas dzwonienia do 2 minut. Dodatkowo parafia ma zapłacić skarżącemu ją mieszkańcowi Rudzkiego Mostu 30 tysięcy złotych zadośćuczynienia.



FOT. MACIEJ CZERNIAK, ARCHIWUM PARAFII W RUDZKIM MOŚCIE

Założenie na wieży rolet, za którymi skryły się dzwony, nie załagodziło sporu

Zestaw lux w tonacji Maryjnej

Ta historia zaczyna się w 2010 roku, kiedy parafia kupuje dzwony za pieniądze podarowane 3 lata wcześniej przez dwóch parafian. O sprawie szeroko i wielokrotnie informował „Tygodnik Tucholski". Z informacji przestawianych przez ten tytuł wynika, że darczyńcy to „znani mieszkańcy Tucholi". Każdy z nich przekazał na ten cel po 50 tys. zł. Jednym z ofiarujących był Kazimierz Cisewski, przewodniczący rady parafialnej, drugim przedsiębiorca Krzysztof Rydelek.

Dzwony zamówiono w renomowanym zakładzie, w Ludwisarni Felczyńskich-Taciszów – przedsiębiorstwie odlewnictwa i konserwacji działającym od 1808 r. Parafia kupiła tam zestaw lux grający w „tonacji Maryjnej Fis A H". Spiżowe dzwony ważą ponad 800, ponad 500 i ponad 350 kg.

W dokumencie ludwisarni, w specyfikacji dzwonów, napisano formułkę: „Żywych zwołuje, zmarłych opłakuje, bohaterów sławi, wszystkim przypomina obowiązek względem Boga". Rozbrzmiały dopiero w 2015 r., kiedy ukończono budowę wieży dzwonnej. Zamiast jednak nieść w świat niebiańską harmonię, podzieliły mieszkańców. Pojawiły się opinie, że dzwonią po prostu za głośno. To, że hałas był zbyt duży, potwierdziło m.in. badanie zlecone przez starostę w Tucholi. Wykonawcą tego zlecenia była firma Akutix z Poznania, a badanie wykazało przekroczenie dopuszczalnej głośności dzwonów o 17,9 db.

W 2016 r. w sprawę zaangażował się jeden z mieszkańców Rudzkiego Mostu, Waldemar Piotrowski. W czerwcu tego samego roku w Starostwie Powiatowym w Tucholi podpisano porozumienie między Piotrowskim a ks. Heroldem. Postanowienie było kompromisowe: na dzwonnicy miały zostać zainstalowane żaluzje, a potem duży dzwon miał być uruchamiany tylko przy wyjątkowych okazjach, podczas Świąt Wielkanocnych i na Boże Narodzenie. Porozumienie zakładało również, że parafia przeprowadzi na swój koszt pomiar hałasu, dzwony mały i średni będą używane przed każdym nabożeństwem, a średni na Anioł Pański, ale nie dłużej niż na 2 minuty.

Na tym koniec? Bynajmniej. Ostatecznie żaluzje zamontowano, ale bez odbioru budowlanego wieży. Nadzór stwierdził, że kwestie dotyczące poziomu emitowanego dźwięku nie leżą w gestii inspektorów.

– Problem w tym, że kiedy pojawiły się te rolety, to dźwięk zamiast ulec wygłuszeniu, został skierowany ukośnie w dół, prosto na domy, które znajdują się po sąsiedzku, przy kościele – mówi jedna z mieszkanek. Nie chce zdradzać swojego nazwiska. – Tu za blisko jest i zbyt wielu można by się narazić. My tu przecież mieszkamy – zaznacza.

Poza tym dzwony nie biły – jak zakładało porozumienie – tylko przez 2 minuty. Dlaczego? Ks. Wiesław Herold zarzeka się, że próbował tak ustawić mechanizm, by dźwięk rozchodził się tylko w tym konkretnie określonym czasie. – Kiedy ustawi się dzwony na 2 minuty, to tolerancja wynosi jedną minutę mniej lub więcej – tłumaczy duchowny. – Próbowałem skonfigurować mechanizm, ale co się stało? Nastąpiła awaria: przepalił się elektromagnes. Naprawa była kosztowna.

– Hałas faktycznie był nie do wytrzymania, głowę rozsadzało – mówi jeden z mieszkańców. – A najśmieszniejsze, że petycję o to, żeby dzwony zostały, podpisywali m.in. ludzie mieszkający z dala. Słyszałem od znajomych, którzy mieszkają 3 kilometry od nas, że im to nie przeszkadza. No jasne, jak się mieszka daleko…

Urzędowa kakofonia

Od porozumienia w 2016 r. zatem niewiele się zmieniło. Owszem, na dzwonnicy pojawiły się żaluzje, ale hałas nie zniknął. Dopiero w 2023 roku sprawa została skierowana na inne tory. Ponownie, po staraniach Waldemara Piotrowskiego, starosta zlecił badanie głośności dzwonów. Tym razem wybrana została bydgoska firma Ekosonic. Wynik różnił się od pierwszego, ale również wykazano przekroczenie dopuszczalnej normy dźwięku. O 14,6 db. Do starosty wpłynęło pismo, w którym domagano się tego, by urząd wydał decyzję o dopuszczalnym poziomie hałasu dzwonów kościelnych, starostwo jednak odmówiło wszczęcia postępowania w tej sprawie. Kolejny etap historii to odwołanie skierowane do Samorządowego Kolegium Odwoławczego, które z kolei uchyliło decyzję starosty i skierowało sprawę do ponownego rozpatrzenia.

Piotrowski nie składał broni: zwrócił się do policji i do wojewódzkiego inspektora ochrony środowiska w Bydgoszczy. Tucholska komenda w maju 2024 r. umorzyła postępowanie. Decyzja „o niewniesieniu" sprawy do sądu zawierała stwierdzenie, że „czyn nie zawiera znamion wykroczenia z artykułu 5 par. 1 pkt 2 Kodeksu postępowania w sprawach o wykroczenia".

Z kolei kontrola przeprowadzona przez bydgoskich inspektorów ochrony środowiska wykazała przekroczenia dopuszczalnego poziomu hałasu. Ostatecznie pozew do sądu złożył sam Piotrowski. Sąd Rejonowy w 2024 r. zdecydował, że konieczne będzie „zabezpieczenie roszczeń" powoda. Do czasu rozstrzygnięcia zakazał używania dzwonów w kościele w Rudzkim Moście.

Z jednej strony Watykan, z drugiej „obóz harcerski"

Proces trwał zatem w ciszy. Na jednej z rozpraw, podczas której sędzia Marcin Dobies odbierał wyjaśnienia od świadków, głos zabrał również ksiądz Herold. – Dzwony nie są hałasem – zaznaczał, powołując się również na wolności konstytucyjne. – Ja mam nakaz od Kościoła do dzwonienia na pogrzeb według prawa kanonicznego, mnie grozi wyrzucenie z parafii – dodał.

Z kolei jedna z mieszkanek zeznająca na sali rozpraw nie gryzła się w język, opisując wrażenia estetyczne, jakich doświadczała, słuchając dzwonów w parafii Opatrzności Bożej. – Najważniejsze, że te dzwony były bardzo uciążliwe – mówiła. – Ten ich dźwięk jest piskliwy, jak łyżką o garnek na obozie harcerskim. Wszędzie dzwony biją głęboko, a te w Rudzkim Moście biją przeraźliwie. Dodała, że dźwięk dzwonów z wieży kapliczki (poprzedniczki obecnego kościoła) był cichszy.

Piotrowski pisał do Diecezji Pelplińskiej, a nawet do Watykanu. Stolica Apostolska jednak uznała, że nie ma podstaw, aby zakazać używać dzwonów w kościele pod Tucholą. W dokumentacji procesowej znajduje się takie stwierdzenie powoda, odnoszące się do odpowiedzi z Watykanu: „Otrzymałem informację, że używanie dzwonów kościelnych jest kultem religijnym i nie mają w swojej kompetencji nakazu zaprzestania ich używania".

Krótko po tym, kiedy sąd zakazał uruchamiania dzwonów do czasu rozstrzygnięcia, parafia, jako głos diecezjalny, zajęła stanowisko, wydając oświadczenie: „Po zwołaniu nadzwyczajnego spotkania Rady Duszpasterskiej, Rady Ekonomicznej oraz przedstawicieli grup duszpasterskich przy parafii Opatrzności Bożej postanowiłem, jako proboszcz, poprzeć sprzeciw przeciwko powyższej decyzji, która została wydana na podstawie jednej osoby niepraktykującej przy naszej parafii". Pod dokumentem złożyło podpisy ponad 90 parafian.

Ksiądz wrócił na plebanię i – zgodnie z zapowiedzią – rozmawiamy w zaciszu biura parafialnego.

Interwencję do Stolicy Apostolskiej ks. Herold określa jako niedorzeczną, ale ostatniego wyroku nie chce komentować. Formalnie szczegółów uzasadnienia sądu nie zna, bo wciąż czeka na pismo w tej sprawie. Kiedy jednak wypłynęła informacja o orzeczeniu, zamówił w „Tygodniku Tucholskim" ogłoszenie, zachęcając wiernych do udziału w manifestacji. W odpowiedzi na pikietę przed Sądem Rejonowym w Tucholi przyszło kilkadziesiąt osób. Były transparenty: „Dzwon to nie hałas, to znak wspólnoty" i „Nie róbcie z kościoła trybu cichego".

– Ja mam płacić? Nie rozumiem tego. Dzwony to nieodłączny element kościoła – mówi ks. Herold. – Naprawdę chciałem dotrzymać warunków porozumienia z 2016 roku, ale były problemy techniczne – podkreśla, dodając, że ma poczucie niesprawiedliwości.

Waldemar Piotrowski, którego zastaję popołudniem w domu, nie gryzie się w język. Zaznacza, że całej sprawy by nie było, gdyby proboszcz wykazał wolę współpracy wcześniej. – Nie działałem sam. Za mną byli ludzie, którzy zgłaszali mi uciążliwość dzwonów.

Piotrowski kandydował w 2018 r. w wyborach samorządowych, ubiegał się o mandat radnego, ale ostatecznie nie uzyskał stanowiska. – Prowadziłem wtedy kampanię, spotykałem się z mieszkańcami. Obiecałem im, że sprawę dzwonów doprowadzę do końca niezależnie od wyniku wyborów.

Jeżeli wyrok się utrzyma, zasądzone na jego rzecz pieniądze chce przekazać organizacji pomagającej dzieciom z wadą słuchu. ©℗

eprasa.pl 40f33bb3b7

Polska
Środa–niedziela, 3–7.06.2026

Siatkarze Jastrzębskiego Węgla, klubu z sukcesami, historią i ogromnymi tradycjami, nie zagrają w przyszłym sezonie w PlusLidze. Pobliska kopalnia, ich sponsor strategiczny, nie będzie już wspierać sportu. Kibice się nie poddają. Urządzili internetową zbiórkę pieniędzy. „Nasze miasto to siatkówka. Zrobimy wszystko, żeby tak zostało" – mówią

Dorota Kowalska

JASTRZĘBSKI WĘGIEL. JAK KIBICE PRÓBUJĄ URATOWAĆ KLUB

Janusz Kalisz, prezes Klubu Kibica Siatkówki Jastrzębie, 67 lat, emeryt, były górnik Jastrzębskiej Spółki Węglowej. Siatkówką interesował się od szkoły podstawowej, grał w nią na lekcjach WF-u albo odbijał z kolegami piłkę na podwórku. Oczywiście, w tych czasach to piłka nożna była górą, ale on wolał siatkówkę.

– Zawsze jak tylko była możliwość, a nie było w dawnych czasach tych możliwości zbyt wiele, oglądałem siatkówkę w telewizji. Pamiętam nasze złoto olimpijskie w 1976 roku w Montrealu. Siedziałem w nocy i czekałem na transmisję, potem oglądałem telewizję do białego rana – wspomina.

Na mecze Jastrzębskiego Węgla chodził jeszcze do starej hali zwanej potocznie „Kurnikiem" albo „Kurnik Areną" w dzielnicy Szeroka, ale przeszkadzało mu, że sala jest tak mała. Poza tym dostać wtedy bilet na mecz, to był prawdziwy wyczyn. Na dobre zaczął kibicować Jastrzębskiemu Węglowi, kiedy siatkówka przeniosła się do nowej Hali Sportowo-Widowiskowej przy ul. Jana Pawła II. Został stałym kibicem jastrzębskich siatkarzy. Oglądał większość meczów, nie wszystkie, bo przecież musiał chodzić do pracy, a spotkania są także rozgrywane w środku tygodnia.

Jak zapisał się do klubu kibica?

– To był trochę przypadek. Chodziliśmy z synem na mecze, mieliśmy karnety, które dofinansowywała kopalnia. Po jednym z nich ogłoszono, że będzie wyjazd do Rzeszowa, to chyba były play offy. I syn namówił mnie, żebyśmy się przejechali. Podeszliśmy do sektora klubu kibica, zapytaliśmy, czy możemy z nimi pojechać i zabraliśmy się z nimi na wyjazd. Jeden, potem następny. W końcu zaproponowano nam, żebyśmy się zapisali do klubu kibica. I tak się stało – opowiada.

W 2018 roku został prezesem Klubu Kibica Siatkówki Jastrzębie, klub oficjalnie zarejestrowano, wpisano do Krajowego Rejestru Sądowego, ale wielu jego członków z ruchem kibicowskim związana była przez wiele lat, należąc chociażby do Stowarzyszenia Społecznego Klub Kibica KS Jastrzębie – Borynia, albo grupy zrzeszonej pod roboczą nazwą Koło Sympatyków Jastrzębskiego Węgla, które działały wcześniej.

Na mecze Jastrzębskiego Węgla zawsze „waliły" tłumy, ale mieli tu świetnych zawodników, siatkarskie sławy. On bardzo lubi Tomka Fornala.

– Wyjątkowy facet, nie tylko jako zawodnik, ale jako człowiek – mówi Janusz Kalisz. – Obserwowałem rozwój jego kariery, bo pierwszy raz zobaczyłem Tomka w 2018 roku, grał wtedy jeszcze w Radomiu. Młody chłopaczek, wyszedł na zagrywkę i wsadził nam trzy asy pod rząd – dodaje prezes.

Fornal przeszedł potem do Jastrzębskiego Węgla. Kalisz pamięta rok 2021, pandemia, a oni, po dłuższej przerwie, zdobyli tytuł Mistrza Polski. Hale były puste, nie mogli kibicować. Ale na ten ostatni mecz o mistrzostwo całe Jastrzębie przyszło na ul. Jana Pawła II. Tomek Fornal wyszedł do nich z pucharem. Wszyscy drżeli przed wirusem, a on się nie bał, odważnie stanął przed kibicami.

– To były takie drobne gesty. Tomek ostatni wychodził z hali, do każdego podszedł, porozmawiał po meczu, wszystkim rozdawał autografy, z każdym zrobił sobie zdjęcie – tłumaczy Janusz Kalisz.

Co roku na zakończenie sezonu organizują spotkanie kibiców, zapraszają na nie także zawodników. Ci są już po sezonie, więc nie zawsze mogą przyjść, ale Fornal przychodził. Zawsze znalazł dla nich czas. Ben Toniutti, rozgrywający, Francuz od ponad 10 lat grający w Polsce, to też super gość. Ciężko się było z nim dogadać, ale czuł atmosferę tego miejsca.

Jastrzębie żyje siatkówką. Nowa hala może pomieścić trzy tysiące sto osób. Na ważniejsze mecze zawsze wszystkie bilety były wyprzedane. W środku tygodnia, kiedy ludzie chodzą do pracy, na meczach było od dwóch i pół tysiąca do trzech tysięcy kibiców.

Mają swoje przyśpiewki, dwa werble i sześć bębnów, kilku bębniarzy. Mają firmę, która produkuje dla nich stroje i gadżety kibicowskie. Inna świadczy dla Klubu Kibica Siatkówki Jastrzębie usługi transportowe, wozi ich na mecze wyjazdowe. Są świetnie zorganizowani, łączy ich sport.

Smutne pożegnanie

Tak, wiedzieli, że dzieje się źle. Już na początku 2025 roku pojawiły się pogłoski o problemach finansowych Jastrzębskiej Spółki Węglowej. Z czasem finansowanie klubu było mocno ograniczone, zalegali z należnościami zawodnikom, pracownikom klubu.

Pod koniec rozgrywek Jastrzębska Spółka Węglowa wycofała się z dalszego wspierania siatkarzy. Była strategicznym sponsorem klubu.

„Jastrzębska Spółka Węglowa, z uwagi na obecną trudną sytuację finansową, nie przewiduje finansowania występującego w PlusLidze JSW Jastrzębskiego Węgla w sezonie 2026/27" – poinformowało biuro prasowe węglowej spółki. Taka sama decyzja dotyczy występującego w Tauron Hokej Lidze JKH GKS Jastrzębie.

To był smutny dzień. W czwartek, 9 kwietnia, siatkarze JSW pożegnali się z kibicami. Drużyna prowadzona przez trenera Andrzeja Kowala zakończyła sezon na siódmym miejscu, odpadła dopiero w ćwierćfinale play-off w trzech meczach z PGE Projektem Warszawa. Świetny wynik, biorąc pod uwagę okoliczności i fakt, że o Jastrzębskim Węglu przez ostatnie miesiące mówiło się głównie w kontekście kłopotów finansowych klubu.

– Na dziś zakończone zostały wszystkie kontrakty zawodników. Ci, którzy mieli ważne umowy na kolejny sezon, dostali wolną rękę, by szukać rozwiązań najlepszych dla siebie. Nie udało się wypłacić graczom wszystkich pieniędzy. Sezon zakończymy z deficytem finansowym, ale jest na to rozwiązanie. Potrzeba również nieco czasu, współpracy z zawodnikami i ich menedżerami. Jesteśmy świadomi konieczności wykonania wszystkich zobowiązań finansowych – mówił prezes klubu Adam Gorol.

Janusz Kalisz jako prezes klubu kibica miał przed sobą trudne zadanie. Łamiącym się głosem pożegnał zawodników.

W ŚRODKU TYGODNIA, KIEDY LUDZIE CHODZĄ DO PRACY, NA MECZACH BYŁO OD DWÓCH I PÓŁ TYSIĄCA DO TRZECH TYSIĘCY KIBICÓW

– Dziękujemy za wszystko. Widzieliśmy wasze zaangażowanie, serce zostawione na boisku. Daliście nam wiele radości i emocji w tej hali oraz w wielu innych w kraju i Europie – powiedział, potem wręczył zawodnikom kibicowskie szaliki.

Odśpiewali chórem klubowy hymn. Po pięciu latach z klubem pożegnał się Benjamin Toniutti. Zgotowali mu owacje na stojąco. Inni zawodnicy też odchodzą.

– To był trudny sezon dla nas wszystkich. Walczyliśmy w każdym meczu jak najlepiej potrafiliśmy. Bez waszego wsparcia, także na wyjazdach, byłoby to trudniejsze. Ten klub ma specyficzną atmosferę. Zostaniecie w moim sercu na zawsze – mówił Toniutti do swoich fanów.

Kibice robili sobie zdjęcia z zawodnikami i trenerami, zbierali autografy. Rozmawiali między sobą. Nie zamierzają się poddawać.

– Zgłosił się do mnie jeden z zapalonych kibiców, który też nie potrafił się pogodzić, że Jastrzębskiego Węgla nie będzie. Stwierdził, że musimy coś zrobić, żeby uratować ten klub. Spotkaliśmy się, wymieniliśmy uwagi. To było zaraz po tym naszym pożegnaniu – opowiada Kalisz. – My działalności kończyć nie zamierzamy, niezależnie od tego, kto tu będzie grał i na jakim szczeblu. Wymyśliliśmy tę zbiórkę i zaświeciło się światełko w tunelu, może nie wszystko jest już stracone – dodaje.

Chcą pomóc klubowi przetrwać kryzys finansowy i zebrać 15 milionów złotych.

„To jest wołanie o pomoc. Ostatni gwizdek. Ostatnia szansa" – rozpoczęli aukcję. „Jeśli nie zareagujemy teraz, możemy stracić coś, czego nie da się odbudować. To nie jest zwykła zbiórka. To nie jest prośba. To jest krzyk. Krzyk, o ratunek dla barw, które nosimy w sercu. Dla herbu, który towarzyszył nam w najpiękniejszych chwilach. Dla drużyny, która walczyła dla nas, nawet wtedy, gdy nikt w nich nie wierzył" – czytamy w opisie zbiórki.

Wiedzą już, że nie będą grać w PlusLidze, drużyna nie została zgłoszona do rozgrywek, ale chcą uratować siatkówkę w ich mieście. Mają klub, mają Akademię Talentów, w której szkolą się dzieciaki już szkoły podstawowej. Drużyna Akademii gra w II lidze, odnosi sukcesy. Można ją jakoś wzmocnić, zasilić, powalczyć o wejście do I Ligi, a potem PlusLigi. Na razie zebrali niecałe 40 tys. złotych. Kropla w morzu potrzeb, ale jest o co walczyć.

Pamiętny półfinał

Sławomir Caban, 47 lat, funkcjonariusz w Zakładzie Karnym w Jastrzębiu-Zdroju. Był w szkole podstawowej, kiedy wuefista zabrał ich na mecz Jastrzębskiego Węgla. Zespół występował wtedy na „Kurniku", on mieszkał tuż obok, w dzielnicy Szeroka. Atmosfera na meczu była wyjątkowa. Wpadł po same uszy, wciągnęła go siatkówka.

Z czasem zapisał się do klubu kibica. Prowadzi zeszyt, w którym zapisuje wszystkie mecze Jastrzębia, oznacza, na którym meczu jest, na którym go nie ma, czy to mecz „domowy", jak mówi, czy wyjazdowy. Ma bogatą kolekcję: chyba z dwieście pięćdziesiąt koszulek Jastrzębskiego Węgla, wszystkie klubowe gadżety, medale, puchary, bilety z meczów wyjazdowych, plakaty, szaliki.

– Mieszkamy w takim mini muzeum – przyznaje ze śmiechem.

Żona nie ma nic przeciwko, poznali się dzięki siatkówce. Pojechał na mecz wyjazdowy Jastrzębskiego Węgla do Bełchatowa. Była tam jego przyszła żona, kibice z Sosnowca i okolic są zaprzyjaźnieni z tymi z Beł-

eprasa.pl 40f33bb3b7

chatowa i często ich wspomagają, a ona pochodzi z Będzina. Miała szalik, który bardzo by mu się przydał w jego kolekcji. Zagadał, wymienili się telefonami. Dzisiaj mają dwóch synów. Na mecze chodzą całą rodziną, jak tylko urodzili się chłopcy, wkładali im słuchawki na uszy i z wózkami maszerowali na halę.

– Przyszły sezon byłby moim trzydziestym – wrzuca mimo woli.

Przez te 29 lat to poznał wielu ludzi i sporo przeżył: wszystkie sukcesy i porażki jastrzębskiej drużyny. Pamięta pierwsze Mistrzostwo Polski w 2004 roku. To był mecz półfinałowy, grali z AZS Częstochowa. W czterech wcześniejszych meczach, dwa razy wygrała Częstochowa, dwa oni. To był piąty mecz, bo gra się do trzech wygranych, mecz o wszystko. Jego zwycięzca wchodził do finału. W tie-breaku przegrywali już 10:5, ruszyli z dopingiem i Jastrzębie zaczęło, punkt po punkcie, odrabiać straty. Wygrali. W finale w trzech meczach pokonali Olsztyn. Na wyjeździe, w Olsztynie właśnie, świętowali pierwsze mistrzostwo swojego klubu.

– Przeżywaliśmy zwłaszcza ten piąty mecz półfinału. Popłakaliśmy się ze szczęścia, po meczu długo jeszcze siedzieliśmy na hali. Kolejne sukcesy też były czymś wyjątkowym. Od lat jesteśmy praktycznie w czołówce PlusLigi – opowiada Sławomir Caban. Kilkukrotnie byli poza czwórką, a tak zawsze wśród najlepszych.

W 2024 obchodzili rocznicę dwudziestolecia zdobycia pierwszego Mistrzostwa Polski. Przyjechali zawodnicy, którzy 20 lat temu grali w Jastrzębiu. Doskonale znają swoich kibiców. Podchodzili do nich, witali się, z każdym zamienili kilka zdań – sportowa rodzina.

No i teraz wszystko się urwało.



FOT. KRZYSZTOF KAPICA

Kibice Jastrzębskiego Węgla chcą pomóc klubowi przetrwać kryzys finansowy i zebrać 15 milionów złotych. Ale bardzo ciężko będzie zebrać pieniądze, które zmienią losy klubu

Bez znieczulenia

Jastrzębski Węgiel to klub z tradycjami i historią. Założono go w 1961 roku, oficjalnie grał w PlusLidze od sezonu 1997/98. Ma na koncie 16 medali mistrzostw Polski: po cztery złote i srebrne, osiem brązowych, dwa Puchary i dwa Superpuchary Polski.

Drużyna odnosiła sukcesy na arenie międzynarodowej. Dwukrotnie grała w finale Ligi Mistrzów (2023, 2024). Wywalczyła srebro Klubowych Mistrzostw Świata (2011).

W klubie występowało wielu reprezentantów Polski, choćby Michał Kubiak, Dawid Konarski i Norbert Huber. Większość kariery seniorskiej w Jastrzębskim Węglu spędził wspomniany już Tomasz Fornal.

Grało tu wielu zagranicznych zawodników, Benjamin Toniutti, o którym już było, Lukas Kampa, niemiecki rozgrywający pochodzący z Bochum, Bułgar Płamen Konstantinow, przyjmujący Miran Kujundžić z Serbii, niemiecki środkowy Anton Brehme

Prezes Jastrzębskiego Węgla, Adam Gorol, próbował ratować siatkarskich asów, ale nie było łatwo. Tytularny sponsor, czyli Jastrzębska Spółka Węglowa, narzucił warunek dodania swojego członu do nazwy klubu, chciała wyłączności wizerunkowej, a to właściwie uniemożliwia znalezienie innych partnerów. Szef klubu przyznał, że już w poprzednich latach mówił o tym, że potrzeba także innych źródeł finansowania, innych sponsorów, ale spółka węglowa zacieśniała jeszcze powiązania z klubem.

– Wprost postawiono warunek, że do nazwy klubu ma być dodany człon „JSW", by jeszcze bardziej związać go z Jastrzębską Spółką Węglową. Nie dano nam więc żadnej przestrzeni, żeby szukać innego istotnego sponsora. Każdy potencjalny partner oczekiwałby i oczekuje widoczności mimo tak zdominowanego wizerunku klubu. W tej sytuacji o ekwiwalent marketingowy z naszej strony byłoby bardzo trudno – przyznał Adam Gorol w TVPSPORT.PL. – Moment, w którym dowiedziałem się, że przyszłej współpracy nie będzie, również stanowi wyzwanie. Miesiąc, półtora do końca sezonu to czas, w którym nie ma absolutnie żadnych realnych szans z punktu widzenia procedowania korporacyjnego, by pozyskać sponsora. Wymaga to bowiem wielomiesięcznych negocjacji popartych analizami. Dodatkowo czas, w którym pojawiają się realne problemy finansowe, nie jest dobry na rozmowy z nowym partnerem biznesowym. To po prostu za późno – dodał.

Ale nie wszystko stracone. Można uratować Akademię Talentów. Siatkówka nie może zniknąć z ich miasta.

Miasto siatkarzy

Ireneusz Kobyliński, 53 lata, górnik dołowy, wielki miłośnik sportu. – Interesuję się nim od małego, od kiedy mam świadomość, można by powiedzieć. O, wiem! Był rok 1982, miałem wtedy 10 lat i pamiętam mistrzostwa świata w piłce nożnej. Polacy pod wodzą Antoniego Piechniczka zajęli trzecie miejsce. To jest moje takie pierwsze wyraźne wspomnienie sportowe. Mam też przebłyski z igrzysk olimpijskich w Moskwie w 1980 roku – opowiada.

Potem widział w telewizji fragmenty legendarnego finału w Montrealu. Polscy siatkarze wygrali ze Związkiem Radzieckim 3:2 i już wiedział, że to jest to.

Na mecze jeździ od 1987 roku. Wtedy na siatkówkę chodzili ci sami kibice co na piłkę nożną, na hokej, po prostu kibice GKS-u Jastrzębia. Potem, po latach jakoś się podzielili: są kibice siatkarscy, hokejowi, piłkarscy. Chociaż wielu chodzi na wszystko.

Od lat 80. był na większości meczów. Cała jego rodzina kibicuje Jastrzębskiemu Węglowi, ale tylko on chodzi na halę, reszta to kibice telewizyjni. Bywali na meczach siatkówki: żona kilka razy, córce się zdarzyło, synowi też, ale, jak to mówi, wystarczy jeden wariat w domu.

– Zawsze bardzo szanowałem Piotra Gabrycha, który bardzo nam pomógł w zdobyciu pierwszego mistrzostwa. Człowiek o ciężkim charakterze, ale ceniłem go za waleczność. Prawdziwy fighter – wspomina. – Tomek Fornal też potrafił porwać ludzi do walki, podobnie Jurek Gladyr. Gladyr to było przez kilka lat serce i dusza tego zespołu – dodaje.

On też, jak Sławomir Caban, pamięta legendarny półfinał mistrzostw Polski z 2004 roku.

– Przegrywać 10:5 w tie-breaku i wygrać ten tie-break do trzynastu, to jest naprawdę coś! Takie rzeczy się pamięta. Tym bardziej, że wcześniej czterokrotnie z Częstochową przegrywaliśmy w ćwierćfinałach albo półfinałach. Cały czas nas lali i zapowiadało się kolejne lanie. A doszło do niesamowitego zwrotu akcji, w pewnym sensie siatkarskiego cudu – mówi.

Po tym meczu wszyscy na trybunach rozpłakali się ze szczęścia. Po tylu latach upokorzeń, wreszcie zwycięstwo. Radość była tym większa, że z kibicami AZS Częstochowa nie przepadali za sobą.

– Po tym meczu byliśmy na 99 procent pewni, że wygramy w finale i tak się stało – mówi.

Pamięta mecz reprezentacji Polski z Jugosławią w 2000 roku, ten słynny turniej przedolimpijski w Spodku. To była ta wspaniała Jugosławia z braćmi Grbicami. Polacy byli o krok od doprowadzenia do tie-breaka. Przy stanie 23:17 dla gospodarzy, na zagrywce w drużynie Jugosławii pojawił się Andrija Gerić. Jego seria potężnych serwisów odwróciła losy seta i ostatecznie to przyjezdni wygrali partię 28:26, a całe spotkanie 3:1. Hala w Spodku pogrążyła się w absolutnej ciszy. Po tej porażce reprezentacja Polski straciła szansę na awans olimpijski. Jugosławia wygrała cały turniej, a kilka miesięcy później sensacyjnie sięgnęła po złoty medal igrzysk w Sydney.

Tam, w Katowicach na trybunach były tłumy. Znają się z innymi fanami siatkówki. Są w wielkiej przyjaźni z kibicami Resovii Rzeszów, mają dobre kontakty z kibicami z Olsztyna, z kibicami z Bełchatowa szanują się. Kiedyś łączyły ich dobre relacje z kibicami z Kędzierzyna-Koźla, potem doszło do zgrzytów, ale spotkali się, porozmawiali i wszystko sobie wyjaśnili. Na siatkówce jest zupełnie inna atmosfera niż na piłce nożnej, wie, bo jeździł całe lata na mecze Górnika Zabrze.

– Urodziłem się w Rudzie Śląskiej, a jak ktoś się urodził w Rudzie Śląskiej, to jest albo kibicem Górnika, albo Ruchu. Trzeciej możliwości nie ma – tłumaczy.

Inni ludzie jeżdżą na siatkówkę, trochę inni na piłkę nożną. Piłka wyzwala dziwne emocje, ktoś kiedyś powiedział, że futbol to namiastka wojny i, jak mówi, jest w tym sporo prawdy. Poza tym, hala jest mniejsza niż stadion piłkarski, a jak przyjdzie na niego trzydzieści tysięcy ludzi, to zawsze łatwiej trafić na szaleńców. Na Jastrzębski Węgiel chodzą całe rodziny, tu atmosfera jest zupełnie inna.

– Ale umówmy się też, że całe lata siatkarska reprezentacja Polski nie święciła triumfów, nie było sukcesów klubowych w europejskich pucharach, a jednak atmosfera na halach zawsze była bardzo dobra, a wiadomo, że mnóstwo ludzi przyciągnęły zwycięstwa klubów i kadry – zauważa.

Co myśli o zbiórce pieniędzy na ratowanie klubu?

– Powiem szczerze, byłem optymistycznie nastawiony, ale spodziewałem tego, co jest, bo twardo stąpam po ziemi. Nie wierzę, że możemy zebrać pieniądze, które zmieniają losy klubu. Poza tym pewne rzeczy są już przypieczętowane nie z winy kibiców, nie z winy zarządu klubu, czy pana prezesa Gorola. Tak dramatyczna sytuacja nastąpiła z powodu fatalnego zarządzania Jastrzębską Spółką Węglową. Walczyć jednak trzeba – mówi.

Są takie miasta, które szczególnie upodobały sobie jakąś dyscyplinę sportu. Rzucasz nazwę miejscowości i od razu wiesz, o co chodzi. Włocławek to miasto Anwilu, czyli koszykarzy, Oświęcim to hokej, Kielce to piłka ręczna, podobnie Płock. W Jastrzębiu-Zdroju popularny jest boks, hokej, ale to miasto siatkówki.

eprasa.pl 40f33bb3b7

Polska
Środa–niedziela, 3–7.06.2026

Sarkisjan: Polityka kwantowa. Chaos nie jest wyjątkiem od reguły. Chaos stał się nową regułą

– Zakładano, że rzeczywistość istnieje niezależnie od obserwatora. Fizyka kwantowa pokazała, że sam akt obserwacji wpływa na wynik. Dziś polityka działa podobnie. Media, internet i emocje wpływają na rzeczywistość natychmiast – mówi prof. Armen Sarkisjan, fizyk, były prezydent Armenii

Agaton Koziński

Świat wszedł w okres permanentnego chaosu. Czego on jest konsekwencją?
Zaraz do tego przejdziemy, najpierw ustalmy podstawowe fakty. Po pierwsze – czym się pan zajmuje?

Jestem dziennikarzem.
I był pan nim przez całe życie?

Tak. Zacząłem, jak miałem 17 lat.
A chce pan zostać premierem?

Nie. (śmiech)
Dlaczego się pan śmieje? W Armenii mamy premiera, który był dziennikarzem.

Donald Tusk też był dziennikarzem.
Tak, ale w Armenii, gdy już wybierzesz premiera, nie możesz się go pozbyć. To gatunek, który może trwać wiecznie.

Proponowano mi wejście do polityki, ale odmówiłem.
Dobrze pan zrobił. Życie poza polityką istnieje - i jest piękne.

Wróćmy może do tematu naszej rozmowy.
Tak. Ale zanim zaczniemy rozmawiać o chaosie współczesnego świata, trzeba zacząć od czegoś zupełnie innego. Ile pan właściwie wie o moim życiu?

Wiem, że jest Pan fizykiem z wykształcenia
Tak, jestem doktorem fizyki i matematyki. W pierwszym etapie życia zajmowałem się wyłącznie nauką. W Związku Radzieckim niemal wszystko funkcjonowało źle, ale była jedna rzecz, która działała bardzo dobrze – edukacja w zakresie fizyki i matematyki. Historia i ekonomia były skupiały się na ideologii, ale nauki ścisłe stały na najwyższym poziomie. Kiedy byłem bardzo młody, otrzymałem Nagrodę Lenina. Dziś brzmi to absurdalnie – fizyka i Lenin – ale tak wyglądał tamten świat.

W ZSRR wszystko kręciło się wokół Lenina i Stalina.
Tak. Dzięki tej nagrodzie oraz wsparciu rektora Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego mogłem wyjechać do Cambridge jako profesor wizytujący. Byłem jedynym radzieckim naukowcem w Cambridge. Potem zapraszano mnie na Harvard, później znowu do Cambridge. Na początku lat dziewięćdziesiątych otrzymałem stanowisko profesora w Wielkiej Brytanii i przeniosłem tam rodzinę. Od tamtej pory mieszkamy w Wielkiej Brytanii. Ale to nie wszystko. Stałem się profesorem, który zarobił pieniądze.

Tego nie wiedziałem. Wiedziałem, że był Pan naukowcem, ale nie wiedziałem, że jest Pan bogaty.
Miałem laboratorium modelowania matematycznego systemów złożonych. W dzisiejszym języku nazwalibyście to sztuczną inteligencją. Komputery były wtedy bardzo słabe, ale matematyka niezwykle silna. Sprzedałem część tej teorii firmie Thinking Machines, której doradcą był Richard Feynman.

Ta firma tworzyła superkomputery już w latach 80. XX wieku.
Później stworzone przez nas rozwiązania trafiły do Sun Microsystems. Można więc powiedzieć, że w nowoczesnych systemach przetwarzania równoległego znajduje się mały fragment mojej pracy. Zarabiałem również na grach komputerowych. To był jeszcze Związek Radziecki. Jedną z naszych gier zainteresowali się ludzie Roberta Maxwella. Tak zaczęła się historia Tetrisa.

Grałem w Tetrisa.
Wiedział pan, że jestem jednym z jej twórców?

Nie wiedziałem.
Aleksiej Pażytnow, który jest uważany za głównego autora Tetris, pracował w naszym laboratorium. Pierwotna wersja gry wyglądała zupełnie inaczej. Nie spadały klocki – trzeba było układać słowa. Gra nazywała się „Wordtris", a nie „Tetris". Dopiero później pojawiły się te klocki, które dziś wszyscy znają. Kiedy jeszcze byłem na Harvardzie, dowiedziałem się, że radzieckie państwo sprzedało prawa do gry. Wszystko przejęły struktury związane z KGB. To oni zgarnęli pieniądze.

Wtedy złamałem radzieckie prawo. Założyłem firmę w Delaware i Kalifornii, do której przenieśliśmy prawa do innych gier. Potem sprzedaliśmy je IBM, Nintendo i kolejnym firmom.
Największym sukcesem był „Tetris Gold". Przez sześć lat pozostawał numerem jeden na świecie. Miałem połowę praw do tej gry. Na początku lat dziewięćdziesiątych, jeszcze jako obywatel ZSRR, zostałem milionerem.

Myślałem, że umówiłem się na rozmowę z byłym prezydentem Armenii.
Po rozpadzie Związku Radzieckiego zaczęło się moje drugie życie. Gdy Armenia uzyskała niepodległość, zostałem ambasadorem. Otwierałem ambasady Armenii w Europie: w Paryżu, Berlinie, Londynie, Brukseli, przy NATO i Unii Europejskiej. W pewnym momencie jednocześnie pełniłem funkcję ambasadora w siedmiu miejscach. W 1996 roku zostałem premierem Armenii. Rok później zrezygnowałem z powodu choroby nowotworowej. Dwa lata spędziłem w szpitalach. I to był moment, w którym zaczęło się moje kolejne życie. Z czasem znudził mnie biznes. Nigdy nie fascynowały mnie wielkie jachty, prywatne samoloty ani kolejne miliony. Dlatego w 2018 r. zgodziłem się kandydować na prezydenta Armenii i zostałem wybrany na tę funkcję przez ormiański parlament. Zgodziłem się objąć ten urząd tylko dlatego, że widziałem nadchodzącą wojnę i uważałem, że mogę jej zapobiec. Mogłem rozmawiać z Ilhamem Alijewem, prezydentem Azerbejdżanu. On sam to podkreślał - choć jednocześnie ormiański premier i jego otoczenie nie chcieli mnie słuchać. Moim największym osiągnięciem jako prezydenta było to, że kilka razy udało mi się powstrzymać wybuch wojny. Ostatecznie jednak przewidziałem, że Armenia straci Górski Karabach. Powiedziałem wtedy: „dość". Zaproponowałem zmianę konstytucji. Kiedy odmówiono, zrezygnowałem. Od tego momentu nie komentuję polityki Armenii.

Chciałem z Panem rozmawiać o współczesnej polityce, a nie o tym, co się dzieje na Zakaukaziu.
Zawsze fascynowało mnie to, że zachowania społeczne przypominają prawa fizyki. Początkowo wydawało mi się, że próba zastosowania tych reguł do opisu zachowań społeczeństw jest sztuczna, ale z czasem zrozumiałem, że istnieją głębsze zależności. Zwłaszcza teraz.

Dlaczego akurat teraz?
Świat właśnie przechodzi fundamentalną zmianę, która najłatwiej opisać przez analogię do fizyki kwantowej. Z tego powodu zacząłem mówić o „polityce kwantowej".

DŁUGO FIZYKA OPIERAŁA SIĘ NA REGUŁACH NEWTONA. POTEM ODKRYTO ATOMY, STARY SYSTEM PRZESTAŁ DZIAŁAĆ. TO SAMO DZIEJE SIĘ DZIŚ W POLITYCE

Gdzie Pan widzi tę analogię?
Do początku XX wieku fizyka opierała się na regułach uporządkowanych przez Newtona. Wszystko wydawało się logiczne i stabilne. Potem odkryto atomy i cząstki elementarne, a stary system przestał działać. Einstein, Bohr, Heisenberg i pozostali wybitni fizycy początku XX wieku zrozumieli, że nie wystarczy poprawić starej teorii. Trzeba całkowicie zmienić sposób myślenia. Dokładnie to samo dzieje się dziś w polityce. Obecnie system zasad stworzony po II wojnie światowej przestał działać.

Jednak cały czas mamy ONZ, Radę Bezpieczeństwa, WTO.
Instytucje starego świata, która odszedł w przeszłość. Przede wszystkim z powodu rozwoju technologii. Drugim wydarzeniem, obalającym stary porządek, był upadek Związku Radzieckiego. Gdy do tego doszło, Zachód uznał, że historia się skończyła. Fukuyama napisał o „końcu historii" - podczas gdy tak naprawdę był to początek nowej epoki.

Kiedy ona dokładnie się zaczęła?
To nie był jeden dzień. To był proces. Po upadku ZSRR zniknął strach przed komunizmem. Na Zachodzie zaczął rosnąć populizm i przekonanie, że można obiecać wszystkim wszystko. Powszechnie zaczęto uważać, że istnieje absolutna równość we wszystkim. Wahadło wychyliło się za daleko. Na to nałożyła się niezdolność instytucji międzynarodowych do dostosowania się do nowej rzeczywistości.

ONZ jest krytykowane od bardzo dawna – właśnie za brak zdolności do reakcji w sytuacjach kryzysowych.
Ale to nie chodzi tylko o ONZ. To także Unia Europejska, WHO, WTO, itp. Wszystkie one nie potrafiły odpowiedzieć na skalę zmian. Świat uznał, że produkcję można przenieść do Chin, bo to tańsze. Nie zauważyliśmy, że wraz z produkcją przekazujemy wiedzę, technologię i siłę. Chińczycy okazali się niezwykle zdyscyplinowani. Połączyli wolny rynek z pełną kontrolą państwa i strategicznym myśleniem. To był kolejny krok prowadzący nas do nowego świata polityki kwantowej. Nikt tego oficjalnie nie ogłosił, ale to już się wydarzyło.

Ludzie pokochali Tetrisa, bo lubią porządek. Dlaczego więc pozwoliliśmy, żeby świat stał się tak nieprzewidywalny?
Ma pan rację, ludzie lubią porządek. Ale też często udają. Ogłaszamy wielkie idee, ale równocześnie nie analizujemy rzeczywistości i praw natury. Uwierzono, że możemy narzucić wszystkim ten sam model świata. To był również problem Związku Radzieckiego, który uważał, że może pojechać do Afganistanu i nauczyć ludzi życia jak w Nowym Jorku. Tymczasem nie da się przeskoczyć ewolucji społecznej. Każda próba wywołuje reakcję. Podobnie wygląda to w Europie. Unia Europejska to fantastyczny projekt. Ale czy ona ma dziś wspólną politykę energetyczną?

Nie.
A przecież energia była podstawą integracji. Tymczasem UE reguluje tysiące drobiazgów, ale nie buduje wspól-

eprasa.pl 40f33bb3b7



FOT. 123RF

Sarkisjan: Obecny chaos jest konsekwencją błędnego zarządzania zmianą. Instytucje pozostały stare, ale rzeczywistość już się zmieniła. To trochę tak, jakby próbować opisać fizykę kwantową przy pomocy praw Newtona. Nie da się

nych fundamentów. Nawet Związek Radziecki rozumiał, że trzeba stworzyć wspólny system energetyczny.

Jednak porównywanie Związku Radzieckiego do UE jest zdecydowanie nietrafione.
Nie porównuję Unii Europejskiej do ZSRR. Mówię jedynie, że trzeba rozumieć naturalne procesy integracji. Uważam, że Unia Europejska była konieczna. Problem polega na tym, że proces integracji nie został dokończony. Z rozczarowaniem patrzę na to, jak mało nauczyliśmy się po upadku Związku Radzieckiego. Nie zrozumieliśmy procesów, które zachodziły po tym fakcie. I dlatego dziś żyjemy w świecie chaosu. Nie dostosowaliśmy demokracji do nowej rzeczywistości.

Demokracja jest dość uniwersalna i plastyczna – sama się dostosowuje do zmieniającego się świata.
Nie do końca. W klasycznej demokracji wybiera się władzę raz na cztery lub pięć lat. Ale dziś głosuje się każdego dnia: telefonem, mediami społecznościowymi, kliknięciami. To wpływa na politykę znacznie bardziej niż same wybory. Wybory są tylko momentem formalnego potwierdzenia procesów, które dzieją się nieustannie. A wybrany polityk natychmiast staje się zakładnikiem tego systemu. Właśnie dlatego mówię, że weszliśmy do nowego świata. Świata, którego nie rozumiemy przy pomocy dawnych kategorii. Świat stał się bardziej niestabilny, bardziej emocjonalny i bardziej podatny na gwałtowne reakcje, a instytucje stworzone po II wojnie światowej nie nadążają za rzeczywistością. Demokracje działają według zasad z XX wieku, podczas gdy społeczeństwa funkcjonują już w zupełnie innej logice. Dlatego obserwujemy chaos, kryzysy i utratę zaufania. I to nie jest chwilowy kryzys. To zmiana epoki.

Wcześniej przyznał Pan, że ludzie lubią porządek.
Tak. Ale dziś utraciliśmy ten rodzaj porządku.

Świat zawsze był nieprzewidywalny.
Owszem. Różnica polega na tym, że wcześniej wierzyliśmy w istnienie stabilnych struktur. Dziś te struktury przestały działać. Kiedyś państwa narodowe kontrolowały przepływ informacji, gospodarkę i procesy społeczne. Dziś wszystko dzieje się jednocześnie i wszędzie. Technologia zniosła granice. Informacja przemieszcza się szybciej niż decyzje polityczne. I właśnie dlatego mówię o świecie kwantowym. W fizyce kwantowej obserwator wpływa na rzeczywistość. W polityce dzieje się dziś dokładnie to samo. Media społecznościowe, emocje, reakcje tłumu – wszystko wpływa na procesy polityczne w czasie rzeczywistym. Dziś żyjemy w epoce telefonu komórkowego. Ludzie reagują natychmiast. Politycy również. Nie ma już czasu na długofalowe myślenie. Właśnie dlatego coraz trudniej znaleźć prawdziwych przywódców. Demokracja zakładała, że najlepsi ludzie będą podejmowali decyzje w imieniu społeczeństwa. Dziś politycy są uzależnieni od sondaży, mediów społecznościowych i ciągłej presji. A kiedy człowiek zaczyna reagować wyłącznie na emocje tłumu, przestaje myśleć strategicznie.

Mimo wszystko na Zachodzie przekonanie o tym, że naprawdę nastąpił „koniec historii" utrzymywało się bardzo długo.
Tak. Zachód uwierzył, że wygrał historię. Po upadku Związku Radzieckiego uznano, że liberalna demokracja jest ostatecznym modelem świata. Tymczasem historia nigdy się nie kończy. Każdy system, który przestaje się rozwijać, zaczyna się rozpadać. Europa i Stany Zjednoczone uwierzyły, że mogą żyć bez strategicznego myślenia. Produkcję przeniesiono do Chin, uznano, że bezpieczeństwo jest gwarantowane, a wojny należą do przeszłości. To była iluzja.

Obecny chaos to konsekwencja tej iluzji?
Nie. Chaos jest konsekwencją błędnego zarządzania zmianą. Technologia zmieniła świat szybciej niż polityka. Instytucje pozostały stare, ale rzeczywistość już się zmieniła. To trochę tak, jakby próbować opisać fizykę kwantową przy pomocy praw Newtona. Nie da się.

Instytucje – podobnie zresztą jak cała polityka – są wypadkową oczekiwań społecznych.
Społeczeństwa już się zmieniły, tylko rzeczywistość instytucjonalna za tym nie nadąża. Dziś ludzie są przeciążeni informacjami, emocjami i lękiem. Kiedyś wiadomości docierały raz dziennie. Dziś człowiek dostaje tysiące impulsów każdego dnia. To wpływa na psychikę, politykę i relacje społeczne. Powstaje świat permanentnego napięcia. Jedną z tego konsekwencji jest wzrost populizmu. To reakcja społeczna. Ludzie czują, że tracą kontrolę nad rzeczywistością. Kiedy człowiek przestaje rozumieć świat, zaczyna szukać prostych odpowiedzi. A politycy bardzo chętnie takie odpowiedzi oferują. To jednak nie rozwiązuje problemów.

A co je może rozwiązać?
W świecie klasycznym zakładano, że rzeczywistość istnieje niezależnie od obserwatora. Fizyka kwantowa pokazała, że sam akt obserwacji wpływa na wynik. Dziś polityka działa podobnie. Media, internet i emocje społeczne wpływają na rzeczywistość polityczną natychmiast. Nie ma już dystansu między wydarzeniem a reakcją. To tworzy ogromną niestabilność.

Jak odzyskać równowagę?
To wymaga to nowego sposobu myślenia. Nie można rozwiązać problemów XXI wieku narzędziami XX wieku. Potrzebujemy nowych elit, nowych instytucji i nowego rozumienia świata. Przede wszystkim jednak potrzebujemy pokory. Największym błędem Zachodu była pycha. Uwierzył, że może wszystko kontrolować. Że może eksportować demokrację, zmieniać kultury i narzucać wszystkim własny model życia. Tylko to tak nie działa. Ewolucji społecznej nie da się przyspieszyć dekretami. Zmieniła się natomiast natura władzy. Dawniej władzę dawało państwo, armia i terytorium. Dziś władzę daje informacja, technologia i zdolność wpływania na emocje społeczne. Dlatego właśnie mówię o świecie kwantowym. To świat nieciągłości, niepewności i permanentnych zmian. I dlatego stare modele polityczne przestają działać.

Żyjemy jeszcze w świecie demokracji?
Demokracja przetrwa tylko wtedy, jeśli nauczy się funkcjonować w nowych warunkach. Jeśli pozostanie przy starych mechanizmach, będzie coraz słabsza. Problem polega na tym, że politycy nadal myślą kategoriami XX wieku. A społeczeństwa żyją już w wieku XXI. Ta różnica będzie powodowała coraz większe napięcia.

Czy dlatego mówi Pan o permanentnym chaosie?
Tak. Chaos nie jest wyjątkiem od reguły. Chaos stał się nową regułą. I dopóki nie zrozumiemy natury tej zmiany, będziemy reagować wyłącznie na skutki, a nie na przyczyny. Proszę zobaczyć choćby co się dzieje w Wielkiej Brytanii. Zwykle premierzy rządzili tam po kilka kadencji – tymczasem od 2022 r. mieliśmy czterech szefów rządu. To jest właśnie przykład tej zmiany. Pojedyncze opinie są dziś ważniejsze niż kiedykolwiek – tak jak w fizyce kwantowej ważne są pojedyncze elektrony i atomy. Dopóki nie zrozumiemy specyfiki tej zmiany, z obecnego chaosu nie uda nam się wyrwać.

CV

Armen Sarkisjan
Były prezydent i premier Armenii. Profesor fizyki, pracujący m.in. na uniwersytecie Cambridge. Autor książki „The Small States Club: How Small Smart States can Save the World"

eprasa.pl 40f33bb3b7

Polska
Środa–niedziela, 3–7.06.2026

ALEKSANDRA HARASIUK: NIECH BURSZTYN ZOSTANIE ZACZAROWANY

– Niech bursztyn ma w sobie wszystkie legendy, historie i tajemnice. Chodzi o coś innego: o zbudowanie świadomości, że kupując bursztyn, zwłaszcza bursztyn naturalny, kupujemy kawałek historii. To jest coś, co przez ponad 40 milionów lat było ukryte w ziemi i przechowało dla nas ślad dawnego świata – mówi Aleksandra Harasiuk

Anita Czupryn

Mam takie małe marzenie i myślę, że nie tylko ja: pojechać na urlop nad Bałtyk i znaleźć piękny, wielki bursztyn. Jakie są na to szanse latem?
Jako że z bursztynem wiąże się nauka i wiedza, to trzeba wiedzieć, jakie warunki sprzyjają temu, by znaleźć bursztyn na bałtyckim wybrzeżu, nie tylko w Polsce, ale też na Litwie, Łotwie, w Rosji czy w Skandynawii. Najlepsza jest pogoda sztormowa. Najczęściej to, co znajduje się w morzu w postaci żywicy, czyli bursztynu, wyrzucane jest na brzeg w okresie luty-marzec albo październik-listopad. Wtedy mamy największe zmiany prądów w Bałtyku. Podczas sztormów natura porusza tym, co zalega jeszcze na dnie morza. Latem oczywiście też można bursztyn znaleźć, ale trzeba wiedzieć, gdzie i jak go szukać. Można też skorzystać z pomocy tak zwanych poławiaczy bursztynu i wędrować ich śladem. Dzisiaj najbardziej znanym miejscem jest Mierzeja Wiślana. Są tam trzy miejscowości uznawane za centrum połowów bursztynu. Ale żeby znaleźć naprawdę dużą bryłę, to oprócz posiadania wiedzy trzeba się jeszcze urodzić pod szczęśliwą gwiazdą.

Czy bursztyn jest surowcem niewyczerpywalnym? Ile go właściwie jest? Znajduje się tylko w morzu?
Bursztyn, czyli kopalna żywica, występuje w różnych zakątkach świata, ale pochodzi z różnych epok kształtowania się kontynentów i lądolodów. Nasz bursztyn bałtycki związany jest z formowaniem się kontynentu europejskiego i Skandynawii, z tak zwanych wysp Fennoskandii. To czasy eocenu. Tak określamy pochodzenie bursztynu bałtyckiego, jako czas w historii geologicznego tworzenia się naszej części świata. Jeśli chodzi o bursztyn bałtycki na terenie Polski, mamy dwa zasadnicze regiony złóż, które Państwowy Instytut Geologiczny pokazuje w bilansie złóż kopalin. Ostatni dostępny bilans, sporządzony na 31 grudnia 2024 roku, wskazuje województwo lubelskie i pomorskie. Lubelskie oceniane jest na 3690 ton (zasoby przemysłowe wynoszą 2059 ton). 11 złóż lubelskich to 3648 ton i położone są na głębokości 20-30 metrów. Pomorskie oceniono na 41 ton na głębokości 60-130 metrów. Obecnie eksploatowane są złoża w województwie lubelskim: Górka Lubartowska, Leszkowice i Niedźwiada III. W ubiegłym roku, zgodnie z raportem, wydobyto ponad 9 ton bursztynu. Każde wydobycie jest zgłaszane do oficjalnych służb, stąd znamy te liczby.

Ile ważyła największa znaleziona bryła bursztynu?
Jeśli mówimy o bursztynie bałtyckim, największa znana bryła waży 9,75 kilograma. Została znaleziona w 1860 roku w Rarwinie koło Kamienia Pomorskiego. Dziś znajduje się w Museum für Naturkunde w Berlinie.

A najpiękniejszy artefakt z bursztynu, którym możemy się chwalić w Polsce?
Jeżeli mówimy o kolekcjach bursztynu w Polsce, bardzo ważne jest Muzeum Zamkowe w Malborku. Tam znajdują się jedne z najcenniejszych obiektów bursztynowych w Polsce. Muzeum Bursztynu w Gdańsku to #mustvisit. Ale tuż za granicą Polski, w Ribnitz-Damgarten, znajduje się Deutsches Bernsteinmuseum, czyli Niemieckie Muzeum Bursztynu. Są tam niezwykle cenne rzeczy z bursztynu związane z dawnym, przedwojennym Gdańskiem, który był wtedy miastem silnie związanym z kulturą niemieckojęzyczną. Oni mają obiekty, których my prawdopodobnie nigdy już w Polsce nie będziemy mieli.

Dlaczego bursztyn bałtycki jest tak wyjątkowy na tle innych żywic kopalnych świata?
Z jednego powodu: zawiera kwas bursztynowy na poziomie 5-8 procent. Przypisuje mu się właściwości korzystne dla zdrowia człowieka. Z bursztynem wiążą się legendy i wierzenia ludowe, które mają ponad 3000 lat. Kiedy patrzymy na jego właściwości mineralogiczne, nie z perspektywy lekarzy czy farmakologów, ale historii i medycyny tradycyjnej, to widzimy przede wszystkim legendy, przekazy i wierzenia. Mówiono, że bursztyn i kwas bursztynowy znajdujący się na zewnętrznej warstwie bryłki, którą potem noszono jako biżuterię, amulet czy talizman, mają dobry wpływ na człowieka. Ale trzeba jasno powiedzieć: to nie jest wiedza medyczna w ścisłym sensie.

Czy bursztyn może być polskim diamentem?
Bursztyn bałtycki jest naszym skarbem narodowym, dobrem narodowym i dziedzictwem kulturowym. Ale zawsze bardzo mocno podkreślamy, także PR-owo, że nie ma czegoś takiego jak „bursztyn polski". Jest bursztyn bałtycki, który występuje na wspomnianych terenach. Dla nas jest dobrem i dziedzictwem kulturowym, ponieważ od ponad 3000 lat na ziemiach, które dziś znajdują się na mapie Polski, był przetwarzany i używany jako amulet, talizman, przedmiot dekoracyjny czy element kultu. Pod Nowym Dworem Gdańskim znaleziono figurki z bursztynu, które miały ponad 3000 lat. Od setek lat eksportowaliśmy wyroby z bursztynu jako przedmioty rzemiosła i podarunki dyplomatyczne. Jedna z badaczek napisała na KUL-u wspaniałą pracę doktorską o tym, jak od XVII wieku z naszych terenów trafiały w świat bursztynowe szkatuły, kufle, różańce i inne przedmioty jako podarunki dyplomatyczne. Różańce upowszechniali między innymi Krzyżacy z Malborka, którzy monopolizowali wydobycie i handel bursztynem od X wieku. Na ziemiach polskich przez wieki zajmowano się przetwórstwem tego surowca. Mamy na to dowody, mamy wspaniałe okazy w wielu muzeach w Polsce. Dlatego uważam, że powinniśmy mówić o bursztynie jako o naszym dobru narodowym i zapleczu kulturowym. To fascynujące dziedzictwo, które wreszcie warto podnieść do takiej rangi, jak twórczość Chopina czy dorobek Marii Skłodowskiej-Curie.

Diament mierzy się w karatach. A czym mierzy się bursztyn? Wagą, pięknem, kolorem, historią, pochodzeniem?
To dziś jedna z najważniejszych kwestii, którymi zajmuje się Międzynarodowe Stowarzyszenie Bursztynników z siedzibą w Gdańsku. Bursztyn jako żywica od lat był modyfikowany. Jeśli chodzi o skład chemiczny, w 60-80 procentach składa się z węgla, potem z tlenu i wodoru, a także niewielkiej ilości siarki. Po wrzuceniu do ognia płonie, stąd niemiecka nazwa Bernstein. Jest jednak kruchy: w skali Mohsa jego twardość wynosi około 2-2,5. Dlatego nie przetrwał tak jak diament, najtwardszy minerał świata, który ma twardość 10. Po diamencie można przejechać czołgiem i nic mu się nie stanie. Bursztyn łatwo się kruszy, stąd tak mało przetrwało zabytków i artefaktów wykonanych z bursztynu.

O co więc dziś toczy się walka na rynku bursztynu?
O uporządkowanie zasad oceny. Diament ma swoje 4C, czyli kryteria wartości. To bardzo ważne, bo pozwala ograniczać chaos na rynku kamieni jubilerskich. W przypadku bursztynu czegoś tak jednoznacznego nie mamy. W 1996 roku, czyli ponad 30 lat temu, powstało Międzynarodowe Stowarzyszenie Bursztynników. Jedną z jego założycielek była profesor Barbara Kosmowska-Ceranowicz, która od lat 70. zajmowała się bursztynem bałtyckim. W stowarzyszeniu spotkali się naukowcy z różnych dziedzin: chemicy, fizycy, paleontolodzy, historycy sztuki. Musieli wspólnie zastanowić się, jak klasyfikować kamienie jubilerskie z bursztynu. Taka klasyfikacja powstała i wiele osób na świecie – jak muzealnicy, kolekcjonerzy czy gemmolodzy – ją stosują. Ale nie możemy jej nikomu narzucić, bo Międzynarodowe Stowarzyszenie Bursztynników jest organizacją pozarządową. To nie jest prawo obowiązujące cały świat. Dziś ta klasyfikacja obejmuje cztery podstawowe kategorie. Pierwsza to bursztyn naturalny. Niewygrzewany, niepoddany żadnej obróbce technologicznej zmieniającej barwę czy właściwości. Może być wypolerowany, może zostać użyty do naszyjnika albo korali, ale nie został technologicznie zmodyfikowany przez człowieka. I to jest najcenniejszy okaz. Druga kategoria to bursztyn modyfikowany, czyli kamień, którego wygląd, tekstura bądź trwałość zostały zmienione w wyniku ingerencji człowieka, np. przez obróbkę termiczną. Może wówczas zmieniać kolor i barwę. Sprzedawane są bursztyny barwione na czerwono czy jaskrawozielono, ale to nie są barwy naturalne. Trzecia forma to bursztyn rekonstruowany (prasowany). Jest poddawany nie tylko obróbce termicznej, ale też łączeniu kilku naturalnych bryłek pod wpływem podwyższonej temperatury i ciśnienia, tak aby powstał materiał, który można pociąć i wykorzystać w biżuterii. Czwarta kategoria to bursztyn łączony, tak zwany duplret/tryplet, gdzie kilka rodzajów materiału może zostać zestawionych w jednej bryłce czy w jednym wyrobie. Jest też międzynarodowa organizacja, która w publikacjach dla kamieni jubilerskich traktuje bursztyn bałtycki jako część organicznych materiałów gemmologicznych, podobnie jak koral czy jadeit. I tam pojawia się bardzo ważne ostrzeżenie: jeżeli bursztyn został zmodyfikowany, nie można opisywać go jako naturalnego. Problem polega na tym, że nie wszyscy się do tego stosują. W laboratoriach gemmologicznych u naszych sąsiadów, na Łotwie czy w Rosji, często pisze się, że bursztyn jest naturalny, a dopiero obok dodaje słowo „modyfikowany", tak aby uzyskać wyższą cenę. To, co robią nieuczciwi producenci, przemytnicy i handlarze, to już osobna historia. A właściwie cała epopeja.

Jak często bursztyn się podrabia? I co może zrobić przeciętny człowiek, żeby nie dać się oszukać?
Po pierwsze, niestety, każdy może zostać oszukany. Dlaczego? Bo imitacje bursztynu bywają czasami nie do odróżnienia gołym okiem. Druga sprawa jest taka, że tych imitacji jest bardzo dużo. Od XIX wieku robiono różnego rodzaju materiały, które miały udawać bursztyn. Jednym z najbardziej znanych jest bakelit. To nic innego jak tworzywo sztuczne. Wszedł do masowej produkcji wtedy, kiedy chciano uzyskać materiał w kolorze bursztynu, który będzie podobnie wyglądał. Produkowano go między innymi w Niemczech i Stanach Zjednoczonych. W XX wieku było bardzo dużo takich podmian. W biżuterii vintage można znaleźć mnóstwo przykładów. Bursztynnicy zawsze się ekscytują, kiedy w filmie czy serialu pojawia się duża zawieszka przypominająca bursztyn. Tak było choćby przy jednej z nowszych produkcji związanych z „Seksem w wielkim mieście". Jedna z aktorek miała dużą zawieszkę i wszyscy uznali, że to bursztyn. Tymczasem był to bakelit. Podobnie Iris Apfel miała wiele dużych naszyjników. Nosiła bursztyn, faktycznie go lubiła i miksowała z innymi rzeczami, ale część jej biżuterii była również bakelitowa.

Jak najprościej sprawdzić, czy coś jest prawdziwym bursztynem?
Najuczciwsza odpowiedź brzmi: sprzedawca nie jest w stanie dać państwu stuprocentowego potwierdzenia. Od tego są rzeczoznawcy i laboratoria. W Polsce takim miejscem jest laboratorium bursztynu Międzynarodowego Stowarzyszenia Bursztynników w Gdańsku, nadzorowane przez naukowców. To bardzo ważne, bo istnieją też laborato-

eprasa.pl 40f33bb3b7



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Aleksandra Harasiuk, była dyrektorka Międzynarodowego Stowarzyszenia Bursztynników, promotorka bursztynu

ria, które nie są prowadzone w taki sposób, a badania wykonują samozwańczy rzeczoznawcy, którzy mogą potwierdzić właściwie wszystko. Każdy może więc wysłać wyrób albo pojechać do Gdańska i sprawdzić, czy ma do czynienia z bursztynem naturalnym, bursztynem modyfikowanym czy imitacją. Oczywiście można też wiele wyczytać z koloru i wyglądu. Stowarzyszenie Bursztynników opublikowało na ten temat sporo artykułów: o tym, czy zielony bursztyn jest naturalny, czym jest bursztyn koniakowy z charakterystycznymi pęknięciami w środku, który wielu osobom wydaje się naturalny. Literatura jest bardzo bogata. Mam duży szacunek do sprzedawców, ale to nie są osoby, które powinny być źródłem stuprocentowego potwierdzenia. Od tego są rzeczoznawcy gemmologiczni. Wielu sprzedawców chce doradzić jak najlepiej, ale wiedza na temat bursztynu w różnych miejscach bywa bardzo różna. Czasem niestety wprowadza kupujących w błąd.

Chciałabym zapytać także o ciemną stronę bursztynu: przemyt, nielegalne wydobycie, szarą strefę. Jak to wygląda?

To nie jest szara strefa. To jest czarna strefa, czyli przestępstwo. Przemyt jest przestępstwem. Nielegalne wydobycie jest przestępstwem. Wprowadzanie na rynek imitacji bursztynu jako prawdziwego bursztynu również jest oszustwem. Zdarza się na przykład, że producent kupuje worek surowca, a ktoś celowo dorzuca do niego imitacje. To także jest przestępstwo. Trzeba spojrzeć na prawo, które obowiązuje w Polsce. Z kwestiami wydobywczymi ma do czynienia między innymi Ministerstwo Klimatu i Środowiska, te przepisy nie regulują jednak wszystkiego w sposób idealny. Jeśli ktoś ma własną działkę i zaczyna tam kopać bursztyn na swój użytek, powinien mieć zgodę odpowiedniego urzędu na prace wydobywcze. Czy wszyscy ludzie w Polsce to robią? Nie wiem. Czy zawsze jest to traktowane jako przestępstwo? To też nie jest takie proste. Przestępstwem było natomiast to, co działo się w szalonych latach 90., w pierwszej fali bardzo agresywnego kapitalizmu. Wtedy wiele grup przestępczych, korzystając z braku regulacji i chaosu prawnego, rozkopywało lasy, plaże i różnego rodzaju działki bez żadnych pozwoleń. Zostawiano po sobie zniszczone tereny, które stawały się zagrożeniem dla ludzi, zwierząt, roślin i drzew. To były działania przestępcze. Wydaje mi się, choć nie jestem policjantką ani osobą pracującą w służbach, które to śledzą, że w Polsce na taką skalę właściwie już się tego nie robi. Mamy większą świadomość i wiemy, że grożą za to kary. Natomiast do Polski bursztyn nadal się przemyca. Sprawdzałam informacje z bilansu złóż kopalin w Polsce, publikowanego przez Państwowy Instytut Geologiczny. Są tam również dane służb celno-skarbowych. W latach 2015-2023 udaremniono w Polsce przemyt 18 ton bursztynu.

Stara się Pani o to, aby w Polsce powstał Instytut Bursztynu. Po co nam taki instytut?

Jestem jednoosobową lobbystką tego tematu. Spotkałam się już z kilkoma ministrami i przedstawicielami ministerstw, bo, jak wspomniałam, bursztyn to nauka, kultura, gospodarka i dyplomacja. W Polsce bursztynem zajmuje się na co dzień dziewięć ministerstw i dwie kancelarie. Kancelarie dlatego, że przekazują bursztyn jako prezent dyplomatyczny. Dobrze byłoby więc, żeby wiedziały, jakiej jakości bursztyn przekazują. Muzea zajmują się bursztynem, bo kupują obiekty do swoich kolekcji. Ostatnia duża transakcja to 650 tysięcy euro za obiekt zakupiony przez Muzeum Bursztynu w Gdańsku, które jest instytucją samorządową miasta Gdańska. Instytut Bursztynu byłby dla mnie miejscem, które zrzeszałoby naukowców z całego świata zajmujących się bursztynem bałtyckim. To oni mogliby ustalić coś na kształt diamentowych 4C, czyli wspólną klasyfikację jakości bursztynu, którą stosowałyby różne kraje. Muszą to zrobić naukowcy, bo w bursztynie ocena wartości działa inaczej niż w diamentach. W diamentach inkluzje przeszkadzają, są traktowane jako nieczystość. Diament powinien być czysty. W bursztynie jest odwrotnie: inkluzja może podnosić wartość bryłki. Jeżeli w bursztynie znajdziemy bardzo rzadki okaz fauny albo flory, jego wartość rośnie. Przykładem jest jaszczurka zatopiona w bursztynie – niezwykle rzadka i cenna inkluzja. W bursztynie najczęściej zachowują się owady, pajęczaki czy fragmenty roślin, a drobne gady należą do prawdziwych unikatów. Taki instytut mógłby więc uporządkować chaos w ocenie bursztynu. Po drugie, archiwizowałby wiedzę, która jest dziś rozproszona między wieloma dziedzinami nauki. Po trzecie, dzieliłby się tą wiedzą ze światem. A świat tej wiedzy potrzebuje. Bardzo aktywne są dziś rynki azjatyckie, szczególnie Chiny, oraz rynki arabskie. W handlu bursztynem i obiektami z bursztynu obraca się tam ogromnymi pieniędzmi. Ale często brakuje instytucji, do której można się zwrócić po rzetelną, państwową, naukową ekspertyzę.

Chodzi więc nie tylko o promocję bursztynu, ale też o bezpieczeństwo rynku?

Tak jest. Mamy dziś bardzo palący problem: nie ma prawnego uregulowania czynności zawodowej rzeczoznawcy jubilerskiego, nie tylko od bursztynu, ale w ogóle od biżuterii, zegarków, diamentów czy kamieni szlachetnych. Cały luksusowy rynek w Polsce funkcjonuje w dużej mierze dzięki rzeczoznawcom, którzy są samozwańczy. Teoretycznie dziś mogę się obudzić i powiedzieć: jestem rzeczoznawcą bursztynu. Mogę pójść do galerii sztuki albo muzeum i zaproponować, że będę pomagała wyceniać obiekty. Nie ma regulacji, a to może rodzić ogromne konsekwencje. Zwłaszcza gdy mówimy o rzeczach bardzo drogich, kupowanych za publiczne pieniądze. Kolejna sprawa to konserwacja. Nie mamy wyspecjalizowanego ośrodka konserwacji artefaktów bursztynowych. Rosjanie mają to bardzo dobrze opanowane. Tymczasem bursztyn, przez swoje właściwości fizyczne i kruchość, a także przez niewłaściwe warunki ekspozycji, może ulegać zniszczeniu. Jeśli muzeum kupuje obiekt za ogromne pieniądze, musimy mieć zaplecze chemiczne i konserwatorskie, które pozwoli go zabezpieczyć. Konserwujemy przecież wszystkie inne zabytki. Bursztyn także tego wymaga, dlatego Instytut Bursztynu nie byłby tylko miejscem promocji. Byłby centrum nauki, klasyfikacji, ochrony rynku, ekspertyz, konserwacji i archiwizacji wiedzy. Potrzebujemy takiego zaplecza, jeśli naprawdę chcemy traktować bursztyn jako nasze dziedzictwo.

Czytałam, że nasz bursztyn cieszy się ogromnym powodzeniem w krajach arabskich. Dlaczego?

To są historie znane od tysięcy lat. Bursztyn trafiał na tamte rynki już bardzo dawno temu. Peter Frankopan pisał o tym w „Jedwabnych szlakach", także w kontekście dawnych szlaków niewolniczych. Według tych opisów bursztyn był przewożony razem ze Słowianami, którzy trafiali na tamte rynki jako niewolnicy. Był zupełnie inny niż znane im materiały wykorzystywane do zdobnictwa. A człowiek od tysięcy lat fascynował się tym, co świeci, co jest piękne, niezwykłe, inne. Bursztyn ma też tę właściwość, że kiedy bierze się bryłkę do ręki, ona jest ciepła. Zachowuje się inaczej niż zwykłe minerały. To działało na wyobraźnię. Kiedy pojawiły się religie i modlitwa, bursztyn zaczął funkcjonować również jako materiał do przedmiotów religijnych. I dlatego dzisiaj jednym z najcenniejszych akcesoriów dla mężczyzn w krajach Bliskiego Wschodu są muzułmańskie różańce, czyli prayer beads. W krajach arabskich, zwłaszcza w sześciu państwach Rady Współpracy Zatoki Perskiej, mężczyźni potrafią wydawać na nie ogromne pieniądze. Bursztyn z Polski jest tam traktowany jako synonim superluksusowego materiału. Nawet mniejsi kolekcjonerzy potrafią mieć po kilkaset takich różańców. Na bazarach, gdy wisi różaniec z bursztynu i jest przy nim informacja „made in Poland", jego cena jest wyższa. Ich podejście do bursztynu to w ogromnej mierze właśnie zakup prayer beads, czyli kulek do modlitwy. W islamie odmawia się 99 imion Allaha i trzeba je sobie odliczać. Chrześcijaństwo później zaadaptowało podobną formę do własnych różańców. U nas różańce chrześcijańskie są dziś używane coraz rzadziej, natomiast w krajach arabskich te bursztynowe kulki nadal funkcjonują bardzo mocno. Rozmawiam z młodszymi kolekcjonerami i widzę, że dla nich coraz częściej jest to także atrybut luksusu. Przeciętny bogaty Arab ma bardzo dobry zegarek, bardzo dobry samochód, czyli kluczyki do niego, i właśnie bursztynowy różaniec. To są trzy rzeczy, bez których nie wychodzi z domu.

Ma Pani pomysł, żeby odczarować bursztyn z wizerunku staromodnej zawieszki? Jak pokazywać go jako nowoczesny design, coś wartościowego i jednocześnie opowieść o Polsce?

Ale ja nie chcę odczarowywać bursztynu – niech on zostanie zaczarowany. Niech ma w sobie wszystkie legendy, historie i tajemnice. Chodzi o coś innego: o zbudowanie świadomości, że kupując bursztyn, zwłaszcza bursztyn naturalny, kupujemy kawałek historii. To jest coś, co przez ponad 40 milionów lat było ukryte w ziemi i przechowało dla nas ślad dawnego świata. Niezależnie od tego, czy mówimy o surowej bryłce, czy o obrobionym bursztynie. Jeśli chodzi o biżuterię, czyli już konkretne wyroby z bursztynu, wszystko zależy od świadomości, ale też od odpowiedzialności producentów. Mamy wielu twórców, którzy robią fantastyczny, nowoczesny design. Taki, w którym gdyby w miejsce bursztynu włożyć szafir, nadal byłaby to piękna biżuteria. Ale są też przedsiębiorcy, którzy traktują bursztyn jak tani surowiec i oprawiają go w tani design. Bez dobrego wzornictwa, bez myślenia o tym, czym dzisiaj może zachwycić współczesnego miłośnika biżuterii. Dlatego potrzebne są dwie rzeczy. Po pierwsze, świadomość klientów: co kupują i dlaczego kupują bursztyn. Po drugie, odpowiedzialność projektantów i producentów, żeby pokazywać bursztyn w sposób nowoczesny, ciekawy, atrakcyjny. Takie działania podejmowaliśmy w Stowarzyszeniu. Jeździliśmy po świecie i pokazywaliśmy wybrany design oraz twórców, którzy naprawdę robią fantastyczne rzeczy. Staraliśmy się też lokować bursztyn w filmach i serialach dzięki współpracy z kostiumografami. Bursztyn pojawił się między innymi w filmie „Miłość na pierwszą stronę" Marii Sadowskiej czy w serialu Polsatu „Bracia", którego część zdjęć realizowano w Gdańsku i Trójmieście. Chodzi o to, żeby dzisiejszy klient zobaczył, że bursztyn nie musi być wielką, ciężką zawieszką znaną z dawnych lat – może być elementem bardzo dobrej, współczesnej biżuterii.

eprasa.pl 40f33bb3b7

Polska
Środa–niedziela, 3–7.06.2026

ANIA WYSZKONI: UWIELBIAM PŁAKAĆ. W TEN SPOSÓB WYRZUCAM Z SIEBIE EMOCJE

Najpierw dała się poznać jako wokalistka zespołu Łzy. Potem zaczęła udaną karierę solową. Na jesień szykuje dla fanów swój siódmy album o rockowym brzmieniu. Nam zdradza, że obecnie jej wielką pasją są... skoki spadochronowe

Paweł Gzyl

4 czerwca podczas koncertu SuperJedynek w Opolu będziesz świętowała trzydziestolecie swej kariery. Jak streścić całe swoje muzyczne życie w pół godziny?
Ciężko. Rzeczywiście wybór repertuaru na ten recital był dosyć trudny. Starałam się kierować swoimi odczuciami, ale też tym, czego fani oczekują. Będą na pewno piosenki, z którymi wcześniej pokazywałam się w Opolu i za które otrzymałam nagrody: „Oczy szeroko zamknięte", „Czy ten pan i pani" i „Wiem, że jesteś tam". Przygotowałam też na ten występ niespodzianki. Zaśpiewam dwie piosenki w duetach – jeden z nich będzie z Kubą Badachem, z którym znamy się dobrze ze sceny. Czujemy się w swoim towarzystwie bardzo dobrze, mam nadzieję, że uda nam się to przenieść również do opolskiego amfiteatru i będziemy się świetnie bawić.

Pierwszy raz pojawiłaś się na scenie słynnego amfiteatru w 2002 roku jako wokalistka Łez. Bardzo się wtedy stresowałaś?
Graliśmy wówczas utwór „Jestem, jaka jestem". I niewiele więcej z tego występu pamiętam. Byłam totalnie rozemocjonowana, ponieważ wcześniej jako młoda dziewczyna zawsze marzyłam, aby stanąć na deskach opolskiego amfiteatru. Po występie zadzwoniłam do mojej mamy, a ona powiedziała, że czuła mój stres, który wręcz przebijał się przez szklany ekran. Cieszę się, że mogłam później wrócić do Opola i wystąpić jeszcze wiele razy, ale już z zupełnie innymi emocjami. Dopiero ponad dwie dekady od czasu mojego debiutu zaczęłam je bardziej notować w pamięci, a tym samym czuć się swobodniej i bawić się nimi. Chociaż tak naprawdę to są dla mnie zawsze bardzo ważne występy i tremy nie brakuje.

Jako artystka solowa zadebiutowałaś w Opolu w 2009 roku z „Czy ten pan i pani". I od razu zgarnęłaś trzy nagrody. To było dla ciebie potwierdzeniem tego, że wybierasz właściwą drogę?
Byłam jeszcze wtedy w zespole Łzy i nie planowałam odejścia. Chciałam to wszystko zgrabnie połączyć. Chciałam nagrać solowy album i pokazać się od innej strony. Nie mogłam sobie odmówić przyjemności współpracy z Bogdanem Kondrackim, który zaproponował, że wyprodukuje moją solową płytę, a niekoniecznie chciał pracować ze Łzami. Uznałam to za niepowtarzalną okazję do rozwoju. Konsekwencją tego okazało się oczywiście moje odejście z Łez, ale ostatecznie spowodowały to już inne czynniki. Pojawiły się coraz większe nieporozumienia i w 2010 roku rozstałam się z kolegami.

Potem byłaś w Opolu jeszcze wiele razy, a w 2017 roku odsłoniłaś swoją gwiazdę w Alei Gwiazd Polskiej Piosenki. Poczułaś się wtedy prawdziwą gwiazdą?
Do dzisiaj nie traktuję swojej drogi zawodowej w ten sposób. Romansuję z muzykę i ciągle jest to dla mnie ekscytujące. Nigdy nie postrzegałam tego w kategorii kariery. Lubię być w innym wymiarze na scenie, ale lubię też zejść z niej i być po prostu sobą. Jest mi to bardzo potrzebne, aby być mamą, sąsiadką, koleżanką. Staram się więc to jakoś zgrabnie równoważyć w życiu. Niemniej nagrania i występy to spełnienie moich młodzieńczych marzeń. Odsłonięcie gwiazdy w Alei Gwiazd w Opolu było dla mnie kolejnym milowym krokiem i zostanie ze mną na zawsze.

No właśnie: jesteś już częścią historii polskiej muzyki rozrywkowej.
Myślę, że po tych trzydziestu latach, można tak powiedzieć. (śmiech) Cały ten czas jestem na scenie i jest to ciągle bardzo intensywna praca. Nigdy nie pozwalałam sobie na odpuszczanie, nigdy nie odcinałam kuponów od wcześniejszych sukcesów. Dzisiaj, kiedy gram trasę podsumowującą te trzy dekady, nie wykonuję tylko tych najbardziej znanych piosenek. Oprócz tego postanowiłam zaproponować coś nowego. Przygotowałam kolejną płytę i wykonuję już kilka premierowych utworów. Publiczność przyjmuje je ciepło, co jest dla mnie potwierdzeniem, że ta moja droga ma sens. Bo przecież tworzę dla siebie, ale i dla moich fanów, których na szczęście ciągle to niesie i inspiruje.

Liczysz te trzydzieści lat od 1996 roku, kiedy zostałaś wokalistką Łez. Byłaś wtedy nieśmiałą i wycofaną nastolatką, ale ciągnęło cię na scenę. Jak to możliwe?
Zawsze czułam, że scena to dla mnie właściwe miejsce. Pokazywałam bowiem na niej inną twarz. Przez długi czas, wychodząc na scenę, czułam się bardzo pewna siebie. Wiedziałam czego tam szukam, co i jak chcę przekazać. Może ten kontakt z publicznością był nieco słabszy, bo byłam trochę speszona, ale śpiewając, czułam się zawsze doskonale. Schodząc ze sceny byłam jednak trochę zahukana. Czułam się zamknięta w sobie, stroniłam od ludzi, byłam niepewna w towarzystwie. Zmieniło się to dopiero z czasem, co ma oczywiście związek z tym, czym się zajmuję, ale też z tym, jak się rozwijam jako kobieta i artystka.

Radio nie chciało grać waszych piosenek, internetu jeszcze nikt wtedy nie miał, a „Agnieszkę", „Narcyza", „Julię" czy „Oczy szeroko zamknięte" śpiewała cała Polska. Jak tego dokonaliście?
Działała poczta pantoflowa. Głównie wśród studentów. To był taki czas, kiedy nie było takiego tłoku w show-biznesie jak dzisiaj. Kiedy pojawiał się ktoś ciekawy, fama o nim rozchodziła się bardzo szybko. Dlatego szybko poczuliśmy nasz potencjał. Najpierw nagraliśmy demo, żeby mieć coś, co możemy sprzedawać na koncertach, a potem wzięliśmy kredyt i zarejestrowaliśmy nasz debiutancki album. Pchaliśmy się wszędzie drzwiami i oknami: graliśmy w małych i dużych klubach, zdarzyło nam się wystąpić nawet dla sześciu osób i każdy koncert traktowaliśmy bardzo poważnie. Myślę, że to właśnie ta konsekwencja doprowadziła nas do celu. Niewątpliwie bardzo przyspieszyła to „Agnieszka", bo była to piosenka, którą znali i śpiewali wszyscy.

Wtedy był zupełnie inny show-biznes niż teraz. Który wolisz?
Wszystko ma swoje plusy i minusy. Kwestią jest, aby odnaleźć się w danej rzeczywistości. Tamten świat był dla mnie bardzo naturalny. Bardzo ceniłam w nim to, że artyści byli owiani większą tajemnicą. Dzisiaj to się zatarło, głównie przez media społecznościowe, które dają duży dostęp do naszego życia prywatnego. Kiedyś ukazał się w prasie jeden artykuł, wszyscy go czytali i komentowali. Dzisiaj taki artykuł żyje jeden dzień, następnego dnia mamy milion innych informacji. Dzisiaj podoba mi się z kolei szeroki dostęp do muzyki i możliwości, aby ją tworzyć. Teraz nie trzeba wielkich nakładów finansowych, aby nagrać płytę. Można to tak de facto zrobić w domu. A potem słuchacze to wszystko weryfikują. Jest więc całe mnóstwo muzyki, która przepada w internecie. Niektórzy mają pecha, ale myślę, że większość z tego nie ma wielkiej wartości. Bo to, co ma wartość, jednak zostaje.

Ostatecznie po czternastu latach rozstałaś się ze Łzami i wyrwałaś się w szeroki świat. Potrzeba było do tego dużo odwagi?
Nie patrzyłam wtedy na to w kategorii odwagi. Po prostu byłam bardzo zmęczona. Czułam, że to już nie jest moje miejsce i chciałam z niego uciec. Męczyliśmy się ze sobą, po każdym koncercie schodziłam ze sceny i płakałam w garderobie. Czułam, że nie patrzymy w tym samym kierunku. Nie mogliśmy tworzyć nowego repertuaru, bo ja oczekiwałam czegoś innego, a chłopcy chcieli pozostać w innej przestrzeni muzycznej. To po prostu przestało działać. Nasza wspólna energia się wyczerpała. Rozstanie z kolegami było więc dla mnie jedynym sensownym rozwiązaniem. Pamiętam, że był taki moment, iż pomyślałam, że mogę nawet pracować na kasie w Biedronce, byleby już nie być w tym zespole, bo bardzo się w nim dusiłam. To było po prostu niezdrowe.

Jako solowa artystka powoli rozkwitałaś: zamiast glanów i rozciągniętego swetra zaczęłaś nosić kolorowe sukienki i buty na obcasie, a do tego zamieniłaś rock na pop. Tego właśnie potrzebowałaś?
Zawsze działałam zgodnie z tym, co podpowiadało mi serce. Czułam wtedy, że tego potrzebuję, chciałam uwolnić się od wizerunku zbuntowanej dziewczyny i sama dla siebie odkryć swoją kobiecość, bo nigdy nie doceniałam swego ciała i figury, a raczej je ukrywałam. Wtedy zaczęłam dojrzewać jako kobieta i to było bardzo ciekawe. Zaczęłam pracę ze stylistami, czego nigdy nie robiliśmy ze Łzami. Działaliśmy w swoim hermetycznie zamkniętym środowisku i bardzo ciężko było chłopaków na cokolwiek namówić. Tymczasem ja potrzebowałam tego dla swego rozwoju i to odejście dało mi możliwość pracy z innymi kompozytorami i tekściarzami, ale też pozwoliło eksperymentować pod kątem wizerunkowym. Chociaż przyznaję, że odchodząc z Łez, musiałam włożyć ogromny wysiłek, aby niektórzy spojrzeli na mnie inaczej – jak na dojrzałą artystkę, która wie czego chce, a nie na wystraszoną i zahukaną dziewczynę.

Nie obawiałaś się, że publiczność Łez nie pójdzie za tobą?
Gdybym zastanawiała się, czego oczekuje ode mnie publiczność, to albo bym zwariowała, albo nie mogłabym się zajmować tym, czym się zajmuję. To działało wtedy, ale działa też teraz, kiedy nagrywam kolejne płyty. Nie mogę zastanawiać się jak kolejny album będzie odebrany przez publiczność, bo nie czułabym się swobodnie. A ja tworzę głównie z potrzeby serca. Każda nowa piosenka jest wyrazem moich emocji, bez względu na to, czy jest stworzona przeze mnie czy dla mnie. I myślę, że ta szczerość była kluczem do tego, by publiczność za mną poszła i ze mną została.

Nagrałaś sześć albumów i właściwie każdy jest trochę inny. To dlatego, że ty też nieustannie zmieniasz się jako człowiek?
Na pewno. To naturalny proces. Ale też chęć zabawy, bo kiedy mam się bawić, jak nie teraz? Każda płyta powstawała w ważnym momencie mojego życia i była wyrazem tego, co wtedy mi najbardziej w duszy grało. Zawsze było to więc całkowicie naturalne. Nigdy nie kalkulowałam co jest modne, nigdy nie zastanawiałam się jak powinnam zaśpiewać, czy drapieżniej czy delikatniej. Wiem bowiem, że nigdy nie zadowolę wszystkich. Zawsze będzie jednak tak, że znajdzie się ktoś, kto to doceni.

Dorobiłaś się do dzisiaj wielu przebojów. Kiedyś powiedziałaś: „Lubię, kiedy piosenka ma duszę". To sekret przeboju?
Na pewno nie jest to jedyny czynnik. Żeby piosenka stała się przebojem, musi zgadzać się kilka innych rzeczy. Ale myślę, że ta „dusza" jest kluczowa. Oczywiście trudno uogólniać. Patrząc na współczesny rynek muzyczny, są takie piosenki, które zostały wykalkulowane. Ja jako osoba bardzo wrażliwa, doskonale to czuję. I one też stają się przebojami. Ale takie przeboje zostają z nami na krótko. To sezonówki, które nie zostaną na zawsze. A ja mam w repertuarze kilka takich utworów, które ciągle mają wielkie znaczenie dla publiczności, choć powstały wiele lat temu. Bardzo to doceniam. Nigdy nie odwracałam się i nie obrażałam na swoje przeboje, bo to część mojej historii. Bardzo doceniam to, że widzowie ciągle czekają na „Agnieszkę" lub „Czy ten pan i pani", że brawa po „Wiem, że jesteś tam" są najdłuższe podczas całego koncertu. To dla mnie sygnał, że te piosenki są dla ludzi ważne. Absolutnie nie mają więc dla mnie daty ważności.

Większość twoich utworów ma nostalgiczną nutę. Nawet te bardziej energetyczne. Skąd się to bierze?
To wynika z mojej natury. Jestem bardzo nostalgiczna i me-

eprasa.pl 40f33bb3b7



FOT. MAT.PRAS.

Ania Wyszkoni: Romansuję z muzyką i ciągle jest to dla mnie ekscytujące. Nigdy nie postrzegałam tego w kategorii kariery

lancholijna. Lubię posiedzieć sobie sama w ciszy, pójść na samotny spacer, otoczona tylko przyrodą. Nie należę do tych osób, które są głośne i lubią być w centrum uwagi. Na imprezy chodzę niezwykle rzadko. Długo buduję zaufanie z nowo poznanymi ludźmi, potrzebuję na to czasu. I to przejawia się też w dźwiękach, które naturalnie mi się układają. Kiedy tworzę piosenkę, to nie kombinuję melodii pod modę czy jakiś inny trend. To są dźwięki, które wypływają ze mnie naturalnie. I one zwykle mają w sobie nostalgię. Ja to bardzo lubię i sama też słucham takiej muzyki na co dzień.

Zdarza ci się płakać przy piosence?
Pewnie. Ja uwielbiam płakać. W ten sposób wyrzucam z siebie emocje. Bardzo często płaczę przy piosenkach, na koncertach czy filmach i serialach. Ostatnio byłam na koncercie Rosalíi i wprost nie wiedziałam co ze sobą zrobić od tych emocji, które we mnie wywołał. Bardzo się wzruszyłam i też sobie popłakałam. Autentycznie. To było tak mocne i wyraziste przeżycie dla mnie, że pozwoliło mi też w ten sposób uwolnić emocje. Bardzo to lubię. Płacz jest po prostu zdrowy.

Dziesięć lat temu odkryto u ciebie guza tarczycy i musiałaś się poddać operacji, po której mogłaś stracić głos. Tymczasem po trzech tygodniach od zabiegu, stałaś już na scenie. Gdzie znalazłaś do tego siłę?
Byłam wtedy w jakimś trybie zadaniowym. Świętowałam wówczas swoje dwudziestolecie i nie mogłam sobie pozwolić, żeby odpuścić. Ta diagnoza bardzo mnie zaskoczyła. Sześć dni po operacji z wielkim plastrem na szyi byłam na planie spotów reklamowych do festiwalu w Sopocie, bo miałam tam wtedy recital. Wszystko działo się więc bardzo szybko. Czułam oczywiście po operacji dyskomfort, miałam niedowład struny głosowej. Bardzo szybko zaczęłam więc działać i udałam się po pomoc do osób, które szybko mnie z tego wyprowadziły. Sześć tygodni później byłam już w dobrej formie. Wymagało to jednak ciężkiej pracy: jeździłam codziennie z Wrocławia do Gliwic do mojej nauczycielki śpiewu, która mnie wówczas rehabilitowała. Pracowałyśmy, aby ten głos wrócił do formy. Co ciekawe: kontynuujemy tę współpracę do dziś, spotykając się co tydzień na lekcjach śpiewu. W konsekwencji mogę powiedzieć, że był to przełom w moim życiu wokalnym – i dzisiaj śpiewa mi się dużo lepiej niż kiedyś. Przedtem śpiewałam naturalnie i może było to spoko, ale nie była to taka jakość, jaką czuję teraz.

Dzisiaj artyści popowi coraz rzadziej nagrywają albumy. Tymczasem ty zapowiadasz nową płytę na jesień. Dlaczego idziesz na przekór modzie?
Przede wszystkim dlatego, iż w takich czasach zostałam wychowana. Ja tego po prostu potrzebuję. Każdy mój album jest spójną i logiczną historią, a nie zbiorem pojedynczych piosenek. Dlatego czuję potrzebę nagrywania płyt. Zresztą uwielbiam trzymać fizycznie wydany album w dłoniach, mieć okładkę, przeczytać teksty, pooglądać zdjęcia. To ma dla mnie ogromną wartość.
Na szczęście mam wielu fanów z pokolenia, które też to docenia i kupuje płyty. Choć wiadomo, że te ilości są już inne niż kiedyś. Na pewno jednak uczę się funkcjonowania w nowej rzeczywistości. Stąd wiem, że dzisiaj nie jest to jeden singiel i album, ale pięć czy sześć singli, a potem płyta jako zwieńczenie tej drogi i podziękowanie dla fanów, którzy na nią czekają.

Mamy już trzy single z nowego albumu – i mimo popowych melodii, brzmią one bardziej gitarowo i rockowo niż twoje poprzednie dokonania. To dlatego, że stworzyłaś je z Pawłem Krawczykiem z Heya?
To proces, który się zazębia. Poprosiłam o produkcję tego albumu Pawła Krawczyka, ponieważ czułam potrzebę powrotu do większej drapieżności i do gitarowego brzmienia. A to, że on przyjął moje zaproszenie do współpracy, spowodowało, że te nagrania tak brzmią. I to był genialny proces. Tak dobrze rozumieliśmy się z Pawłem, że pracowaliśmy po partnersku i bardzo szybko. Czasem wręcz nie potrzebowaliśmy słów, aby wiedzieć, w jakim kierunku powinna pójść dana piosenka. To był dla mnie najbardziej odpowiedni producent na tym etapie mojego życia. Zakończyliśmy prace nad tą płytą – i zaczynamy już przebąkiwać, aby kontynuować tę kooperację, bo czuję ciągle jej niedosyt.

Ta nowa płyta będzie dla ciebie wyjątkowo osobista.
Zdecydowanie tak. To będzie pierwszy album, który stworzyłam w całości sama. Skomponowałam wszystkie utwory i napisałam wszystkie teksty. Paweł wspierał mnie na polu aranżacyjno-produkcyjnym. Cała koncepcja wyszła jednak ode mnie. I jestem tak dumna z tego, co udało mi się stworzyć, że mogę śmiało powiedzieć, iż jest to zapis drogi i momentu, w którym człowiek decyduje czy zostać tam, gdzie jest bezpiecznie, czy ruszyć dalej. Mam poczucie, że ten album oddycha wolnością – surową, rockową, czasem bolesną, ale prawdziwą.

Teledysk do „Piosenki młodych spadochroniarzy" zawiera autentyczne sceny z twoich skoków na spadochronie. Skąd ta pasja?
Zawsze chciałam tego spróbować. Potem odłożyłam to na bok, bo pojawiły się dzieci i inne obowiązki. Mam jednak w swoim otoczeniu kolegę, który skacze ze spadochronem. I on kiedyś tak naturalnie powiedział: „Chodź, pojedziesz ze mną, skoczysz w tandemie". Zrobiłam to i w momencie, kiedy wylądowałam na ziemi, wiedziałam już, że będę to robić sama. I faktycznie: to jest coś, co mnie totalnie pochłonęło. Skoczyłam w tandemie jeszcze kilka razy i w nowym sezonie rozpoczęłam kurs na samodzielnego skoczka. W tym roku jestem już po pierwszym skoku, a w sumie po kilkunastu. Kontynuuję więc tę przygodę z ekscytacją.

Skąd ona się bierze?
Na pewno to wielki wyrzut adrenaliny. Ale dla mnie to też pokonanie własnej bariery lęku. Sięganie poza nią po coś nowego. Niby coś niebezpiecznego, ale dającego ogromne poczucie wolności. Kiedy leci się w swobodnym spadaniu czy po otwarciu czaszy, pojawia się świadomość, że jest się małym punkcikiem w tym wielkim świecie, a jednocześnie w swoim własnym świecie – jest się wszystkim. Miałam to już przy pierwszym skoku. I to jest coś, co mnie nie opuszcza. To mi przypomniało, że w moim świecie to ja jestem najważniejsza. Że muszę moje życie przeżyć po swojemu i to w szybkim tempie, bo czas ucieka, a ja nie chcę niczego przegapić. Ostatnio kolega powiedział mi, że każdy ze skoczków jest tam po to, aby coś wyskakać ze swego życia – jakiś lęk, traumę czy problem. I ja też taką trudność wtedy pokonałam. Byłam świeżo po ciężkiej chorobie mojego taty. Walczyłam o jego życie i kiedy wyszedł na prostą, poczułam się przygnieciona. Te skoki spadochronowe pomogły mi ten mur zburzyć i pójść do przodu. Niedawno moja terapeutka też skoczyła ze spadochronem i jest zachwycona. Powiedziała nawet, że każdy powinien tego spróbować. Nie każdy oczywiście wyjdzie z tego z takimi samymi wnioskami, ale na pewno będzie to dla niego mocne doświadczenie. Dlatego gorąco wszystkim to polecam.

W ciągu tych minionych trzydziestu lat urodziłaś i wychowałaś dwójkę dzieci. Trudno było pogodzić macierzyństwo z karierą?
Pierwsze dziecko urodziłam, kiedy miałam 21 lat. Wtedy bardzo pomogła mi mama i jestem jej za to bardzo wdzięczna. To było kluczowe, abym mogła kontynuować swoją przygodę z muzyką. Nie było jednak odstępstw. Wracałam do domu z trasy i zajmowałam się dzieckiem. Nieważne ile mogłam pospać. Wstawałam rano w pełnej gotowości i po prostu byłam mamą. Sprzyjało mi to, że byłam taka młoda. Regeneracja organizmu następowała bardzo szybko, co pozwalało mi dobrze funkcjonować. I okazało się, że da się połączyć jedną miłość z drugą miłością, bo nie chcesz odpuścić w żadnej sferze. Decyzja o urodzeniu Poli była już bardziej świadoma. Wtedy przez rok mieliśmy opiekunkę. Zabieraliśmy ją i Polę w trasy. Po roku stwierdziliśmy jednak, że musimy to odpuścić, bo widzieliśmy zmęczenie u dziecka i u nas. Byłam wyczerpana, bo nie miałam żadnej przestrzeni dla siebie: schodziłam ze sceny i od razu brałam na ręce dziecko. Nie miałam chwili oddechu. Ale kobiety są w stanie zrobić wszystko. Jeśli więc się chce, to da się pogodzić rodzinę z karierą, bez względu na to w jakiej branży. Kobiety potrafią to zrobić doskonale. To tylko kwestia organizacji i wewnętrznego przekonania, że potrafię.

Twój syn Tobiasz ma już 25 lat i również zajmuje się muzyką – ale jako didżej. Cieszy cię to?
To było nieuniknione. On się długo buntował wobec tego, że ma muzyczny talent. Bardzo się cieszę, że funkcjonuje dziś w świecie artystycznym, bo widzę, że ma dużą wrażliwość i to dla niego najodpowiedniejsze środowisko. Mimo że tak bardzo się nie znam na tym, czym się zajmuje, to mocno mu kibicuję, ponieważ czuję jego duży potencjał. On naprawdę potrafi to robić, ma za sobą już pierwsze występy, teraz przygotowuje się do kolejnego – będzie supportować Gromeego. Bardzo to przeżywa, ale wiem, że jest odpowiedzialny i na pewno przygotuje się na dwieście procent. Ma potencjał, musi się więc obronić.

Może kiedyś zrobicie coś razem?
Niewykluczone. Po tym okresie, kiedy buntował się i deklarował, że muzyka w ogóle go nie interesuje, dzisiaj mamy świetny kontakt i doskonale się rozumiemy. Cieszy mnie, że Tobiasz chce pojechać ze mną na koncert swego ulubionego didżeja i producenta – i kolejny raz wyciąga mnie na Skrillexa. Ma oczywiście swoich znajomych i przyjaciół, ale ja jestem w tej jego przestrzeni nie tylko jako mama, ale też jako przyjaciółka od muzyki. Bardzo to doceniam.

Pola ostatnio interesowała się jeździectwem. Nadal to jej pasja?
Tak. Jeździ konno i rozwija się przepięknie. Widzę w niej dużo z siebie, ponieważ ja też żyłam bardzo szybko. Ostatnio Pola poprosiła mnie, abym zapisała ją na motocross. Skakała już też dwa razy w tandemie ze spadochronem i szykuje się do kolejnego skoku. Obserwuje mnie i odważnie spełnia swoje marzenia i realizuje plany. Jest po prostu dziewczynką z charakterem.

eprasa.pl 40f33bb3b7

Polska
Środa–niedziela, 3–7.06.2026

MARGRABIA WIELOPOLSKI W STAATLICHE MUSEEN W BERLINIE

Od 2026 r. Alte Nationalgalerie w berlińskim muzeum zaprasza galerie narodowe do prezentowania swoich zbiorów. 19 czerwca jako pierwsza zaprezentuje się tam Polska

Mariusz Grabowski

Pod tytułem „Wymyślanie mitów" Agnieszka Lajus, dyrektorka Muzeum Narodowego w Warszawie, wybrała te dzieła z zasobów MNW, które opowiadają polityczno-kulturową historię Polski. Najważniejsze z nich to „Hamlet polski - Portret Aleksandra Wielkopolskiego" z 1903 r. pędzla Jacka Malczewskiego. Trudno bowiem o inny przykład „polskości skondensowanej".



FOT. CC

Namalowany w 1903 r. obraz jest jednym z najbardziej znanych dzieł Malczewskiego. Przedstawia Aleksandra Wielopolskiego, wnuka carskiego namiestnika w Warszawie

„Der deutschen Kunst"

Zacznijmy od początku. W 1876 r. cesarz Wilhelm I otworzył „National-Galerie", znaną obecnie jako Alte Nationalgalerie, która od 1999 r. jest częścią kompleksu Museumsinsel Berlin. Na frontonie widnieje co prawda napis „Der deutschen Kunst" („Sztuce Niemieckiej"), ale podstawą zbiorów była darowizna bankiera Joachima Heinricha Wilhelma Wagenera, która obejmowała dzieła artystów włoskich, francuskich, szwajcarskich i belgijskich.

Obecnie Staatliche Museen (a właściwie kompleks pięciu autonomicznych muzeów) posiada imponującą kolekcję dzieł sztuki z okresu między Rewolucją Francuską a Wielką Wojną, klasycyzmem a secesją. Znajdziemy tu m.in. Zbiory Pergamońskie, jak i jedną z największych na świecie kolekcji francuskiej sztuki awangardowej.

Budynek muzeum, zaprojektowany przez Heinricha Stracka według planów Augusta Stülera, został zbudowany w latach 1867-1876. Zbiory MNW zostaną zaprezentowane na I piętrze.

Sława i skandale

Najważniejszym z dzieł będzie „Hamlet polski", olej Jacka Malczewskiego z 1903 r., symboliczny portret margrabiego Aleksandra Wielkopolskiego (1803-1877). Początek XX w. był dla malarza dość trudny. Liczne zgony w rodzinie, w szczególności śmierć matki skłoniły go do namalowania serii obrazów „Thanatos". Dodatkowo w 1900 r. Malczewski popadł w długoletni konflikt z rektorem krakowskiej Akademii Sztuk pięknych Julianem Fałatem. Malczewski zarzucał mu służalczość wobec Austriaków oraz forsowanie przestarzałego programu nauczania. W wyniku tego personalnego sporu musiał zrezygnować z wykładania an ASP.

Dodajmy do tego jego niezbyt ustabilizowane małżeństwo. W 1887 r. ożenił się z córką krakowskiego aptekarza Marią Gralewską, ale w 1900 r. poznał Marię Kingę Balową, z którą zdradzał swoją żonę przez kilkanaście lat. Balowa była dlań muzą, której wizerunek utrwalił na wielu płótnach.

W międzyczasie organizował wiele wystaw swoich prac; w 1903 r. po raz pierwszy odbyła się indywidualna wystawa twórczości Malczewskiego w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie i Lwowie, a także w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie.

Symbol jako klucz

Od strony artystycznej Malczewski był symbolistą, artystą, który odchodząc od dominującego wówczas historyzmu Jana Matejki, otworzył drzwi do osobistych, wieloznacznych narracji. Symbol traktował jak znak, który poza swoim dosłownym znaczeniem odsyła do innych, głębszych treści, często abstrakcyjnych idei, emocji czy wartości.

Twórczość Malczewskiego, licząca ok. 2 tys. obrazów, jest nie tylko artystycznym świadectwem epoki, ale także niezwykle istotnym elementem polskiej kultury i tożsamości, niejako programowo skłaniającym do refleksji nad naszym narodowym dziedzictwem.

Symbolizm w jego wydaniu był zatem czymś więcej niż tylko stylem artystycznym, był swoistą filozofią patrzenia na świat. W jego pracach granice między rzeczywistością a fantazją zacierają się, a świat realny przenika się ze światem mitologicznym, religijnym i baśniowym. Przedstawione przezeń postacie, obiekty czy nawet elementy krajobrazu nigdy nie są tylko tym, czym się wydają. Zawsze niosą ze sobą ukryte, symboliczne znaczenia, które wymagają od widza głębszej interpretacji i zaangażowania.

Gonitwa idei

Tym, co wyróżnia Malczewskiego, spośród innych polskich symbolistów to łączenie pozornie niepasujących do siebie elementów. Postacie z mitologii greckiej: fauny czy chimery, oraz anioły, często pojawiają się w obrazach osadzonych w typowo polskim krajobrazie na tle wiejskich chałup, pól czy lasów.

To niezwykłe zestawienie tworzy unikalne, symboliczne kompozycje, które zmuszają do refleksji nad uniwersalnością ludzkich doświadczeń, a jednocześnie podkreślają specyfikę polskiej kultury i jej bogactwo symboliczne.

Spójrzmy na jego „Melancholię", namalowaną w latach 1890-1894. Przedstawia korowód postaci historycznych i alegorycznych, wydobywających się z pracowni artysty, symbolizujących kolejne pokolenia walczące o niepodległość. To przejmująca wizja narodowego cierpienia i niemożności działania, ale jednocześnie hołd dla tych, którzy nigdy nie przestali marzyć o wolności.

Podobnie jest z „Błędnym kołem" (1895-1897). Wokół artysty, stojącego na drabinie, krąży wir fantastycznych i realnych postaci, symbolizujących jego wizje, inspiracje i wewnętrzne demony. Obraz ten można interpretować jako metaforę procesu twórczego, w którym artysta balansuje na granicy rzeczywistości i wyobraźni, próbując uchwycić ulotne idee, a zarazem wciągając widza w swój hipnotyzujący taniec.

Wzorem Szekspir

Dokładnie nie wiadomo, kiedy Malczewski wpadł na pomysł sportretowania nieżyjącego od ćwierćwiecza margrabiego Wielkopolskiego, polityka mającego na początku XX w. ugruntowaną czarną legendę. Na byłym naczelniku rządu cywilnego w Królestwie Polskim ciążyło odium zdrady narodowej, ugodowości wobec zaborcy oraz prowokatora powstania styczniowego

Przed jego sztalugami stanął więc w zastępstwie wnuk margrabiego - 42-letni Aleksander Wielopolski (1861-1914), ziemianin i co ciekawe malarz amator. Pomysł na jego portret w stroju Hamleta nie był w 1903 r. żadną ikonograficzną rewelacją, ale obsadzenie w szekspirowskiej roli arystokraty nieparającego się aktorstwem mogło budzić zdziwienie.

Jeszcze większe wątpliwości mogło wywołać odejście od tradycyjnych rekwizytów, zamienienie nieodłącznej niegdyś czaszki na margerytkę oraz otoczenie bohatera dwiema postaciami spoza szekspirowskiego świata.

Z kwiatem w ręku

Sam Malczewski, wielokrotnie pytany o obraz twierdził uparcie, że to symboliczna interpretacja postawy Polaków wobec niewoli. A połączenie postaci historycznej z dylematem szekspirowskiego bohatera to pytanie o sens walki i poświęcenia w obliczu beznadziejnej sytuacji. Młody Wielopolski, syn polityka ugodowego, symbolizuje rozdarcie i niemożność podjęcia jednoznacznej decyzji. To zmusza - sugerował malarz - do refleksji nad odpowiedzialnością i wyborem.

Recepcja obrazu wśród rodaków była trudna. Wielokrotnie zarzucano Malczewskiemu symboliczne uproszczenia i granie na skojarzeniach. Znajdująca się po prawej stronie starsza niewiasta z siwymi włosami, odziana w ciemne szaty, ze skutymi kajdanami rękoma i przygnębioną twarzą uosabia „Polskę zniewoloną". Z kolei znajdująca się po lewej stronie młoda dziewczyna, półnaga, ukazana w chwili zrywania okowów, to „Polska młoda", zdolna do czynu, działania i będąca w stanie wyzwolić się z długotrwałej niewoli.

Postać mężczyzny, czyli tego, który ma dokonać symbolicznego wyboru, jest zamyślona, pogrążona w melancholii, a jego niezdecydowanie podkreślają jeszcze bardziej kwiat w dłoni i pas na ciele. Lecz tak naprawdę Malczewski pozostawia odbiorcę bez żadnej odpowiedzi.

Jak to rozumieć?

Czy „Hamlet polski" jest w ogóle zrozumiały dla innych nacji? Czym, prócz egzotyki, może zaciekawić np. Niemców, skoro tuż po prezentacji obrazu wielu krytyków pisało, że jest on niezrozumiały, afektowany, a pomysł z „Dwiema Polskami" jest tyleż wydumany, co nieestetyczny. Śmiano się z Wielkopolskiego, że jest skupiony wyłącznie na błahej zabawie z kwiatkiem. Jeszcze w 1933 r. Adam Heydel, skądinąd wybitny ekonomista sympatyzujący z narodowcami, podsumowywał gorzko: „nie dostrzega dramatu. Bawi się margerytką".

Sugerowano, że malarski zapał arystokraty przysłonił mu istotne problemy, którymi powinien był się zająć. A hamletyczną zadumę odczytywano jako „przejaw ironii twórcy wobec bezideowego estetyzmu i indyferentyzmu narodowego, jaki reprezentował Wielopolski".

Paweł Bień, pisząc o „Hamlecie..." na portalu Niezlasztuka.net zauważył: „(...) najciekawsze czai się u dołu obrazu. Oto talia modela ściśnięta jest pasem, w którym miejsce nabojów zajmują tuby z farbami. Metafora o ogromnej sile oddziaływania, choć znów - niejednoznaczna. W ten sposób »Hamlet polski« staje się także wielkim pytaniem o rolę artysty w zmieniającym się świecie (...) Niejeden już uprawiał domysły, sugerując, że pod postacią Wielopolskiego kryje się w istocie autobiograficzny gest samego Malczewskiego, a wahania modela są hamletyzowaniem malarza".

„InterNationalgalerie" w Alte Nationalgalerie – Staatliche Museen w Berlinie. Wystawa zbiorów MNW potrwa od 19 czerwca do 17 stycznia 2027 r. www.smb.museum

eprasa.pl 40f33bb3b7

Zawsze było co najmniej dwóch Zełenskich. Ten na potrzeby rynku zagranicznego i ten na potrzeby krajowe. Na potrzeby krajowe Zełenski nie był już taki miły. Bo na Ukrainie nie miał aż tylu fanów i widzów co za granicą



FOT. PAP/EPA

Nawet jeśli nie zdecyduje się na start w wyborach, Wołodymyr Zełenski zostanie zapamiętany jako postać historyczna dla Ukrainy i dla świata.

ON JUŻ MA SWOJE MIEJSCE W HISTORII

Polityk Sługi Narodu: Zełenski chce być cały czas w centrum wydarzeń. Irytuje się, gdy schodzi ze sceny. Albo gdy na scenę wchodzi ktoś, kto mu zabiera światło i uwagę. On jest osobowością narcystyczną. Nie mówię tego ze złośliwością. Każdy polityk jest w jakimś sensie narcyzem zapatrzonym w swój wizerunek. Z drugiej strony często o tym zapominamy, oceniając Zełenskiego. Większość mediów – szczególnie za granicą – wpada w zachwyt. Pisze o nim w czarno-białych barwach. Nie dostrzegając tego, że Zełenski jest tylko… politykiem. Nie odbieram mu jego zasług z początków wojny. Nie kwestionuję tego, że pielgrzymował po świecie w poszukiwaniu pomocy i ten jego wizerunek był przydatny przy jej zdobywaniu. Handlowanie zdjęciami ze sobą za broń miało i ma sens. Ale jest też inna prawda. Taka, że prezydent jak dziecko przegląda rolki na socialach. Denerwuje się, gdy wychodzi na nich źle. Gra twardziela. Momentami do przesady. (…)

Współpracownik Wołodymyra Zełenskiego: Przesadzone są doniesienia o kompleksach Zełenskiego. On niemal od dziecka występował na scenie. Dlaczego miałby być zakompleksiony? W swojej szkole w Krzywym Rogu był gwiazdą. Zawsze otoczony wpatrzonymi w niego dziewczynami. OK, jest niski. I od dziecka tak na niego wołano. Mówiono na niego „Mały”. Ale jemu to nie przeszkadzało i nie przeszkadza do dziś. Gdy grał na scenie, wpadał w coś w rodzaju transu. Dążył do doskonałości. W dupie miał to, co o nim mówią ludzie, którzy z niego drwili. Jego poczucie własnej wartości nigdy nie było zachwiane. On od czasu szkoły podstawowej odnosił sukcesy. Zawsze był gwiazdą. Dlaczego miałby być sfrustrowany tym, że jest niski. Bez przesady. Gdyby miał kompleksy, nie godziłby się na rolę kobiety. Często grał kobietę. Myślę, że zakompleksieni na punkcie swojego wzrostu czy wyglądu fizycznego faceci raczej idą w kierunku budowania się jako mużyk, twardziel, kryminalista. Zełenski nigdy taki nie był. On jest artystą. Niezależnie, kogo i co gra, jest w nim wrażliwość artysty, a nie kryminalisty z bazaru. Zgoda – jak każdy aktor i artysta ogląda się w lustrze. Ogląda swoje występy. Analizuje je. Poprawia. Pracuje nad wizerunkiem. Ale to chyba normalne. Zełenski jest postacią sceny. Dziś politycznej. Ale to postać sceniczna. I tak należy ją postrzegać.

Minister w Kancelarii Prezydenta RP Andrzeja Dudy: Nawet my mówiliśmy na niego przed wojną „Mały”. Później już nie wypadało. On naprawdę obawiał się, że go zabiją. Nie było przestrzeni do szyderstw z jego wzrostu. Czasami żartował, że jest o dwa centymetry niższy od Napoleona. Czyli lekko licząc, Zełenski ma 166 centymetrów wzrostu. Niech pan spróbuje znaleźć jego zdjęcia z Jermakiem, gdy stoją razem obok siebie. Niewiele jest takich zdjęć. Jermak to kawał chłopa. Przy nim Zełenski wygląda jak jego syn. Albo młodszy kolega. Nie powiedziałbym jednak, że Zełenski ma na tym punkcie kompleksy. Putin też jest niski. Ale on nosi wkładki do butów, aby się podwyższyć. Mimo że jest o dwa centymetry wyższy od Zełenskiego, czyli ma wzrost… Napoleona. Nie przesadzajmy zresztą. Leo Messi również jest niski. Wzrost w polityce nie musi być żadnym wyznacznikiem.

Współpracownik Wołodymyra Zełenskiego: Zełenski nigdy nie aspirował do roli twardziela. Wychował się na wysokim piętrze w bloku z wielkiej płyty. Znał osiedle. Obserwował, jak pod koniec lat osiemdziesiątych rodzi się kasta bigunów, którzy byli w Krzywym Rogu odpowiednikiem gopników, czyli dresiarzy (biguni to specyficzna subkultura małoletnich z Krzywego Rogu, której hymnem był utwór Jurija Szatunowa „Biełyje rozy”. Ich działalność polegała na stosowaniu przemocy wobec rówieśników. Szacuje się, że w latach 1985–1995 w wyniku ich działalności zginęło co najmniej trzysta osób, a rannych zostało ponad tysiąc pięćset nieletnich – przyp. Z.P.). Nie było nawet momentu, w którym Zełenski chciałby do tej subkultury dołączyć. Nie wiem, czy pasowałby do bigunów nucąc Sofię Rotaru pod nosem. Do tego w szkole był kujonem. Jedyne, co łączyło go z chuligańskimi subkulturami, to sięganie po homofobiczne powiedzenia. Ale wtedy to była norma. Gopników nie lubili nauczyciele. Zełenski był ulubieńcem nauczycieli. W Polsce też mieliście swoje „szalone lata dziewięćdziesiąte”, ale myślę, że większość Polaków nie jest w stanie sobie wyobrazić brutalności tych lat w Rosji czy na Ukrainie. Wojny osiedlowe nie były zwykłymi walkami na pięści. To były regularne bitwy, często z użyciem broni palnej. Ktoś, kto chodził na tańce, nie pasował do tego świata. Niemniej jednak Zełenski ten świat znał i rozumiał. Wiedział, na czym polega brutalne i zimne wychowanie w bloku w posowieckim mieście. Może się nie bił, ale potrafił knajacko mówić. Znał pojęcia. Nie był frajerem. Do tego w przeciwieństwie do swoich dzisiejszych rywali z polityki on naprawdę jest przedsiębiorczy. Sam dorobił się pierwszych dużych pieniędzy na pracy, a nie na złodziejstwie. Występy dawały mu poważne dochody. Zbudował ze znajomymi firmę producencką. Grał w filmach. Występował w kabaretach. Wziął udział w „Tańcu z gwiazdami”. W końcu sam wymyślił Hołoborodkę i serial „Sługa Narodu”. W skali Ukrainy to kariera amerykańska. Od zwykłego dzieciaka z osiedla do znanego w całym byłym ZSRR aktora i komika, który potrafi na siebie zarobić i nie jest niczyim klientem.

Polityk Sługi Narodu: Zełenski jest „Mały”, ale od początku swojej kariery emanował przywództwem. Ludzie go słuchali. Dawali się przekonać. Jego największym talentem wcale nie był śpiew czy taniec. On ma wewnętrzną konstrukcję przywódcy. Nieznoszącego sprzeciwu przywódcy. Ma być tak, jak on chce. Albo po dobroci, albo siłą. Takie cechy są konieczne, by rządzić. I tych cech nie docenił w nim Putin. Od początku miał o nim bardzo niskie mniemanie. W Rosji nie ma przepływów między kulturą i sceną a polityką. Politykiem może być wojskowy, oficer wywiadu, przestępca. Ale nie piosenkarz. Piosenkarz to zawsze w Rosji będzie postać słaba i niegodna szacunku. Rosjanie nie oczekują od przywódcy wrażliwości. Ma być brutalny i silny. Ukraińcy nie są tacy sami. Mimo sowieckich doświadczeń o wiele bardziej demokratycznie i płynnie widzą przepływy między rolami, które ludzie pełnią w życiu.

Współpracownik Wołodymyra Zełenskiego: Ma dwie ważne cechy, które są konieczne do sprawowani władzy. Ma naturalne zdolności przywódcze, potrafi walczyć i jest pracowity. Kocha władzę, ale nie jest Kaligulą. Ciężko pracuje. Z Kaligulą łączy go tylko to, że nie docenili go jego przeciwnicy. Sam Zełenski uważa, że od przegranej gorsza jest tylko śmierć.

Polityk Sługi Narodu: Zełenski fascynował się Napoleonem i Charlie Chaplinem. Coś z miksu tych dwóch postaci ma. Na pewno skłonność do rządów jednoosobowych z jakimś doradcą na zapleczu. Najpierw tym doradcą i współrządzącym był Jermak. Teraz jest Kyryło Budanow. Wiedział, jak dostosować się do czasów wojennych. Pamiętam, że na początku swojej kariery politycznej, gdy próbował zwracać się do Władimira Putina bezpośrednio poprzez wystąpienia telewizyjne, miał na sobie T-shirt z wizerunkiem Muhammada Alego. Później był sweterek, w którym przekonywał Ukraińców, że jest zwykłym człowiekiem – takim jak oni. Skończył w ubraniach koloru khaki. Przyjmując rolę zaangażowanego w walkę patrioty. Jako polityk przeszedł ogromną przemianę. Od obojętnego na przelewające się przez Ukrainę rewolucje aktora, przez wyjeżdżającego na Donbas na początku wojny barda, do męża stanu.

Współpracownik Wołodymyra Zełenskiego: Wszedł do polityki jako lek i taran na oligarchów. Na jego zapleczu był jednak oligarcha. Wspierał go Ihor Kołomojski – Żyd z Dniepropietrowska. Była umowa, że jeśli Zełenski wygra, rozliczy się z nim poprzez zwrot banku, który Kołomojskiemu znacjonalizowano. Gdy Zełenski nie wywiązał się z tej umowy i podjął walkę z Kołomojskim, wiedziałem, że z aktora narodził się pełnokrwisty polityk. Zełenski dokonał ojcobójstwa. Został przywódcą. Nieudawanym i niegranym przywódcą.

Polityk Sługi Narodu: On już ma swoje miejsce w historii. Można go rozliczać z błędów. Można krytykować za skłonności autorytarne. To wszystko schodzi jednak na drugi plan. Nawet jeśli nie zdecyduje się na start w wyborach, zostanie zapamiętany jako postać historyczna dla Ukrainy i dla świata. Czas będzie działał na jego korzyść. Jeśli nie zrobi czegoś ekstremalnie głupiego, ma swoje miejsce w panteonie. Kuczma był uwikłany w złodziejstwo i kojarzy się go z zabiciem dziennikarza, Juszczenko zawiódł oczekiwania rewolucji z 2004 roku, Janukowycz uciekł z kraju. Zełenski stanął w obronie Ukrainy. Wszedł w rolę, której wielu polityków by nie wzięło. Nie można sobie wyobrazić mniej korzystnych warunków do kierowania państwem niż te, które przypadły w udziale Zełenskiemu. Historia go zapamięta jak należy. Nieważne będzie, czy się kreował, czy nie. Nieważne, czy miał kompleksy, czy nie. Najważniejszą rolę w swoim życiu odegrał właściwie. Jego zadaniem nie było wczuwanie się w oczekiwania Bidena, Dudy, Macrona czy Merza. Nie ma znaczenia, czy lubi go Nawrocki albo Orbán. Zerowe znaczenie ma to, czy akceptuje go Trump i jak go przezywa. Zadaniem Zełenskiego było ocalenie państwa. I zrobił to. Najpewniej z tego powodu wynika poczucie niezniszczalności. Poczucie, że każdemu może dowolnie nawrzucać. On chyba tylko wobec króla Karola III zachowywał dobre maniery. Ale kto mu zabroni? Kto zbawcy narodu zabroni bycia obcesowym i chamskim? Takie jest jego prawo. Zełenski ma i tak przejebane. Nie musi się o nic starać.

KSIĄŻKA



Zbigniew Parafianowicz, „Kłopot z Zełenskim”, Wyd.: Czerwone i Czarne

eprasa.pl 40f33bb3b7

Polska
Środa–niedziela, 3–7.06.2026



NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY

poleca
Agaton Koziński



Historia jak z „Vabanku", czyli gwiazda dwudziestolecia

„ – Czy zastałem pana, tego, no, Murzyna?
– Jakiego Murzyna?
– No, tego... z psem!".

Dialog pewnie Państwo już rozpoznaliście – w ten sposób bankier Gustaw Kramer w filmie „Vabank" udowadniał swoje żelazne alibi mające dowodzić, że to nie on dokonał skoku na własny bank. Więcej fabuły filmu przypominać nie będę, doskonale jest on znany. Charakterystyczne w tej scenie jest coś innego. Cały „Vabank" to swoisty hołd dla Polski okresu międzywojennego – w filmie przedstawiono kraj jako dumne miejsce do życia, w którym było wszystko. Wszystko, czyli także zjawiska tak egzotyczne, jak ów Murzyn.

I rzeczywiście Polska (konkretnie Warszawa) swojego Murzyna miała. Nazywał się August Ogboola Brown, pochodził z Nigerii, a do Warszawy trafił pod koniec lat 20. Właśnie powstała jego biografia, więc jest też pretekst, by do Polski międzywojennej powrócić. A sama postać Browna na to zasługuje, bo też stał się on jedną z najbardziej charakterystycznych postaci warszawskiego życia nocnego w dwudziestuleciu.

Pierwsza wzmianka o nim pojawiła się w 1932 r., gdy został zatrudniony w restauracji Caveau Caucasien przy ul. Jasnej. Nie wiadomo dokładnie, w jakiej roli. Na pewno jako fordansera, być może też jako perkusistę (na tym instrumencie na pewno grał w późniejszych latach, ale nie ustalono, kiedy zaczął). W każdym razie szybko wpisał się on w nocne życie miasta. Europa wtedy była ciągle pod wrażeniem występów Josephine Baker (Francuzka przyjechała z występami też do Polski, wywołując niemałą sensację), tak że tańczący Murzyn będący na co dzień w Warszawie świetnie wpisywał się w ówczesne mody towarzysko-rozrywkowe.

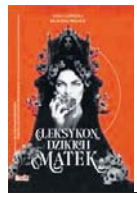
Brown spędził w Warszawie ponad 30 lat. Przeżył w niej wojnę, podobno brał nawet udział w powstaniu warszawskim (choć na ten temat materiały źródłowe są bardzo skąpe). Żenił się, rozstawał, rodziły mu się i (niestety) umierały dzieci. Dopiero socjalizm okazał się dla niego przeszkodą. Wyjechał z drugą polską żoną do Paryża w 1962 roku. Do Polski nigdy już nie wrócił. W Warszawie pozostała tylko jego legenda.

Krzysztof Karpiński „Czarnoskóry fordanser w Warszawie. Opowieść o Auguście Agbooli Brownie", Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, cena 69,90 zł



Na początku było Palo Alto

Palo Alto to serce Doliny Krzemowej, gdzie rozpoczęła się obecna cyfrowa rewolucja. Dlaczego wybuchła ona właśnie tam?
Malcolm Harris „Palo Alto. Historia Kalifornii, mit Doliny Krzemowej i technokapitalizm", wyd. Prześwity, Warszawa 2026, cena 119 zł



Macierzyństwo w dawnych legendach

Przewodnik po zachowanych w opowieściach portretach matek, ale nie znanych z naszej kultury, tylko odwołujący się do starych podań i legend.
Anna Lewicka, Klaudia Migacz „Leksykon dzikich matek", wyd. Bosz, Olecko 2026, cena 99,90 zł



Być matką, być wolną

Napisana z rozmachem powieść osadzona w realiach USA lat 20. i 30. ubiegłego wieku. Historia hotelu dla kobiet w niechcianej ciąży staje się pretekstem do rozważań o cenie macierzyństwa.
Ann Patchett „Święta patronka kłamców", wyd. Znak, Kraków 2026, cena 64,99 zł



Szukając wewnętrznego kameleona

Współczesna wariacja na temat starej maksymy „Panta rhei" („Wszystko płynie"). Autorka tłumaczy, w jaki sposób adaptować się do rzeczywistości w dobie technologicznych zmian.
Andrea Clarke „Adaptuj się", wyd. Studio Emka, Warszawa 2026, cena 49 zł



Smaczne i proste dania z grilla od Olivera

Nowa książka słynnego kuchennego gwiazdora z Wielkiej Brytanii. Tym razem Jamie Oliver przedstawia autorskie interpretacje dań na grilla. Jak zwykle u niego: smacznie i prosto.
Jamie Oliver „Grill", wyd. Insignis, Kraków 2026, cena 84,99 zł



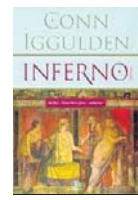
Teatrzyk „Zielona Gęś" przedstawia

Biografia Konstantego Gałczyńskiego – poety, którego nazwisko zna prawie każdy, ale mało kto wie właściwie, dlaczego. Ta książka to okazja do zrozumienia, na czym polegała jego wyjątkowość.
Mariusz Urbanek „Gałczyński. Kanarek w klatce", wyd. Iskry, Warszawa 2026, cena 74,90 zł



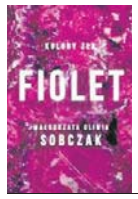
Krajewski przeprowadza się do Wałbrzycha

Najlepszy współczesny autor kryminałów w Polsce rozpoczyna nową serię. Nowym bohaterem Krajewskiego jest psychiatra Herbert Anwaldt, a akcja rozgrywa się w Wałbrzychu.
Marek Krajewski „Droga krwi", wyd. Znak, Kraków 2026, cena 54,99 zł



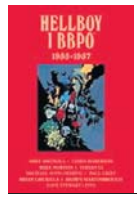
Na dworze Nerona aż gęsto od intryg

Pałac cesarza antycznego Rzymu był prawdziwem siedliskiem żmij. Intrygi na dworze cesarza Nerona to serce tej powieści. Wiernie odtworzone realia starożytnej epoki.
Conn Iggulden „Neron. Inferno", wyd. Rebis, Poznań 2026, cena 49,99 zł



Bestialskie morderstwo bez wyjaśnienia

Najnowszy tom bestsellerowej serii thrillerów Sobczak. Kolejne tajemnicze morderstwo, którego sensu prokuratorzy nie są w stanie w ogóle zrozumieć.
Małgorzata Oliwia Sobczak „Kolory zła. Fiolet", wyd. W.A.B., Warszawa 2026, cena 59,99 zł



Bohater lat zimnej wojny

W jednym tomie komiksy o Hellboyu po raz pierwszy opublikowane w latach 50. Komiks z lat zimnej wojny miał swoją specyfikę – teraz można ją sobie przypomnieć.
Mike Mignola, Chris Roberson „Hellboy i BBPO. 1955-1957", wyd. Egmont, Warszawa 2026, cena 179,99 zł



Świat, który wymyka się spod kontroli

Jak będzie wyglądała rewolucja w przyszłości? Ta powieść science fiction jest próbą odpowiedzi na to pytanie. Opowieść o świecie, który wymyka się spod kontroli.
Vajra Chandrasekera „Święty od papuzich drzwi", wyd. Czarna Owca, Warszawa 2026, cena 59,99 zł



Krótkie momenty, przelotne chwile

„W życiu piękne są tylko chwile" – śpiewał zespół Dżem. Ta powieść jest wariacją na temat tego szlagwortu. Wariacją, w której bardziej słychać nuty minorowe niż wesołe dźwięki.
Virginie Grimaldi „Ulotne chwile", wyd. Sonia Draga, Katowice 2026, cena 54,90 zł



Szukając prawdy o własnej przeszłości

Najnowszy thriller gwiazdy tego gatunku Harlana Cobena. Tym razem prowadzi nas po odmętach przeszłości. Były policjant Sami próbuje wyjaśnić okoliczności śmierci swojej dziewczyny Anny. Czy po 20 latach wyjaśni sprawę?
Harlan Coben „Nie ma głupich", wyd. Albatros, Warszawa 2026, cena 49,90 zł



Ronin bez pana na tropie zabójców

Gdy ginie cała rodzina cesarska, której Kagen miał strzec, nie pozostaje mu nic innego, jak szukać zemsty. Zamienia się w podróżnika bez pana i krąży po najbardziej mrocznych odmętach świata, by znaleźć zabójców.
Jonathan Maberry „Kagen Przeklęty", wyd. Vesper, Poznań 2026, cena 99,90 zł



Świat bezwzględnej praworządności

Osadzona w realiach przyszłości dystopia o kontroli nad światem. Najważniejsze decyzje należą do sędziów, którzy szybko sięgają po kary śmierci. Obrońcy starego świata próbują go ratować.
Tomasz Kołodziejczak „Dominium Solarne", wyd. Fabryka Słów, Warszawa 2026, cena 79,90 zł



Ciągłość pokoleniowa superbohaterów

SHIELD to organizacja, która swymi korzeniami sięga czasów Leonarda da Vinci i Nikoli Tesli. Teraz ich współcześni następcy muszą rozwiązywać bieżące problemy. Czy uda im się uratować świat?
Jonathan Hickman, Dustin Weaver „SHIELD", wyd. Egmont, Warszawa 2026, cena 179,99 zł

eprasa.pl 40f33bb3b7

MISTRZOWIE URODY POZNAJ BLIŻEJ UCZESTNIKÓW TEGOROCZNEJ EDYCJI

Trochę makijażu, trochę koloru i dużo dobrej energii

Ewelina Żuberek
ewelina.zuberek@polskapress.pl

Nie bez powodu kobiety mówią, że wizyta u stylistki paznokci czy makijażystki to ich chwila dla siebie. Mogą oderwać się od obowiązków i zadbać nie tylko o wygląd, ale też dobre samopoczucie.

Makijaż i stylizacja paznokci to jedne z tych dziedzin branży beauty, które kojarzą się z kreatywnością, estetyką i wydobywaniem atutów urody. Łączy je precyzja, dbałość o detale oraz umiejętność sprawienia, że ktoś zyskuje większą pewność siebie, bo przecież piękny makijaż potrafi zdziałać cuda, a zadbane ręce to wizytówka.

Dla nas efekt końcowy to po prostu zachwycające oko i podkreślone kości policzkowe lub starannie wykonany manicure, ale za tymi realizacjami stoją godziny ćwiczeń, nieustannego śledzenia trendów, wielu szkoleń i doskonalenia warsztatu. Zarówno make-up artyści, jak i stylistki paznokci działają w branży, która nieustannie się zmienia i wymaga ciągłego rozwoju. Nowe techniki, produkty, inspiracje i oczekiwania klientek sprawiają, że nauka właściwie nigdy się nie kończy. Dodatkowo są to zawody nie tylko związane z estetyką, ale bardzo często również z pracą opartą na relacjach. Wspólne przygotowania do ślubu, ważnej uroczystości, sesji zdjęciowej czy po prostu spotkania odbywające się regularnie co kilka tygodni sprawiają, że między klientkami a specjalistkami rodzi się więź. Kto chodzi „na paznokcie", doskonale wie, że z biegiem wizyt rozmowy coraz rzadziej dotyczą wyłącznie koloru lakieru, a pojawiają się historie z życia i prywatne sprawy. Można się pośmiać, oderwać od codzienności. Nie bez powodu wiele kobiet traktuje wizytę u stylistki paznokci czy makijażystki jako chwilę tylko dla siebie. Właśnie dlatego w tej branży tak ważne są nie tylko talent i umiejętności techniczne, ale także otwartość, empatia i umiejętność budowania atmosfery, co również bardzo doceniamy w akcji Mistrzowie Urody. - Za nami miesiąc głosowania i dziś kolejna prezentacja osób, które tworzą nie tylko dzieła z branży beauty, ale także miejsca pełne dobrej energii i wyjątkowych doświadczeń. Jesteśmy ciekawi, jak wyglądają kulisy ich pracy, dlatego tym razem poprosiliśmy uczestników kategorii Make-up Artist Roku oraz Stylistka Paznokci Roku, by opowiedzieli nam więcej o sobie - mówi Katarzyna Borek, która opiekuje się akcją od strony redakcyjnej. Kolory, pędzle i kobiece historie potrafią być fascynujące!

Więcej na polskanews.pl/uroda



Justyna Iwaniuk
Konturówka,
Jasienica

Kategoria: Make-up Artist Roku

- Moja przygoda z makijażem zaczęła się w 2012 roku. Początkowo było to hobby, jednak bardzo szybko zrozumiałam, że chciałabym związać z tym swoją przyszłość - mówi Justyna Iwaniuk z Konturówka. Przez lata rozwijała swoje umiejętności i pasję do wizażu, zdobywając doświadczenie oraz budując grono zadowolonych klientek. Dziś makijaż jest dla niej nie tylko zawodem, ale także sposobem na podkreślanie naturalnego piękna kobiet i pomaganie im w budowaniu pewności siebie. W swojej pracy stawia na indywidualne podejście oraz tworzenie stylizacji dopasowanych do urody, charakteru i oczekiwań każdej klientki. - Uwielbiam, gdy widzę progres w procesie powstawania makijażu, kiedy klientki wracają i czują się świetnie w tym, co im proponuję - podkreśla. Jak przyznaje, wyjątkową wartością tej pracy są dla niej relacje budowane podczas spotkań z klientkami. Często zwykła wizyta staje się okazją do rozmowy, wymiany doświadczeń i wzajemnego poznawania się, dzięki czemu z biegiem czasu tworzą się więzi wykraczające poza typową relację zawodową. - Często czuję się jak swego rodzaju psycholog. Klientki otwierają się przede mną i często mamy relacje przyjacielskie. Uwielbiam te kontakty - zaznacza.



Paulina Sobota
Platinium Visage by Paulina Sobota, Warszawa

Kategoria: Make-up Artist Roku

- Miałam 12 lat, gdy zagrałam w swojej pierwszej reklamie. Dzięki charakteryzatorce, która przygotowywała mnie do wejścia na plan, poczułam się zaopiekowana i pewna siebie. Wtedy zrozumiałam, że właśnie tym chcę się zajmować - dawać ludziom pewność siebie poprzez makijaż, fryzurę i odpowiednio dobraną stylizację. Od najmłodszych lat czułam magię wizażu, obserwując kulisy pracy artystów i świat sceny - mówi Paulina Sobota. Dziś pomaga kobietom odkrywać ich naturalne piękno, tworząc metamorfozy, które wpływają nie tylko na wygląd, ale również na samopoczucie i pewność siebie. W swojej pracy łączy doświadczenie, wyczucie estetyki oraz indywidualne podejście do każdej klientki. - MAKEUPOTERAPIA - to jest esencja pracy z klientkami. Tworzenie ich totalnych metamorfoz i udowodnienie, jak niewiele trzeba zrobić, by poczuć się wyjątkowo. Momenty wzruszenia, gdy oddaję lusterko, i zachwyt bliskich na widok przemiany są dla mnie największą satysfakcją - podkreśla. Jak dodaje, fundamentem każdej udanej metamorfozy jest wzajemne zaufanie między wizażystką a klientką. - Bez tego nie ma wyjścia ze strefy komfortu, nie ma zamierzonego efektu i nie możemy wydobyć prawdziwej esencji urody - uważa.



Aneta Kosińska
Paznokietki u Anetki,
Grodzisk Mazowiecki

Kategoria: Stylistka Paznokci Roku

Stylizacją paznokci Aneta Kosińska zainteresowała się podczas urlopu macierzyńskiego. Początkowo wykonywała paznokcie wyłącznie dla siebie, jednak z czasem zaczęła rozwijać swoje umiejętności, poznawać nowe techniki i coraz bardziej angażować się w świat beauty. Efekty jej pracy szybko zwróciły uwagę koleżanek, które zaczęły prosić ją o wykonanie stylizacji również dla nich. Tak narodziła się pasja, która z czasem przerodziła się w zawód. Dziś od czterech lat profesjonalnie zajmuje się stylizacją paznokci, łącząc kreatywność z pracą z ludźmi. Największą satysfakcję daje jej tworzenie metamorfoz paznokci oraz możliwość obserwowania efektów swojej pracy. Nieustannie rozwija swoje umiejętności, śledząc nowe trendy i doskonaląc warsztat. - Najbardziej lubię pracę z żelem, ponieważ to właśnie przy tej metodzie najlepiej widać efekty metamorfozy. Cieszy mnie możliwość nadania paznokciom pięknego kształtu, ich odbudowy oraz stworzenia stylizacji, która nie tylko wygląda estetycznie, ale także sprawia klientce radość i dodaje pewności siebie. To, co motywuje mnie do ciągłego rozwoju, to świadomość, że branża beauty nieustannie się zmienia - podkreśla.

AKTUALNI LIDERZY GŁOSOWANIA

FRYZJER ROKU
1. **Martyna Szymczak,** MS Studio Fryzjerskie Martyna Szymczak, Garno
2. **Patryk Łyczak,** P&B Profesional Hair Studio, Warszawa
3. **Angelika Urbańska,** Fryzjer Na Rogu, Ostrów Mazowiecka

BARBER ROKU
1. **Piotr Wytrębowicz,** Barber Punch, Piastów
2. **Robert Jaskulski,** Fryzjerski Jaskół Robert Jaskulski
3. **Sandra Kowalska,** Fryzjer z Pasją, Sochaczew

KOSMETYCZKA ROKU
1. **Veronika Tarasiuk,** Veronika Beauty, Warszawa
2. **Martyna Szczepańska,** Pretty Eyes Studio, Celestynów
3. **Aneta Wojtulewicz,** Salon Urody Jolanta Skąpska, Radom

MAKE-UP ARTIST ROKU
1. **Luiza Ośka,** Luiza Ośka Make-up, Ryczywół
2. **Justyna Iwaniuk,** Konturówka, Jasienica
3. **Sandra Urbaniak,** Blend_mama, Chynów

STYLISTKA PAZNOKCI ROKU
1. **Karolina Dobrogowska,** Architektura Pazura - Julia Blicharska, Nowy Dwór Mazowiecki
2. **Aneta Kosińska,** Paznokietki u Anetki, Grodzisk Mazowiecki
3. **Patrycja Irvan,** Z Pazurem! Beauty Studio, Wyszków

STYLISTKA RZĘS I BRWI ROKU
1. **Katarzyna Brzozowska,** FINEZJA PIĘKNA Katarzyna Brzozowska, Ostrów Mazowiecka
2. **Milena Kaczmarczyk,** MK Studio Urody, Wołomin
3. **Daria Załęska,** Bling Beauty, Warszawa

PODOLOG ROKU
1. **Jolanta Świostek,** Podolog Mani&Podo Jolanta Świostek, Radom
2. **Aneta Mosiołek,** Aneta Mosiołek Podologia, Warszawa
3. **Liliia Prytula,** Beauty Pro Warsaw, Warszawa

MISTRZ TATUAŻU I/LUB PIERCINGU ROKU
1. **Anna Głowacka,** Tattoo&PermanentMakeup Studio Anna Głowacka, Wieliszew
2. **Vladyslav Shcherbyna,** Enigma Tattoo Studio Warsaw, Warszawa
3. **Oliwia Skórnicka,** Cienka igla piercing, Radom

KOSMETOLOG ROKU
1. **Anna Martynowska,** Atelier Urody Wioletty Zychowicz, Nowy Dwór Mazowiecki
2. **Ewa Laura Borkowska,** Przywracamy Naturalne Piękno, Ostrołęka
3. **Oliwia Grajek,** Klinika SKINLAB, Warszawa

MASAŻYSTA ROKU
1. **Natalia Huniewicz,** Pani Masuje, Warszawa
2. **Armin Chabzda,** ReBorn ciało odNowa Armin Chabzda, Warszawa
3. **Rafał Kaczmarek,** Twój Masażysta Rafał Kaczmarek, Warszawa

TRENER PERSONALNY LUB FITNESS/INSTRUKTOR JOGI ROKU
1. **Katarzyna Szczepaniak-Kmiołek,** Po Prostu Pilates, Warszawa
2. **Maria Czarnik,** PoProstuPilates, Warszawa
3. **Patrycja Lenarcik,** Foremka, Kozienice

DIETETYK ROKU
1. **Dariusz Paprzycki,** DarioDiet, Grójec
2. **Julita Norek,** Zdrowo I Zielono Julita Norek, Radom
3. **Patryk Lipowski,** Dietetyk Kliniczny i Psychodietetyk Patryk Lipowski, Wołomin

SALON FRYZJERSKI ROKU
1. **MS Studio Fryzjerskie Martyna Szymczak,** Garno, Sosnowa 26
2. **Salon Fryzjersko - Kosmetyczny Modny Styl Dorota Borkowska,** Grodzisk Mazowiecki, Orzeszkowej 2
3. **Zakład Fryzjerski Małgorzata Mazur,** Zwoleń, Krakowska 4

STUDIO URODY ROKU
1. **Luxury Clinic,** Radom, Wernera 5/2
2. **Mariposa Beauty,** Nowy Dwór Mazowiecki, Wojska Polskiego 29A
3. **Pretty Eyes Studio,** Celestynów, św. Kazimierza 2A

PARTNER PLEBISCYTU

Beauty Razem

eprasa.pl 40f33bb3b7

INWESTYCJE DZIAŁAJĄCA OD 1995 R. PIERWSZA LINIA METRA CORAZ CZĘŚCIEJ WYMAGA NAPRAW I PRZEBUDÓW

Po przebudowie stacji Kabaty metro będzie kursowało częściej

Greta Sulik
Warszawa

Rozbudowa stacji weszła właśnie w kluczową fazę. Na Kabatach pojawił się gigantyczny chwytak, ciężki dźwig i betonowe konstrukcje. Co to oznacza?



FOT. KGRETA SULIK

Pociąg metra oczekujący na stacji metra Kabaty. Po przebudowie tej stacji pociągi warszawskiego metra zaczną kursować częściej niż obecnie

Każdy, kto regularnie jeździ pierwszą linią metra, zna moment, kiedy pociąg zwalnia przed końcem trasy. Maszynista zatrzymuje się między stacjami Natolin a Kabaty i czeka na swoją kolej. Teraz ma się to zmienić.

Choć pasażerowie metra mogą jeszcze nie odczuć spektakularnych zmian, pod ziemią dzieje się naprawdę dużo. Rozbudowa infrastruktury torowej przy stacji metra Kabaty weszła właśnie w kolejny etap.

Na plac budowy wjechał specjalistyczny sprzęt, w tym ogromny dźwig. Rozpoczęło się także betonowanie murków prowadzących, które są niezbędne do wykonania ścian szczelinowych. To właśnie one stworzą nową przestrzeń, gdzie zostaną zamontowane tory odstawcze.

Najbardziej widowiskowa część prac rozpoczęła się 2 czerwca. Między przygotowanymi wcześniej murkami pojawił się potężny chwytak, który wybiera ziemię do głębokości około 15 metrów. Gdy zakończy pracę, to do wykopu trafią klatki zbrojeniowe, a całość zostanie zalana betonem. Żeby ściany wykopu się nie osuwały, wykonawca wykorzysta bentonit, czyli specjalną zawiesinę stabilizującą grunt. Właśnie w ten sposób powstaną ściany szczelinowe, które pozwolą rozbudować komorę torów odstawczych za stacją pasażerską.

Głównym celem całej inwestycji jest usprawnienie działania I linii metra. Po zakończeniu prac pociągi będą mogły zawracać za stacją Kabaty, a kolejne składy wyjeżdżające ze Stacji Techniczno-Postojowej Kabaty szybciej włączą się do ruchu i nie będą tamować ruchu pociągów liniowych. Dzięki temu metro ma kursować częściej, a wydłużone postoje na końcu linii mają przejść do historii.

Do czasu powstania zaplecza na Koziej Górce, to właśnie zmodernizowany układ na Kabatach pozwoli na elastyczne wprowadzanie pociągów na nową linię metra poprzez łącznik z M1.

Pierwsza linia metra działa w Warszawie już od 1995 roku i z roku na rok wymaga coraz większych modernizacji. W ostatnich latach unowocześniono m.in. system zasilania pociągów czy dobudowano windy na stacji Pole Mokotowskie.

Przebudowa Kabat to kolejny etap zmian na ursynowskim odcinku linii M1. Co ważne, o tej inwestycji mówiło się od kilku lat, ale długo brakowało pieniędzy na realizację robót budowlanych. Choć dokumentacja projektowa była gotowa już w 2023 roku, środki udało się zabezpieczyć dopiero później.

Ostatecznie wykonawcą inwestycji została firma GÜLERMAK S.A. Wykonawca zaplanował realizację pięciu sekcji nowej konstrukcji. Pierwsze prace były prowadzone w marcu 2026.

Warszawskie metro uspokaja, że nie planuje wprowadzić istotnych ograniczeń ruchu w związku z realizacją ścian szczelinowych na Kabatach.

- Transport specjalistycznego sprzętu został zaplanowany w godzinach nocnych, aby ograniczyć utrudnienia - obiecuje Metro Warszawskie.

Główne działania nad aktualnym etapem przebudowy stacji będą prowadzone codziennie między godziną 7.00 a 19.00 i mają zakończyć się w połowie czerwca. Po tym czasie z placu budowy zniknie ciężki sprzęt i zaplecze techniczne.

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Koziński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzciński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

PBC POLSKIE BIURO CZYTELNICTWA

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

DROBNE

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

INNE

Kupię mieszkanie zadłużone, z trudnym lokatorem, komornikiem, udziały. Gotówka, 883-402-202

Handlowe

MASZYNY URZĄDZENIA

KUPIMY maszyny do obróbki metalu i drewna. Tel.: 782-592-790.

Praca

ZATRUDNIĘ

SERWIS sprzątający z gr. niepełnosprawności Błonie tel. 668 085 925

SERWIS sprzątający z gr. niepełnosprawności Ożarów Mazowiecki tel. 668 085 925

INNE

KURS Ochrony.1600 zł Raty. tel.694848043

Zdrowie

ZABIEGI

BUSKO-ZDRÓJ, Pensjonat Sanato Czerwcowe promocje - pobyty lecznicze i wypoczynkowe Zdzwoń już dziś: 41/378-19-48 lub 696-958-319 www.sanato.com.pl

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy turnusy 7 dni od 1050 zł z 30% dofin. dla emerytów/ rencistów, tel 501-642-492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

DANA - USTRONIE MORSKIE. Tanie wczasy z wyżywieniem dla Seniorów. 601-585-510 www.danaustronie.pl

KOŁOBRZEG blisko morza! 511337308

ŁEBA - tanie pokoje z łaz. 603-471-715.

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/ tona, 500-669-621

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie przez Internetowe Biuro Ogłoszeń. **Bez wychodzenia z domu.**

ibo.polskapress.pl

AUTOREKLAMA

Polecamy →

strona podróży



Piąta strona świata

stronapodrozy.pl

eprasa.pl 40f33bb3b7

Sprawdzian Biało-Czerwonych z trzecią drużyną Afryki

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Dzisiaj o godzinie 20.45 na PGE Narodowym w Warszawie reprezentacja Polski zagra towarzysko z drużyną Nigerii.**

Bialo-Czerwoni będą mieli okazję do rehabilitacji po niedzielnej porażce w sparingu na Tarczyński Arenie we Wrocławiu z Ukrainą 0:2.

Reprezentacja Polski nie wystąpi na zbliżających się mundialu, dlatego rozgrywane teraz mecze towarzyskie trzeba traktować jako sprawdziany przed jesiennymi spotkaniami w Lidze Narodów. Drużyna Jana Urbana w dywizji B będzie rywalizowała ze Szwecją, Bośnią i Hercegowiną oraz Rumunią.

Selekcjoner Polaków zapowiedział roszady w składzie w porównaniu do meczu z Ukrainą. - Będą na pewno zmiany, w linii defensywnej również. I z tych zawodników będziemy wybierali drużynę na Ligę Narodów. Czy może to być kosztem wyniku? Tak. W inny sposób nie dowiemy się, kogo mamy do dyspozycji na kolejne spotkania - oznajmił trener Jan Urban.

Selekcjoner reprezentacji Nigerii Eric Chelle na mecz do Warszawy nie zabrał dwóch największych gwiazd „Super Orłów": środkowego napastnika Galatasaray Stambuł Victora Osimhena i skrzydłowego Atletico Madryt Ademoli Lookmana.

- Straciliśmy dwóch zawodników. Osimhen prawdopodobnie zmieni klub, więc wolałbym, żeby został w domu, jeśli miałby nie zagrać na 100 procent. Jeśli chodzi o Lookmana, jest bardzo zmęczony i Atletico prosiło nas o jego zwolnienie - wyjaśniał Chelle absencję swoich dwóch najjaśniejszych gwiazd w reprezentacji, z którą w ostatnim Pucharze Narodów Afryki 2025 zajął trzecie miejsce.



FOT. PAP/MACIEJ KULCZYŃSKI

Selekcjoner Jan Urban dokona roszad w składzie, ale Robert Lewandowski przeciw Nigerii powinien zagrać

Osimhen i Lookman to niejedyni podstawowi zawodnicy drużyny, którzy opuszczą najbliższe towarzyskie mecze z Polską i Portugalią.

Wśród piłkarzy, którzy nie zagrają w najbliższym czasie z Europejczykami z powodu presji ze strony klubu lub innych przyczyn, znaleźli się także środkowy pomocnik Pisy Ebenezer Akinsanmiro, skrzydłowy AC Milan Samuel Chukwueze oraz prawoskrzydłowy Millwall Femi Azeez.

Akinsanmiro dołączył do reprezentacji Nigerii po wycofaniu pomocnika Dukli Praga Samsona Tijaniego i rozgrywającego Royalu Antwerp Alhassana Yusufa z powodu problemów z wizami. Jednak 21-latek został zmuszony do opuszczenia zgrupowania kadry z powodu choroby.

Nigeria w sobotę zagrała towarzysko w finale Pucharu Jedności w południowym Londynie na stadionie Charltonu, The Valley, gdzie pokonała Jamajkę 3:0 po dwóch golach Yusufa i jednym napastnika FC Porto Terema Moffiego.

- Na razie czekają nas dwa mecze, z Polską i Portugalią, i mam sporo problemów, bo niektórzy zawodnicy nie prezentują odpowiedniej formy. Nadchodzące mecze będą meczami towarzyskimi i do każdego z nich podejdę poważnie, z uwzględnieniem dostępnych zawodników. Z pewnością będziemy walczyć: jeśli wygramy, to wygramy, jeśli przegramy, to przegramy. Ale jeśli przegramy, to będą musieli nad nami popracować, będą musieli nas pokonać. Polska to dobra drużyna, a Portugalia to chyba najlepsza drużyna na świecie. To dla nas wielkie wyzwanie i na pewno chcę pojechać do nich, żeby ich pokonać - zapowiedział Chelle.

„Super Orły" wylądowały w Warszawie w poniedziałek i w dniu przylotu odbyły trening na stadionie Polonii Warszawa. We wtorek zapozały się natomiast z murawą PGE Narodowego.

Polska z Nigerią zmierzy się drugi raz. Poprzednio grali w marcu 2018 roku na Stadionie Miejskim we Wrocławiu i Biało-Czerwoni musieli uznać wyższość „Super Orłów" 0:1 po golu Victora Mosesa z rzutu karnego w 61. minucie.

Sędzią dzisiejszego meczu będzie Rumun Alexadru Barbu.

Spotkanie Polska - Nigeria transmitowane będzie w TVP 1, a skomentują je Mateusz Borek i Grzegorz Mielcarski. Studio meczowe prowadzone przez Kacpra Tomczyka rozpocznie się o godzinie 20.00.

©℗

KADRA NIGERII NA POLSKĘ

Bramkarze: Maduka Okoye (Udinese), Francis Uzoho (Omonia Nikozja), Artur Okonkwo (Wrexham).

Obrońcy: Semi Ajayi (Hull City), Igho Ogbu (Slavia Praga), Emmanuel Fernandez (Peterborough), Zaidu Sanusi (FC Porto), Bruno Onyemaechi (Olympiakos Pireus).

Pomocnicy: Rafael Onyedika (Club Brugge), Wilfred Ndidi (Besiktas Stambuł), Tochukwu Nnadi (Oympique Marsylia), Frank Onyeka (Brentford), Abdullahi Bewene (Banik Ostrawa).

Napastnicy: Akor Adams (Sevilla), Terem Moffi (FC Porto), Moses Simon (Paris FC), Paul Onuachu (Trabzonspor), Rafiu Durosinmi (Pisa).

Niech sen Chwalińskiej trwa! Dziś gra z Kalinską o półfinał Rolanda Garrosa

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

TENIS. **Dzisiaj o godzinie 11 na korcie centralnym Philippe'a Chatriera Maja Chwalińska zagra z rozstawioną z numerem 22 Rosjanką o półfinał Rolanda Garrosa. Transmisja w Eurosporcie 1 i HBO Max.**

To dopiero trzeci występ Mai Chwalińskiej w zasadniczej części Wielkiego Szlema. W 2022 roku była w 2. rundzie Wimbledonu, a w 2025 r. przegrała pierwszy mecz w Australian Open.

24-latka z Dąbrowy Górniczej, która w rankingu zajmuje 114. miejsce i musiała przebijać się przez kwalifikacje, jest już pewna, że po French Open pierwszy raz znajdzie się w najlepszej setce listy WTA. Wirtualnie zajmuje teraz 49. miejsce.

W pierwszej rundzie w Paryżu Polka wygrała z mistrzynią olimpijską Chinką Qinwen Zheng 6:4, 6:0, a następnie w takim samym stosunku z rozstawioną z numerem 23. Belgijką Elise Mertens. W 3. rundzie pokonała Greczynkę Marię Sakkari 1:6, 6:3, 6:2, a w 1/8 finału Francuzkę Diane Parry 6:3, 6:2.

Maja została trzecią polską tenisistką, która awansowała do drugiego tygodnia Rolanda Garrosa. Wcześniej dokonały tego jedynie Agnieszka Radwańska oraz Iga Świątek.

- To dla mnie olbrzymia niespodzianka, więc staram się tym wszystkim cieszyć. Jestem wdzięczna za to, co się wydarzyło, ale chcę więcej. Tenis to sport, gdzie jest się zawsze głodnym - podkreśla Chwalińska.

Trzy lata starsza Kalinska ma za sobą znacznie więcej występów w Wielkim Szlemie, ale w ćwierćfinale jest dopiero po raz drugi. W 2024 roku na tym etapie pożegnała się z Australian Open. We French Open natomiast pierwszy raz przeszła poza drugą rundę. W czwartej rundzie Kalinska pokonała reprezentującą Austrię Rosjankę Anastasię Potapową 6:4, 2:6, 7:6 (7).

Zwyciężczyni w półfinale zagra z liderką rankingu Białorusinką Aryną Sabalenką lub Rosjanką Dianą Sznajder. ©℗



FOT. EPA/PAP

Maja Chwalińska po raz pierwszy w karierze zagra w ćwierćfinale Wielkiego Szlema

Beniaminkowie ekstraklasy. Co do elity wniosą Śląsk, Wieczysta i Wisła?

Jacek Czaplewski
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Nadchodzący sezon PKO BP Ekstraklasy może okazać się równie spektakularny jak ten miniony - także z powodu beniaminków.**

Na najwyższy szczebel wracają dwie uznane marki: Śląsk Wrocław i Wisła Kraków. Nowicjuszem będzie natomiast Wieczysta Kraków z majętnym, ekscentrycznym właścicielem.

Droga po spadku bywa wyboista, o czym na własnej skórze przekonała się Wisła. Do elity wraca dopiero po czterech sezonach spędzonych na zapleczu ekstraklasy. Dzięki wysiłkom prezesa Jarosława Królewskiego zbudowała najmocniejszą kadrę, nie rezygnując jednocześnie z trenera Mariusza Jopa po przegranych w ubiegłym roku barażach. To przyniosło upragniony sukces. Królem strzelców z 21 bramkami został Angel Rodado, który ekstraklasy jeszcze nie zasmakował, podobnie jak 20-letni Maciej Kuziemka, uchodzący za największe objawienie. Wisła wniesie sporo świeżości także dzięki swoim kibicom regularnie wypełniającym stadion przy ul. Reymonta. W Polsce wyższą średnią frekwencję odnotowano jedynie na Lechu Poznań.

Błyskawicznie - bo już po sezonie - do elity wraca Śląsk. To zupełnie inny klub od Wisły, finansnowany z miejskich środków. Szumnie zapowiadana od dawna prywatyzacja nie doszła do skutku i nic nie wskazuje na to, by miało się coś w tej sprawie zmienić. Piłkarsko Wrocławianie są gotowi na powrót. Przygotował ich do tego trener Ante Simundza, który został z zespołem mimo atrakcyjniejszych propozycji.

W najwyższej lidze zobaczymy też Wieczystą - drużynę, która sześć lat temu grała w lidze okręgowej. Spektakularny sukces zawdzięcza właścicielowi Wojciechowi Kwietniowi, który z własnej kieszeni wyłożył na ten cel wiele milionów złotych, ściągając plejadę gwiazd, zapoczątkowaną transferem Sławomira Peszki - wtedy, czyli w 2020 roku, piłkarza drużyny, następnie trenera, a od niedawna wiceprezesa odpowiedzialnego za kształt kadry.

Z wyników sondy opublikowanej w naszym serwisie GOL24 wynika, że najlepszym beniaminkiem zostanie Wisła Kraków - tak uważa aż 61 procent. W dalszej kolejności wymienia się Śląsk Wrocław (20 procent), a na końcu Wieczystą Kraków (19 procent).

W minionym sezonie los nie był łaskawy dla beniaminków PKO BP Ekstraklasy. Arka Gdynia z Bruk-Bet Termaliką Niecieca od razu zostały zawrócone na zaplecze. Najlepiej wypadła drużyna, która wywalczyła awans po dwuetapowych barażach - Wisła Płock. Przezimowała nawet w fotelu lidera, by na koniec zająć dobre ósme miejsce - przed takimi markami, jak Cracovia, Pogoń Szczecin czy Widzew Łódź.

W przyszłym tygodniu poznamy terminarz wszystkich kolejek nadchodzącego sezonu. Inauguracja nastąpi w piątek, 24 lipca. Poprzedzi ją Superpuchar Polski z udziałem Lecha Poznań i Górnika Zabrze. ©℗

eprasa.pl 40f33bb3b7

dawny typ domu wiejskiego / herb szlachecki
roślina lecznicza / bazie
irańskie monety
hutniczy skrzep
śpiewające ptaki
ludowy taniec maorysów
senna zjawa / owoce tarniny
wykonuje analizy
biblijny nieszczęśnik
taniec towarzyski
kara za grzechy / zbytnia pewność siebie
uczy języka obcego
bije od brylantów
... Chrobry / stragan na bazarze
przyjaciółka Lolka
pocisk świetlny
mieszkanka Kataru / kolor w talii / ... Fleming, pisarz
wyspa z Hawaną
ziemia uprawna
dawna papieska korona / jednostka ciepła / pluskiewka
bankiet w konsulacie
tłuszcz ze słoniny
Zygmunt August / kurtka dżokeja
zbiornik miasto nad Pilicą
kawowa do tortu
auto z Korei / popiersie
pramatka ludzkości
polowanie na tura
zwód na ringu
styl pływacki
Christian, aktor z filmu „Operacja Świt”
imię Danczowskiej
odgazowany węgiel
szef mnichów
barwa obrazu / idzie w redyku
polski mikrobus
miejsce na bilę
pojemnik na paliwo
Północna lub Południowa
cięgi, lanie
chwast polny
nóżka borowika
huczne oklaski
rywal firmy Danone
futerał na broń / lichy płaszcz
pierwszy zawsze trudny
sto lat
narzędzie kowala
rodzaj ściągi
cząstka żaru / model Opla
złe przyzwyczajenie
pełzak, pierwotniak
papier na ścianie
krzew parkowy
zebra na jezdni
wydzielony teren
umiar, delikatność
waśnie, sprzeczki
czeski taniec ludowy
szkic, opis / ... Hood
drapieżna ryba, miękławka
przechowywany w banku
imię męskie / stan w USA
Pucka lub Błotnicka
chwyta przynętę
metropolia Peru
panna z filmu Wajdy
zarozumiały smerf
zboże chlebowe
ozdobne pudełko samuraja
polska telenowela
oszlifowany diament / stolica Mali / gra w karty
siostra Baala
miasto Świętego Franciszka
zieleń na Saharze
bok pudełka zapałek
wychodzi na podwórze
dokumenty sprawy
moment pędu
amant, wielbiciel
anglosaski hektar / gwara środowiskowa, żargon
uraza, pretensja
żołnierz jazdy z bronią palną
to, co nas spotyka w życiu / topór wojenny Indian
służba żołnierska
imię Sari, śpiewaczki
ostry lub rozwarty
egzotyczne pnącze
Jurko Bohun
majątek, zamożność
domowa przybudówka
na kuchennym stole
serwowany przez barmana
znak firmowy
wzdłużne wiązanie kadłuba statku, stępka
blizna po operacji
drzewo parkowe, bożodrzew
baśniowy skarbiec / Joanna, polska piosenkarka
matka Antygony
gruba gałąź
arktyczny gatunek siei
kamień półszlachetny
staroskandynawska opowieść
gimnastyczna w szkole
niewolnik, sługa
ropucha olbrzymia, kururu / ojciec Erosa
musical Miłosa Formana
rów na linii frontu
aromatyczny trunek z Azji
stan z Salt Lake City
składnik pestycydów
duża jednostka mocy
Wielki na niebie
dawna podróż, wędrówka
„Zbrodnia i ...”
pukle, kędziory
mundurowy uczeń
miłośnik X Muzy
dawna złota moneta
mieszkaniec Kazania
pieje o świcie
spiekota, upał
umowa międzynarodowa

AUTOPROMOCJA 0210987243

POLSKA
METROPOLIA WARSZAWSKA
w prenumeracie
z Tele Magazynem
12 312 53 88



SŁOWNIK: ARGOT, CHLORAL, HAKA, KOKORNAK, OMUL, POMIAN, TINTA.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 29 utworzą rozwiązanie: mądrość ludową.

ROZWIĄZANIE: PRÓŻNO SIĘ TRUDZI, KTO NIE ZNA LUDZI.

eprasa.pl 40f33bb3b7